

Nie spodziewała się, że ten wieczór
zamieni się w **koszmar** i odmieni całe jej życie

FIONA SUSSMAN

OSTATNI
RAZ, GDY
ROZMAWIALIŚMY



Żyjącym w cieniu przemocy

Autorka oświadcza, że wszystkie występujące w powieści postaci są fikcyjne, a ich ewentualne podobieństwo do osób żyjących lub zmarłych jest całkowicie przypadkowe. Nazwiska bohaterów nie mają podstaw genealogicznych.

POCZĄTKI

*Zwróć się w stronę słońca,
a cień zostanie za tobą.*

(maoryskie przysłowie)

1989

– A co się stanie z potworem?

Trzydzieści par oczu szeroko otworzyło się z przejęcia. Felicity Taylor zaczęła pochlipywać, a Garth Mullins podłubał w piegowatym nosie, uważnie przyjrzał się temu, co z niego wydobył, i wetknął sobie palec do ust.

– Garth! – fuknęła Carla, gromiąc go gniewnym spojrzeniem i potrząsając głową, aż pojedyncze pasma atramentowych włosów wymknęły się spod klamry w kształcie żółwiej skorupy.

Gromada pierwszoklasistów siedziała po turecku na bordowym, kwadratowym dywanie. Był parny lutowy poranek i chociaż wszystkie cztery okna zostały podniesione, powietrze w klasie było ciężkie i gęste, a dzieci niespokojne. Nawet zielony, łuskowaty potwór z Loch Ness zwisał żałośnie z sufitu, ze zwiotczalym tułowiem i pomarszczonym ogonem. A Garth zachowywał się gorzej niż zwykle. Rok szkolny dopiero się zaczął, lecz Carla już wiedziała, jakie temperamenty trafiły pod jej opiekę.

– Zabije ich wszystkich! – wykrzyknął mały piegus, zakrzywiając palce w szpony i wyszczerzając zęby.

Szloch Felicity przeszedł w regularne wycie.

– Garth, co mówiliśmy o krzyczeniu w klasie? – powiedziała Carla, rozkładając ramiona i przyzywając do siebie bladą blondyneczkę. – Chodź tu, kochanie. To przecież tylko bajka.

Felicity Taylor wpakowała się nauczycielce na kolana i wcisnęła zimny nosek w zagłębienie jej szyi. Carla przewróciła stronę, a srebrne bransoletki zabrzęczały na jej przedramieniu.

– Nasz potwór chyba nie jest taki zły. Hilary i Owen, oczy na mnie.

– A właśnie że jest! Jest strasznie zły, proszę pani.

– Przekonamy się, Nathanie.

Carla czytała dalej, raz po raz spoglądając na słuchaczy:

– „Pograżał się coraz głębiej i głębiej w ciemnej toni wody...”.

Rozległo się pukanie do drzwi i do sali wkroczyła dyrektorka, pani Carr. Po klasie przebiegł szmer. Wszystkie plecy z miejsca się wyprostowały, a dłonie grzecznie spoczęły na kolanach.

– Bardzo ładnie, Jamesie Tahu – pochwaliła jednego z uczniów pani Carr, a jej brwi wykonały dziwny skok, jedna niezależnie od drugiej.

Pucułowata buzia rozpromieniła się w uśmiechu. Carla puściła do chłopca oko.

– Przepraszam, że przeszkadzam, pani Reid... – Dwadzieścia osiem par oczu wpatrywało się w umalowane na brąz usta dyrektorki, jej jaskrawozielone buty i pozaciągane pończochy. – Jest do pani pilny telefon w

sekretariacie.

– Pilny telefon? – Carłę zdjął nagły niepokój. Delikatnie postawiła Felicity na ziemi i wstała.

– Nie wiem, o co chodzi – szepnęła przełożona. – Powiedzieli tylko, że to ważna sprawa. I poufna.

Carla stała niezdecydowana.

– Proszę iść. Ja przypilnuję dzieci.

Carla wyszła pośpiesznie, a na korytarzu puściła się niemal biegiem, stukając czerwonymi pantoflami o wykładzinę z linoleum. Chodzi o Kevina? A może coś się stało na farmie? Dobry Boże, oby tylko ojciec znowu nie upadł.

Okrążywszy róg, wpadła na piętę c wracającą z zajęć muzycznych. Sunąca bezładnie kolumna hałaśliwych dzieci zatarasowała jej drogę.

– Przepraszam. Przepraszam, mogę przejść? Przepraszam – powtarzała, przeciskając się przez tłum. – Dziękuję.

– Nie jesteście na niedzielnym pikniku. Trzymamy się ściany! – zabrzmiał z tyłu irlandzki zaśpiew Esther Creighton zamykającej pochód.

Carla posłała jej pełen wdzięczności uśmiech i pośpieszyła dalej, zostawiając Esther w pół słowa, zawiedziona, że okazja do korytarzowych pogaduszek przemknęła jej koło nosa.

Gdy usłyszała wreszcie znajome stukanie klawiatury Daphne, była już bliska zadyszki. Wpadła do pokoju, na co sekretarka przerwała pisanie i podniosła wzrok znad okularów. Słuchawka telefonu leżała na biurku obok aparatu.

– Złap oddech, kochana – zamruczała Daphne, wsuwając do ust drażetkę

mint imperial. W pokoju unosił się swąd papierosowego dymu.

Carla sięgnęła po słuchawkę.

– Halo? – Odpowiedział jej szum dalekich, niezrozumiałych rozmów. – Halo?

– Carla. – Głos po drugiej stronie brzmiał znajomo. – Przepraszam, że niepokoję cię w pracy, ale pomyślałam, że chciałabyś wiedzieć.

Carlę zakłuło w dziąsłach.

– Dostałam wyniki twoich badań. Okazuje się, że to nie giardioza.

Carla zamknęła oczy.

– Coś poważniejszego?

– Cóż... – W głosie lekarki dało się wyczuć uśmiech. – Jesteś w ciąży.

– Proszę? – Carla dostała dreszczy. – Jak to? Znaczy... To niemożliwe! – Osiem lat starań. Poczwała zawroty głowy.

Lekarka mówiła, Daphne stukała, a Carla śmiała się i płakała jednocześnie.

Gdy wreszcie odłożyła słuchawkę, Daphne czekała z gotową paczką chusteczek zapachowych i oczami pałającymi ciekawością. Carla nie była jednak skora do wynurzeń. Musiała chronić swoje dziecko. Wycofała się z biura i ruszyła z powrotem wąskim korytarzem. Mijając wieszaki obładowane szkolnymi plecakami, z których na podłogę wysypywały się książki i pudełka z drugim śniadaniem oraz przeszklone matowymi szybami drzwi i majaczące za nimi dumnie wyprostowane sylwetki, miała wrażenie, że z każdym krokiem zostawiała za sobą lata wysiłków, rozczarowań i rezygnacji. U progu swojej klasy odwróciła się i podążyła w stronę słonecznego światła.

Boisko ją przyzywało. Wspięła się po obłazących z farby drabinkach i przycupnęła na szczycie. Kevin miał zostać ojcem. Zsunęła buty, pozwalając im opaść na ziemię, i objęła stopami zimną metalową poprzeczkę. Jej ojciec miał zostać *nonno*. Zamknęła oczy i rozłożyła ramiona, poddając się pieszczotliwym podmuchom lekkiego, rześkiego wiatru. Zeskoczyła, a jej spódnica wzdęła się pod wpływem nagłej wolności. Wyciągnięta na mokrej ziemi, Carla czuła łaskotanie łodyżek trawy we włosach.

– Będę mamą! – zawołała, obejmując wzrokiem błękit nad sobą. – Będę mamą!

I wtedy zauważyła buzie swoich uczniów przyklejone do okna klasy – rozpląszczone nosy i wystawione palce widoczne przez zaparowane od ich oddechów szyby – a za nimi zdumioną panią Carr.

*

1991

– Niech to szlag, Debs, jestem w ciąży – powiedziała Miriama Kāpehu. Otworzyła butelkę *db draught* i pociągnęła łyk.

– Że co?

– Jestem w ciąży.

– Twój wybór, dziewczyno. – Debs spojrzała na płaski brzuch przyjaciółki z mieszaniną podziwu i niedowierzania.

– Dupa, a nie wybór. Joel rzuci mnie, gdy tylko się dowie. A nie mogę wrócić do starych po tym, jak dałam nogę z facetem w skórze z naszywką na plecach.

– Trzeba było o tym pomyśleć, kiedy dawałaś mu się bzykać bez zabezpieczenia. – Debs parsknęła śmiechem.

Miriama opadła na plecy na podeschłej trawie i popatrzyła w niebo usiane pierzastymi chmurami.

– Masz szluga?

Debs podała jej do połowy wypalonego papierosa.

– Który to miesiąc?

– Nie wiem. – Miriama zaciągnęła się głęboko. – Chyba trzeci.

– Trzeci?! To na legalu już tego, skarbie, nie zrobisz. – Debs przełamała gałązkę i zaczęła czyścić sobie paznokiec jej ostrym końcem. – Znam jedną kobietę, która się tym zajmuje, ale bierze stówę.

Przyjaciółki zamyśliły się, wyciągnięte obok przewróconego wózka sklepowego pośrodku pustego parkingu.

– Ej, zostaw mi trochę! – Debs odebrała Miriamie żarzący się niedopałek.
– To mój ostatni.

Tydzień później Miriama leżała na plecach w zatęchłym pokoju z różową tapetą obłazącą ze ścian w domu przy Drover Street. Pod sobą miała płachtę szarego brezentu, który kleił jej się do ud i ugniatał w pośladki. Rozłożyła nogi, a kobieta, której imienia nigdy nie poznała, zapuściła drut do robótek ręcznych w głąb jej młodego łona. Koniec końców wyrzuciła sto dolarów w błoto, bo *koru* komórek nie dało się oderwać. Silnie zagnieżdżone, przetrwało wszelkie próby inwazji, jakby miało do spełnienia jakąś większą rolę... Uparło się, żeby żyć – pomimo infekcji i krwotoku nieustannie rosło, aż sześć miesięcy później, pierwszego kwietnia, niczym kiepski żart przebiło się na świat, rozdzierając Miriamę na pół.

– Jaki piękny – zaszcebiotała Debs. – Joel dostanie zajoba!

Ku zaskoczeniu Miriamy, wiadomość o ciąży ucieszyła Joela. Wydawał

się wręcz zachwycony na myśl o zostaniu ojcem i często w nocy staczał się w głęboką zapadlinę ich łóżka, aby przyłożyć ucho do pęczniejącego brzucha.

– To chyba będzie Lenny – stwierdził kiedyś, łaskocząc czarnymi, kręconymi kosmykami jej napiętą skórę.

– Nie możesz nazwać go Lenny – zaproponowała. – Miałam kiedyś wujka Lenny’ego. Całą twarz miał upstrzoną wstrętnymi brodawkami. Poza tym to będzie dziewczynka.

– Nie. To chłopak. Właśnie mi powiedział – odparł Joel, poklepując jej wypukłe *pito*.

– Nic ci nie powiedział!

– Widzisz? Sama mówisz „on”!

Miriama wiedziała, że Joel pragnął syna, ale ciąża utrzymywała się wysoko i zdaniem wszystkich wokół zwiastowało to dziewczynkę.

Ostatecznie ustalili, że chłopca nazwą Benjamin Joel. Benjamin na cześć Benniego Edmonsa, najlepszego kumpla Joela z jego bandy. Miriamie nie podobał się pomysł, aby jej syn nosił imię po gangsterze – uważała to za zły znak – lecz nie protestowała, bo była święcie przekonana, że urodzi dziewczynkę, która miała nazywać się Aroha Jude. Aroha po matce Miriamy, choć od dawna nie utrzymywały kontaktu, a Jude tak jak Jude Dobson, śliczna prezenterka teleturnieju *Sale of the Century*. Miriama liczyła, że w ten sposób zapewni córce urodę.

Teraz odgarnęła przyklejone do czoła kosmyki i opadła na poduszkę. Położna – pulchna, rumiana kobieta o ciepłych dłoniach – ułożyła jej noworodka w ramionach. Miriama przyjrzała mu się z bliska. Na brązowej, pomarszczonej główce sterczał kędzior czarnych włosów, a spod różowego kocyka wystawały jak patyczki do lodów drobne paluszki. Różowego. Czyż

nie mówiła, że to będzie dziewczynka?

Jej oddech przyspieszył gwałtownie, ale nie pod wpływem wycieńczenia. Przypominało to raczej falę narastającej paniki.

– Będę dobrą mamą, Debs.

– No pewnie. Najlepszą pod słońcem – przytaknęła przyjaciółka ze śmiechem. – Co masz taką niewyraźną minę? Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha.

Miriama wsunęła mały palec do pomarszczonej rączki, a pięć miniaturowych paluszków oplotło go tak ciasno, aż przebiegły ją ciarki.

Spędziła w National Women’s Hospital trzy wspaniałe noce do czasu zagojenia się szwów. Nigdy wcześniej nie była w szpitalu i tak właśnie wyobrażała sobie pobyt w luksusowym hotelu – jedzenie dostarczane na tacy trzy razy dziennie, dzbanek świeżej wody każdego ranka i gorący prysznic, kiedy tylko przyszła jej ochota. A Joel, wniebowzięty, że dostał syna, którego sobie zażyczył, wparował pierwszego wieczoru na oddział położniczy z największym bukietem kwiatów, jaki kiedykolwiek widziała.

W dniu wypisu Debs zamówiła taksówkę i Miriama została odwieziona do domu jak królowa, rozparta na tylnym siedzeniu z małym Benem wciśniętym między przyjaciółki.

W domu jednak zastali Joela i jego ferajnę, która najwyraźniej tankowała przez cały dzień.

– Chodź się z nami zabawić – zarzął Joel i złapał ją w tali.

– Dopiero co urodziłam dziecko! – fuknęła, uwalniając się z jego uścisku.

Oczy mu pociemniały.

– I dlatego wydaje ci się, że możesz mnie olewać? – ryknął. – Nie ma

mowy. Nie z takimi cyckami.

Wepchnął Miriamie ręce pod koszulkę i ścisnął jej nabrzmiałe piersi. Skrzywiła się, gdy na tkaninie pojawiły się dwie mokre plamy.

Kilku jego koleżków parsknęło szyderczym śmiechem, inni, zniesmaczeni, odwrócili głowy.

– Zostaw mnie! – krzyknęła i dźgnęła go łokciem w brzuch.

Joel podwinął górną wargę, odsłaniając zęby. Szarpnął ją, aż się zatoczyła razem z nosidełkiem.

– Powiedziałem, chodź się zabawić – syknął, owiewając jej policzek cierpkim, gorącym oddechem.

Debs rzuciła się naprzód i porwała koszyk z dzieckiem, tuż zanim dłoń Joela chwyciła garść długich, czarnych włosów Miriamy.

– Jezu, daj jej spokój, człowieku – zawołała Debs.

– Zamknij mordę, suko, albo naprawdę będziesz miała powód do biadolenia.

Wieczorem tego dnia Miriama wstała, żeby nakarmić niemowlę, ale zabrakło jej mleka i nie mogła uśpić rozwrzeszczanego bobasa. Płakał przez całą noc, aż w końcu Joel zagroził, że jeżeli Miriama czegoś z tym nie zrobi, to sam go uciszy. Wyniosła więc maleństwo na ulicę i chodziła z nim do świtu w tę i z powrotem.

Szybko przekonała się, jak trudno być matką.



CARLA

Szesnaście lat później

Napoleon węszył, parsknął i trącał Carłę nosem, zostawiając połyskliwą smugę śliny na jej gumowych butach.

– Tyle na teraz, żarłoku – powiedziała. Podniosła przewrócone wiadro i pokazała świni. – Zobacz, nic nie zostało.

Napoleon wsadził ryj do środka, wydał zawiedzione chrząknięcie i zwałił się na ziemię, przygniatając Carłę cielskiem do przegrody.

– Chcesz się popieścić, co? – rzekła i poklepała zwierzę po pękatym brzuchu, po czym przerzuciła nogę nad barierką i wyszła z kojca. – Muszę iść, kolego. Mam mnóstwo roboty.

Przed drzwiami ściągnęła gumowce i weszła bezgłośnie do kuchni przepojonej zapachem kandyzowanych pomidorów. Zajrzała do piekarnika. Lazanie rumieniły się pięknie. Jeszcze dziesięć minut i będą gotowe. Szorując dłonie w zlewie, Carla spoglądała przez otwarte okno. Lekki wiatr rozwiewał jej ciemne włosy, a wieczorne słońce pieściło zniszczoną cerę. Widok, ograniczony przez okienne ramy oraz szpaler nachylonych ku ziemi wierzb, nie był szczególnie piękny, a mimo to Carla nigdy nie miała dość patrzenia na łagodnie opadające, trawiaste zbocze, zagajnik i szarozieloną

sadzawkę. Uwielbiała to swobodne pofałdowanie terenu i nieskrępowaną przestrzeń krajobrazu, który nieustannie się zmieniał, odmalowywany na nowo przez każdą kolejną porę roku.

Zmrużywszy oczy, wypatrzyła na odległym wzgórzu sylwetkę Kevina spędzającego owce. Carla uśmiechnęła się do siebie. Za dziesięć szósta. Być może, po tych wszystkich latach – jak dotąd dwudziestu siedmiu – zdołała wreszcie zmusić męża do punktualności.

Zadrżała od chłodu i zamknęła okno. Jack też pojawi się lada chwila. Z niecierpliwością wyczekiwała tych przelotnych chwil, w których znów mogła być mamą i dogłądać swojego jedynaka, a Kevin mruczał zrzędliwie: „Przestań się nad nim tak trząść. Jest dorosłym facetem, do licha”.

Rozwiązała fartuch i drugi raz tego dnia przemierzyła korytarz, aby zajrzeć do jaskini syna. Pokój wyglądał tak samo, jak Jack zostawił go przed ponad rokiem, wypełniony plakatami George’a Bensona i modelami samolotów. Nawet rakietę tenisową stała nietknięta w kącie. Zamierzali z Kevinem urządzić tu pomieszczenie do różnego rodzaju pracy – miejsce, w którym mogłaby bezkarnie zostawić na wierzchu maszynę do szycia, a Kevin składowałby swoje stosy papierów – i w ten sposób opróżnić zagraconą jadalnię, przywracając jej pierwotną funkcję. Ostatecznie nigdy się jednak za to jakoś nie zabrali. Przerobienie pokoju Jacka oznaczałoby oficjalne przyznanie, że pewna faza ich życia dobiegła już końca, a dopóki na jego korkowej tablicy tłoczyły się nabazgrane notatki, rozpiski z datami egzaminów i dyplomy za osiągnięcia sportowe, powrót syna wydawał się wciąż realny.

Obciągnęła wysłużoną narzutę, wygładzając zagniecenia brązowej tkaniny. Otworzyła szafę i na krótką magiczną chwilę cofnęła się w czasie, gdy otulił ją zapach jej chłopca – boisk do krykieta, wody toaletowej blue

stratos, ziemi i skóry.

Ze wspomnień wyrwał ją dzwonek telefonu.

– Carla? Mówi Deirdre. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam w kolacji?

– Nie. Jeszcze nie siedliśmy do stołu. Kev jest ciągle na dworze.

– Dostałam twoją wiadomość i...

– Tak. Dziękuję, że oddzwoniłaś. Chciałam zapytać, czy nie szukasz nauczycieli.

– Cała Carla Reid! Trzeba było czekać, aż pisklę wyfrunie z gniazda, żebyś wróciła do pracy.

Carla się roześmiała.

– Właściwie to... Przydałyby się nam dodatkowe pieniądze.

– Komu by się nie przydały – odparła dyrektorka. – W tej chwili niestety nie mam wolnych etatów, ale mogę na razie wpisać cię na listę zastępstw, a niedługo powinnam znaleźć coś stałego.

Carla poczuła, jak napięcie goszczące do tej pory w mięśniach karku odpuszcza.

– Cieszę się, że do nas wracasz, Carlo. Naprawdę.

Carla odłożyła słuchawkę. Zmierzch zapadał szybko. W kuchni zrobiło się ciemno, a całe obejście zatoneło w blaknącym świetle wieczoru. Mimo długiej listy zadań do wykonania przypiętej do drzwi lodówki, Carla uznała, że przed kolacją z niczym już nie zdąży i postanowiła nalać sobie drinka.

Wdrapała się na przystawiony do kredensu taboret i z trudem sięgnęła na najwyższą półkę. Kevin nie uwzględnił jej niskiego wzrostu, kiedy montował szafki.

Natrafiała dłonią na ostatnią z ośmiu szklaneczek, które kupili w czasie swojej jedynej wycieczki zagranicznej – podróży po Jukatanie dwadzieścia lat temu. Była to masywna, niebieska musztardówka z drobinkami czystego szkła ukrytymi w grubych szafirowych brzegach. Przez sześć tygodni targali pełny zestaw po całym Meksyku, a Kevin nie przestawał przeklinać jej impulsywnego zakupu.

Carla ścisnęła torebkę z lodem i twarde kryształki wysypały się ze stukiem na ladę. Jeden z nich przywarł jej do palców i boleśnie podrażnił skórę, kiedy go strząsnęła. Otworzyła butelkę whisky i napełniła szklanę bursztynowym płynem przy grzechotaniu i syku zamrożonych kostek.

Właśnie miała pociągnąć pierwszy łyk, gdy usłyszała kroki za plecami. Podskoczyła, a szklanka wypadła jej z dłoni. Szkło i whisky rozprysnęły się po podłodze.

– Jack!

Syn stał pośrodku kuchni z przekrzywioną głową, unikając nisko zawieszonych belek pod sufitem, i wpatrywał się w Carlę z przestraczem. W ręce trzymał bukiet fioletowych irysów.

– Drzwi były otwarte. Chciałem zrobić ci niespodziankę.

Carla ze świstem wciągnęła powietrze.

– To ci się udało!

Zrobił skruszoną minę.

– Przepraszam, mamó. Pójdę po szczotkę.

– Nie, zostaw! Zaraz posprzątam. – Chwyciła go za rękę. – Czekaaj, niech ci się przyjrę, mój przystojniaku.

Wyglądał tak dorośle w krawacie i marynarce. W ogóle nie przypominał

tego wiecznie umorusanego chłopca dokazującego w strumieniach i na końskim wybiegu, z którym latami musiała toczyć boje o każdą kąpiel.

Jack uśmiechnął się i przygarnął ją szczupłym ramieniem. Carla wyczuła od niego subtelny zapach miasta.

– Wszystkiego najlepszego – powiedział, wręczając jej kwiaty.

Cały Jack. Zawsze był bardzo kochającym synem. Już jako sześciolatek kupował jej błyskotki na jarmarku za swoje kieszonkowe. Carli przemknęły przed oczami obrazy z przeszłości – lata tęsknoty i pustki, potem ta oszałamiająca wiadomość, nadzieja i w końcu cud. Dziecko. Pierwsza noc na oddziale położniczym – Kevin śpiący w fotelu obok łóżka z ich maleństwem przytulonym do piersi i wysoki wazon ciemnofioletowych irysów na szafce.

Rozmowę przerwał hałas ujadających psów.

– Chyba tacie przydałaby się pomoc – stwierdził Jack, wyglądając przez okno.

– Najpierw idź się przebrać i weź prysznic.

– Później, mamó – odparł. Odwiesił marynarkę, ściągnął krawat przez głowę i wyszedł.

Carla patrzyła za obrysowaną wieczornym światłem sylwetką idącą przez padok, dopóki nie rozmyła się ona w mroku. Kobieta przykucnęła niechętnie i zaczęła zbierać z ziemi potłuczone kawałki szkła, dziwnie przygnębiona. Nie przypuszczała, że utrata szklanki sprawi jej taką przykrość. Miała wrażenie, że zerwała się jakaś nić łącząca ją z przeszłością.

Z zadumy wyrwał ją nagły, przeszywający ból. Na dłoń trysnął strumień świeżej krwi. Zaklęła i pobiegła do łazienki, zostawiając za sobą cienki, szkarłatny ślad.

Kolacja grzała się już od pewnego czasu, kiedy Carla dojrzała wreszcie ojca i syna pnących się po zboczu w stronę domu. Szli identycznym krokiem, obaj przygarbieni w typowy dla wysokich mężczyzn sposób. Jack przerósł już ojca przynajmniej o pięć centymetrów. Pogrążeni w rozmowie, przystanęli nieopodal kuchennego wejścia. Z początku pomyślała, że się zasapali – podejście mogło być męczące pod koniec długiego dnia – ale zatrzymali się dłużej niż trzeba, aby złapać oddech. Nawet kury zdążyły już wrócić do swojego grzebania.

Kevin zauważył ją w oknie i posłał jej szybki uśmiech, podnosząc w górę rozpostartą dłoń na znak, że będą za pięć minut.

Ojciec i syn dobrze się rozumieli mimo różnicy charakterów. Kevin był typowym Anglosasem, powściągliwym w słowach i w uczuciach, zrównoważonym jak wyrobiony traktor. Żadnych niemiłych niespodzianek czy zapaści, ale też bez porywów fantazji. Jack był bardziej zapalczywy. W jego żyłach buzował włoski temperament Carli, a impulsywność już nie raz wpędziła go w tarapaty. Na szczęście ratował się zwykle urokiem osobistym. Miał teraz dziewczynę – dopiero pierwszą, o dziwo – chociaż jeszcze im jej nie przedstawił. Z tego, co dotarło do Carli, dziewczyna studiowała logopedię i tak samo jak Jack uwielbiała plenerowe wycieczki. To dlatego ostatnio ich chłopiec dzwonił do domu tak rzadko.

„Przetóż opuści człowiek ojca swego i matkę, a przyłączy się do żony swej...”^{*} – zadźwięczały jej w uszach słowa niedzielного kazania. Syna użyczano rodzicom tylko na jakiś czas. Córka była na zawsze.

Ostatnio Carla nie mogła się powstrzymać, żeby nie wracać myślami do bolesnych wspomnień, które tak skutecznie wypierała przez lata. Gdyby Gabby dane było przeżyć więcej niż kilka tygodni, Carla i Kevin mieliby teraz także dorosłą córkę.

Światło dnia już zupełnie zgasło, kiedy całą trójką usiedli do kolacji. Carla była rada z wczesnego jesiennego zmierzchu. Wieczór tworzył uroczysty nastrój. Zapaliła świece i zaciągnęła zasłony, dzięki czemu w dużym pokoju zrobiło się przytulnie i stylowo. Ułożyła nawet wachlarze z serwetek, tak jak w restauracji.

– Mamo, przysługują drugie dokładki? – spytał Jack, zerkając na ostatni, apetyczny kawałek zapiekanki.

– To jest dla ciebie do zabrania – odparła i odsunęła naczynie z dala od syna.

– Co za twarda baba – zażartował Jack. – Jak ty z nią wytrzymałeś tyle czasu, tato?

Kevin uśmiechnął się, ale oczy przesłaniał mu cień. Carla próbowała odgadnąć, o czym tak rozprawiali na podwórzu.

– Zostaw sobie miejsce na deser – powiedziała, wskazując szarlotkę. – Ej! Łapy precz!

Jack przerwał wykrobywanie resztek kremu z czerwonego dzbanuszka i spojrzał na rodziców z nagłą powagą w oczach.

– Mamo. Tato. Tak sobie myślałem... O farmie i całej reszcie. Ile to dla was pracy.

Kevin przechylił głowę i spojrzał na syna spod zmarszczonych brwi.

– Praca nigdy nikomu nie zaszkodziła, chłopcze.

– Wiem. Ale ty i mama się starzejecie...

– Wielkie dzięki! – Carla parsknęła śmiechem. – Ciągnę jeszcze o własnych siłach.

– Chodzi mi o to, że przecież nie będziecie zrywać się o czwartej nad ranem do końca życia, prawda?

Po wyjeździe z domu Jack zapuścił włosy, które teraz ujawniły swój naturalny skręt. Tak bardzo przypominał Carli jej własnego ojca. Nie tylko w lukrecjowoczarnych oczach i oliwkowej karnacji, ale też w swoim zapale, uporze i oddaniu. Tata był niewiele starszy od Jacka, kiedy musiał ukrywać się w turyńskich kanałach przed Czarnymi Koszulami Mussoliniego, zanim uciekł z narzeczoną statkiem do Nowej Zelandii.

Kevin cmoknął językiem.

– Nie jest aż tak ciężko, jak mówisz. Rangi i Rebecca sporo nam pomagają. Prawdę mówiąc, to najlepsi dzierżawcy, jacy kiedykolwiek nam się trafili. Poza tym już niedługo będę mógł chrapać do szóstej – dorzucił – kiedy ty będziesz zasuwiał od świtu.

Jack wsunął sobie dłonie pod uda i wtulił głowę w uniesione ramiona.

– Właśnie widzisz, tato, rzecz w tym, że... Nie wiem, czy chcę... Podoba mi się w mieście.

Kevin odłożył widelec i otarł usta serwetką, po czym znieruchomiał ze wzrokiem wbitym w podkładkę pod talerzem. Carla zamknęła oczy.

Jack przełknął ślinę.

– Po prostu nie jestem pewien, czy chcę do końca życia pracować na gospodarstwie. W banku zaproponowali, że opłacą mi studia na wydziale finansów.

Carla otworzyła oczy i spojrzała przez stół na Kevina. Jack miał zaczepić się w banku tylko na jakiś czas, aż zarobi pieniądze na swoje ZD. „Zamorskie doświadczenie” stało się tradycyjnym etapem w życiu młodych Kiwusów –

szansą na zwiedzenie świata i zasmakowanie przygód zanim się ustatkują. Potem Jack zamierzał wrócić na farmę. Taki był plan: za pięć lat przyjeżdżasz do domu, pracujesz razem z tatą, a w końcu przejmujesz gospodarstwo.

– Studia – powtórzył wolno Kevin. – Cóż... Jeżeli tego właśnie chcesz. Powiedzieli, że pokryją czesne, tak?

Jack mówił dalej, wyraźnie chcąc jak najszybciej wyrzucić z siebie przećwiczony tekst. Jego słowa były niepewne, a postura dziwnie usztywniona, jak gdyby występował przed obcą publicznością. *Mały Jack zgrywa dorosłego*, pomyślała Carla. Miała ochotę sięgnąć przez stół i mocno nim potrząsnąć. Cofnąć czas. Skasować jego słowa.

– I zacząłem się zastanawiać nad tym, co będzie z wami i z farmą. Może lepiej rozszerzyć działalność? Założyć hodowlę alpaka albo strusi. To o wiele mniej pracy niż w mleczarstwie.

Kevin kiwał się na krześle, opierając ogorzone ramiona o blat stołu. Na czole wystąpiły mu głębokie bruzdy.

– A kiedy to by się rozkręciło, moglibyście zmniejszyć produkcję mleka.

Och, Jack! Carla potarła kciukiem wierzch drugiej dłoni, rozciągając skórę aż do bólu.

Jack nie przestawał mówić. Słowa spływały mu teraz z ust z lekkomyślną łatwością.

– Mielibyście czas, żeby podróżować. Mama ciągle powtarza, jak bardzo chciałaby pojechać do Włoch. Powinniście trochę pokorzystać z życia, a nie wiecznie harować. – Zerknął na nią z ukosa.

Carla usiadła prosto, przetrawiając to, co usłyszała, i skrzętnie ukrywając

swój zawód. Jack wyjechał raptem kilka miesięcy temu, a ona już czuła się odcięta od jego świata, pozbawiona przywileju bliskości, którym, jak podejrzewała, cieszyła się teraz dziewczyna syna. Jedyne nadzieja na jego powrót pozwalała jej znosić tę pustkę.

Objęła wzrokiem Kevina, swojego krzepkiego mężczyznę, który uprawiał ziemię, troszczył się o rodzinę i unikał miasta. Pod tym twardym pancerzem prowincjusza krył się wrażliwy, nieśmiały Kiwus, który lubił słuchać poezji i całym sercem kochał swojego syna, chociaż nigdy by mu tego nie powiedział. Dla niego decyzja Jacka była nie do pojęcia.

– Bank, he – powiedział Kevin z westchnieniem, przyciskając kciuk i palec wskazujący do oczu.

– Wiesz co, tato, pogadajmy o tym kiedy indziej. Niepotrzebnie dziś poruszyłem ten temat – wycofał się nagle Jack. – Jest wasza rocznica ślubu. – Odwrócił się. – Mamo, ciągle robisz najlepszą szarlotkę na świecie.

Carla uśmiechnęła się nieco zbyt promiennie.

Kevin pochwycił aluzję i dołączył schrypniętym głosem:

– Tak, Carlo, wspaniała kolacja. Wiesz, co mówią: „Całuje się przez chwilę, gotuje przez całe życie”. Chociaż w całowaniu też jesteś świetna. – Z tymi słowami odsunął krzesło i dźwignął się ciężko z miejsca. Na farmie był wciąż sprawny i silny, lecz zapalenie stawów płatało czasem figle jego kolanom.

– Co powiesz na kieliszek porto?

Wyglądał tak żałośnie, bardziej przygarbiony niż zwykle, z zagubieniem w oczach.

– Świetny pomysł. Napijmy się na tarasie – zaproponowała. Otworzyła

francuskie drzwi, wpuszczając noc do środka. – Jest jeszcze przyjemnie.

– Ja wolę piwo – rzekł Jack i ruszył do kuchni. Carla poszła za nim.

– Wiesz, że właśnie zburzyłeś marzenia twojego taty? – powiedziała, stając za synem myskującym w lodówce.

Jack odwrócił się z nieszczęśliwą miną. Carla natychmiast pożałowała swych słów, ale było za późno. Jej rozczarowanie zostało samolubnie ujawnione.

– W kuchni już nie ma! – zawołał Kevin z salonu. – Może znajdziesz jakieś w garażu.

Przez chwilę matka i syn spoglądali na siebie w błękitnej poświacie lodówki.

– Chodzi mu o piwo – powiedziała i dodała szybko: – Przepraszam, Jack.

Ale on już się odwrócił i zniknął w korytarzu.

Księżyc wisiał na niebie jak świąteczna bombka, osrebrzając blaszany dach obory i zmieniając gałęzie wierzb w migotliwe łańcuchy choinkowe. Carla z westchnieniem opadła na rozciągnięty leżak. Kevin podał jej drinka i usiadł na krześle obok. Wziął ze sobą paczkę stuyvesantów. Siedzieli w milczeniu, rozkoszując się nocną ciszą przerywaną jedynie pohukiwaniem sowicy. Czuli między sobą nowy rodzaj bliskości – wspólne osamotnienie, które przyniósł dzień.

– Dwadzieścia siedem lat, Carl. Całkiem niezły wynik – rzekł Kevin, klepiąc ją po udzie. – Pamiętasz nasz pierwszy taniec w Domu Murarza? Przyszłaś późno i wszystkie oczy zwróciły się na tę śniadą pięknosc.

– Sam też prezentowałeś się niczego sobie, Elvisie – odparła z wymuszonym śmiechem. – Nie licząc tych koszmarnych, złotych dzwonów,

które co chwilę musiałeś podciągać!

– Przeklęty kostium był na mnie za duży. – Zachichotał. – Do tej pory nie wiem, jak mi się udało. Pewnie kula dyskotekowa tak cię zahipnotyzowała.

Carla wygięła się i pocałowała go w policzek.

– A twój nieszczęsny ojciec – ciągnął Kevin, potrząsając głową. – Biedak był przekonany, że jego jedyna córka idzie na stracenie. Chociaż ten wielki Kiwus z dwiema lewymi nogami nie okazał się w końcu taki zły. – Zaśmiał się, ale bez rozbawienia. Była to mężna próba przykrycia dawnej porażki.

Położyła mu rękę na dłoni.

– Będzie dobrze, Kevinie. Zobaczysz.

– Mogę zapalić? – zapytał, szukając zapalek po kieszeniach.

Carla nie broniła mu papierosa od czasu do czasu.

– Tylko nie proponuj Jackowi.

Kevin zaciągnął się, a dymiący koniuszek zajaśniał na czerwono. Odchylił głowę do tyłu i wypuścił smugę dymu w ciemność.

– Męczysz się na farmie? – zapytał, patrząc w niebo.

– Skąd ci to przyszło do głowy?

– Może Jack ma rację. Nie podróżujemy za wiele.

– Przestań, Kev! Mamy dobre życie. Bardzo dobre. Wiesz, jaki jest nasz Jack. Tysiąc pięćset pomysłów na minutę. Gdzie on się w ogóle podział?

I wtedy poczuła na szyi coś zimnego. Pochyliła głowę i wstrząsnęła ramionami, żeby się od tego opędzić.

– Jack, głuptasie...

– Ani się rusz! – Łagodność wieczoru przeszył chrapliwy, nieznajomy głos.

Carla zastygła w miejscu.

Twarz Kevina przypominała kalejdoskop emocji – zaskoczenie przeobraziło się w strach, a następnie w furję. Próbując podnieść się z krzesła, zagrzmiął:

– Co to ma znaczyć, do diabła? – Twarz mu pociemniała i cały dygotał z gniewu. – Odłóż to! – Ruszył przed siebie.

Potem rozległo się ciężkie tąpnięcie i Kevin zwałił się bezwładnie na ziemię, uderzając skronią o róg ogrodowego stołu.

– Kevin! – krzyknęła Carla, ale zanim jej głos poniósł się w nocnej ciszy, jakaś dłoń zamknęła jej usta. Zapach był dziwny i obcy. Do gardła podeszły jej mdłości.

– Zamknij się, suko! Zostaw go albo dopilnuję, żeby więcej nie wstał.

Krew spłynęła Kevinowi po uchu, utworzyła bajorko w załamaniu podbródka i ściekła na deski werandy.

* *Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu*, Rdz 2, 24, przeł. Jakub Wujek, Wydawnictwo Apostolstwa Modlitwy, Kraków 1962 (przyp. tłum.).



CARLA

– Sto osiemdziesiąt siedem, stary. To jest sto osiemdziesiąt siedem!

– A wszystko o kant dupy potłuc, jak nie znajdziemy hajsu. Przeszukaj cały skład. – Wściekłe kroki oddaliły się w głąb korytarza. Trzasnęły drzwi. Zabrzęczało szkło. Obok Carli, tupiąc nerwowo, krążyła para podartych, czerwono-czarnych trampek o rozwiązanych sznurówkach. Powyżej widać było gładkie, brązowe kostki, a nad nimi gęszcz ciemnych włosów.

Leżała twarzą do ziemi na podłodze w holu ze stęchłym zapachem wejściowej plecionki przy nosie. Spódnica jej się zadarła. Chciała ją obciągnąć. Bąbelki śliny zagulgotały jej w gardle, próbując znaleźć ujście. Usta paliły ją tam, gdzie taśma klejąca wżarła się mocno w skórę.

Sześćdziesiąt dwa, sześćdziesiąt trzy, sześćdziesiąt cztery... Mogła jedynie liczyć gwałtowne uderzenia własnego serca, bo jej umysł przestał funkcjonować jak zamrożony ekran komputera.

– Gdzie jest szmal, dziwko? Pieniądze! Gdzie są jebane pieniądze?! – ryknął obok niej młody głos, zniekształcony przez fałdy chusty. Wydawało się, jakby ktoś wcisnął szybkie przewijanie. Carla nie mogła nadążyć, nie rozumiała rzuconych w jej stronę słów.

Oczy należące do tego głosu były przekrwione, rozpalone i dzikie.

– Może odbiorę sobie zapłatę inaczej.

– Nie! Zostaw ją! – krzyknął Kevin, grzebiąc rozpaczliwie po kieszeniach. – Nie trzymamy w domu pieniędzy, przysięgam. Weźcie cokolwiek. Wszystko! Tylko nie róbcie krzywdy mojej żonie. Proszę...

Carla ledwo mogła rozpoznać jego głos.

Powietrze przeciął świst klucza francuskiego, a Kevin zwinął się z głuchym stęknieniem. Znowu zaczęła liczyć.

– Jak mało, to dołożę! Gdzie jest kasa, dziadku? Macie sejf?

Na podłogę posypały się różne przedmioty – jej pomadka, terminarz, paczka chusteczek, zdjęcie paszportowe Jacka...

Jack! Był w garażu, gdy bandyci wdarli się do domu. Na pewno pobiegł po pomoc. *Boże, błagam!* Carla podniosła głowę, usiłując złowić spojrzenie Kevina i dać mu znak, by nie wspominał o synu. Ale Kevin nie patrzył w jej stronę. Przerażony kulił się w kącie.

Mogła przywołać w pamięci tylko dwa momenty, kiedy Kevin płakał. Po tym, jak umarła ich córeczka Gabby, zamknął się w łazience i długo, boleśnie szlochał. I gdy Pasha, jego ukochany owczarek zginął pod kołami traktora, Kevin, zanim podszedł pocieszyć żonę, sam także uronił kilka łez.

– Nic więcej nie ma, brachu – zawołał drugi głos. – Bierzmy sprzęt i spływajmy, zanim przyjadą pały.

Carla wstrzymała oddech, a w myślach przebiegały jej słowa *Ojciec nasz*.

– Nie, mam ochotę się spuścić.

– Daj spokój, TT. Zabierajmy się stąd.

– Odwal się, Ben.

Ręka złapała Carlę za pośladek. Kobieta krzyknęła, ale, tak jak we śnie, z jej ust nie wydobył się żaden dźwięk.

– Nie! – Głos Kevina zagłuszył złowieszczy rechot, który zdawał się nie mieć końca.

– Spokojnie, stary, obsłużymy się tylko z panią. Nie bądź takim samolubem. No nie, brachu?

Carlę obudziło uczucie dotkliwego zimna. Od kafelkowej posadzki pod wycieraczką bił lodowaty chłód, przenikając jej skórę i mięśnie, aż do kości. Jej umysł zarejestrował tylko to proste doznanie – zimno. Poza tym trwał w odrętwieniu, jakby poraził go ostry strumień prądu i przepalił naturalne połączenia, zacierając wszelkie ślady myśli i kasując pamięć. Próbowła zakasłać, ale w gardle ugrzązł jej jakby pęk jesiennych liści.

Zezując w dół, zobaczyła cień swoich nabrzmiąłych, popękanych ust. Przesunęła po nich językiem. Skrzepy suchej śliny i krwi zniekształciły ich miękkie kontury i wypełniły jej nozdrza obcym, paskudnym zapachem.

Jedna powieka uniosła się posłusznie. Druga ani drgnęła.

Coś po prawej stronie przykuło jej uwagę, ale głowa podążyła za tym dopiero z kilkusekundowym opóźnieniem. Poranne słońce iskrzyło się w odłamku stłuczonego szkła, rzucając na pokój tęczę światła.

Z mgły wyłonił się na moment gliniany dzbanuszek, po czym znowu zmętniał. Carla zmrużyła sprawne oko i przywróciła dzbanuszkowi ostrość. Koślawa, pękata skorupa z wyrytymi postaciami lwa, słonia i małpy. Wyglądała jakoś znajomo... Neurony w jej głowie rozpaczliwie szukały kontaktu, umysł próbował zaskoczyć i nagle spłynęło na nią pełne ulgi olśnienie! To miseczka, którą Jack zrobił na lekcji garncarstwa w trzeciej klasie. Jego pierwsze ceramiczne dzieło. Od ponad dziesięciu lat zajmowała

poczesne miejsce w holu.

To pierwsze skojarzenie pomogło Carli wyrwać się z próżni i wyzwoliło łańcuch dalszych połączeń wiodących na powierzchnię świadomości. Nagły przebłysk powalił ją niczym cios. Osunęła głowę na podłogę, dygocząc na wspomnienie, które z porażającą jasnością usytuowało ją w miejscu i czasie.

Jej ciałem wstrząsnęły dreszcze bólu i przerażenia. Na spieczone usta spłynęły metaliczne łzy. Duży palec u nogi napiął się boleśnie, aż zaczął dygotać. Próbowwała ponownie unieść głowę, lecz jaskrawe światło poranka, które, porzuciwszy zabawę w zrębach szklanego okrucha, rozlało się po całym pokoju, przygoździło ją na powrót do podłogi.

– Kevin! Jack! – zachrypiała głosem jak z poszarpanej taśmy magnetofonowej. – Kev?

Przekręciła głowę w lewo. Funkcjonujące oko omiotło pokój i zatrzymało się na bezładnej płataninie kończyn i ubrań. Kevin. Jego okaleczone ciało, zgięte pod kątem prostym, leżało nieruchomo pod ścianą.

– Kevin! Kev! Słyszysz mnie? Kevin!

Jej żaloszny krzyk zanikł w martwej ciszy. Sprawne oko biegało gorączkowo naokoło w poszukiwaniu Jacka. Chociaż skąd miałby się tu wziąć? Był w garażu, kiedy... Uciekł i sprowadził pomoc. Z ulgą przełknęła ślinę.

Musiała dotrzeć do Kevina. Ale nie była w stanie się poruszyć. Nawet podeprzeć na łokciu. Nie mogła odnaleźć rąk. Gdzie one się podziały?

Dopiero po chwili zorientowała się, że dłonie ma tak silnie związane z tyłu, że straciła w nich czucie. Po kilku nieudanych próbach, odpychając się na plecach nogami, jakby płynęła żabką, zdołała nieporadnie przepelznąć w stronę pokoju. Mięśnie jej mdlały, a skóra szorujących po płytkach ramion

piekła żywym ogniem.

Mniej więcej w połowie drogi jej ciało niespodziewanie zamarło i odmówiło dalszego posłuszeństwa.

– No dalej! – wrzasnęła Carla, wijąc się na podłodze jak świeżo wykopana dżdżownica. Kevin był tak blisko.

Niczym olimpijczyk na kilka metrów od mety wymusiła maksymalną koncentrację w każdej części ciała – nawet ból się w niej rozproszył, kiedy skupiła wszystkie siły i jednym ostatnim rzutem dopadła do męża.

Osunęła się na plecy Kevina i ukryła nos w jego koszuli przepojonej zapachem potu i strachu. Jakże uwielbiała przytulać się do niego w niedzielne poranki, tonąć w objęciach mocnych ramion i grzać się w jego ciepłe. Teraz ciało Kevina było zimne i nieruchome.

Z pokoju jakby uszło powietrze. Carla leżała przy mężu porażona tym nowym odkryciem, czując, jak ucieka z niej wszelka energia do życia.

Rozległo się nagłe pstryknięcie. Dalekie, ale wyraźne, a po nim z korytarza dobiegły tony Mozarta. Mozarta? Muzyka nasilała się coraz bardziej, aż całkowicie wypełniła wnętrze.

Ciężko dysząc, bezradna i zagubiona Carla poddała się łagodnym dźwiękom melodii, które stopniowo pochłonęły uczucie trwogi i wyzwoliły mieszankę wszystkich innych emocji, a wtedy z głębi jej wnętrza, z miejsca, którego dotąd nie znała, wydobył się rozpaczliwy skowyt.

Cztery świdrujące piknięcia przywróciły ją do rzeczywistości. „Pik. Pik. Pik. Piiiiiiik. Dzień dobry. Wtorek, dwudziesty marca, minęła godzina piąta. Czas na wiadomości”. Budzik radiowy!

Dopiero kiedy płacz ucichł, oddech się wyrównał, a gulgot przestał

huczeć jej w uszach, zauważyła coś w piersi Kevina. Ruch był tak delikatny, że prawie niedostrzegalny. Musiała całkowicie zastygnąć, żeby go uchwycić. Ale tak, ponad wszelką wątpliwość... Jego klatka piersiowa unosiła się i opadała, w miarę jak serce tłoczyło powietrze do płuc.



BEN

Zatrzymali się na opustoszałej stacji benzynowej. Mimo że od miejsca napadu dzieliła ich już ponad godzina drogi, Benowi serce nadal tłukło się w piersi, a w głowie wirowała spirala strachu i rozmaitych twarzy. Wszystko się w nim kotłowało: ekscytacja, napięcie, obrzydzenie. Miał wrażenie, że występuje w szalonej grze komputerowej.

Przez szybę sklepu widać było samotnego sprzedawcę za ladą. Facet miał na sobie przepisowy ubiór, a głowę otulał mu zwój białej tkaniny.

– Widzisz tego kolesia w turbanie? – powiedział Ben do Tate’a, który zanurkował pod kierownicę, szukając wajchy do otwarcia baku. – To sikh.

Tate zgrzytnął zębami w odpowiedzi. Dźwięk ten – podobnie jak pisk kredy o tablicę – przyprawił Bena o ciarki za uszami.

– Skołużę jakieś ciastka – mruknął Tate. – Jestem wściekle głodny.

Teraz, kiedy Tate o tym wspomniał, Ben też poczuł, że chce mu się jeść.

Tate wysiadł, nie gasząc silnika w toyocie, którą zwędzili z parkingu przed salonem dealera w Albany, porzucając auto, którym uciekli z farmy. Kończyło się w nim paliwo.

Ben pokręcił gałką radiową, skacząc po częstotliwościach, aż trafił na coś znajomego. *Snap Yo Fingers*. Pokiwał głową w rytm muzyki i zaczął ogryzać

paznokcie. Zaraz potem zobaczył, jak Tate w kapturze na głowie i z napakowanymi kieszeniami biegnie z powrotem przez podjazd.

– Rura! – krzyknął, wskakując do samochodu.

Czyli nie zapłacił.

Wystartowali gwałtownie, aż wewnątrz auta wypełnił smród palonej gumy.

– Odbiło ci, stary? – burknął Ben, obserwując w lusterku, jak sikh rzuca się do telefonu. – Właśnie straciliśmy całą przewagę w czasie.

Tate docisnął gaz i toyota zwiększyła prędkość – sto czterdzieści, sto pięćdziesiąt, sto sześćdziesiąt kilometrów na godzinę.

– Szkoda, że nie widziałeś miny tego frajera, kiedy wychodziłem – powiedział Tate z rozbawieniem. – Gość do mnie: „Przepraszam, zapomniał pan zapłacić”. – Obaj parsknęli śmiechem.

Nagle Tate zawrócił samochód z piskiem opon i pomknął w przeciwnym kierunku.

– Co ty...? – Ben miał dość niespodzianek. Tej nocy zdarzyło się już znacznie więcej, niż początkowo zakładał.

– Wyluzuj, brachu – rzekł Tate, skręcając ostro na parking na tyłach biblioteki publicznej. – Posiedzimy tu trochę, aż psy przestaną węszyć.

I tak właśnie zrobili, pałaszując ciastka, popijając colę i paląc jointy.

Tate się kompletnie zaczadził. Przez dwa dni przed ich wielkim skokiem jarał non stop, nic więc dziwnego, że zioło i alkohol w końcu zrobiły swoje i odpadł, z długim, chudym tułowiem uwieszonym na kierownicy.

Za to Ben się trzymał. Nie palił cracku, a na marihuanę też reagował inaczej niż pozostali. Jasne, przytępiała mu umysł, ale nigdy nie robił się

śpiący – raczej łagodnie odprężony, jakby powietrze uchodziło z niego na nieprzerwanym wydechu. Wszystko też stawało się superintensywne i wyraziste, jakby jego mózg włożył okulary albo ktoś nagle wpuścił światło w każdy najdalszy kąt jego umysłu.

Pierwszego jointa zapalił w wieku dwunastu lat. W domu trwała impreza i hałas nie dawał mu zasnąć. W drodze do łazienki natknął się na kobietę w szpiczastych kowbojkach, fioletowym ponczo i złotym farmerskim kapeluszu.

– Chcesz się sztachnąć, mały? – zapytała, wyciągając ku niemu skręta.

Chciał. I w jednej chwili wszystkie zmory w jego głowie zwiędły jak chwasty po spryskaniu roundupem. Kilka buchów zioła było lepsze od terapii rodzinnej i zdecydowanie łatwiejsze niż ucieczka z domu. Wpadł od pierwszego blanta. Przyjemność nie należała do najtańszych, lecz i tak zawsze dzielił się wszystkim, co miał, z Lily. Jego siostra potrzebowała tego bardziej niż on.

Raz, kiedy jeden z lowelasów mamy – Ben nie pamiętał który – ostro ją sponiewierał i leżała na podłodze w sypialni jak poobijany grejpfrut, Ben zaproponował jej macha. Chociaż ledwie żywa, nie omieszkała opieprzyć go za janie. Zaserwowała mu bełkotliwą gadkę pełną moralizatorskich dyrdymałów, po czym wzięła od niego jointa i wypaliła całą resztę sama. Na koniec wylądowali razem na podłodze pod ścianą, zanosząc się od śmiechu, mimo że mama miała paskudnie rozciętą wargę i rozkwaszony nos.

Tate chrapał donośnie. Ben zerknął na niego z boku. Czerwona plama na dzinsach towarzysza pociemniała i zmieniła się w czarny kleks. Ben odchylił oparcie siedzenia do samego poziomu. Podniósł oczy na sufit i prześledził wzrokiem linię grubego spojenia tapicerki, które zniknęło za osłonami od słońca, wyłaniało się z drugiej strony i biegło wzdłuż przedniej szyby, by na

koniec zatoczyć pętlę wokół lusterka wstecznego. Z jakiegoś powodu nie mógł przestać myśleć o tym sikhu ze stacji. Ciekawe, że akurat o nim, po tym wszystkim, co przeżył tej nocy. Ale facet przypominał mu jednego z dawnych nauczycieli, pana Singha. Gdyby wszyscy byli tacy jak on, Ben nie rzuciłby szkoły. Wysoki gość – ponad metr osiemdziesiąt wzrostu – z czarną, wełnistą brodą, ciemnymi oczami i kremowym turbanem na głowie. Ben uśmiechnął się na wspomnienie skarpetek pana Singha. Matematyk dzień w dzień nosił jedno i to samo ubranie: brązowy garnitur, beżowy krawat, brązowe, sznurowane półbuty i soczyście zielone skarpetki.

Podobno zanim został nauczycielem, Singh pracował w sądzie. Widać było, że nie uczył od zawsze. Nie miał tak wypalonego spojrzenia jak inni. Jego twarz tryskała świeżością, niczym dojrzały arbuz. I zawsze sprawiał wrażenie, jakby lubił się z nimi spotykać.

Kiedyś Singh przyłapał Bena na bezmyślnym gryzmoleniu w czasie, gdy powinien rozwiązywać zadanie. Podniósł rysunek i przyglądał mu się niemiłosiernie długo, po czym pokazał klasie.

– Masz talent, Benie Toroa – stwierdził swoim dudniącym barytonem.

Do końca dnia Ben chodził dumny jak paw, mimo że dostał odsiadkę po lekcjach. I przez pewien czas potem pragnął zostać sikhem, chociaż nie był pewien, czy mógłby przekonać się do noszenia turbanu.

„Przeklinanie daje nieukom poczucie elokwencji”, zadzwoniło mu w uszach jedno z ulubionych powiedzonek Singha. Potarł głowę ze złością.

– Chuj z tobą! – bluzgnął, a jego głos odbił się po aucie. Tate drgnął.

Wtedy Ben usłyszał wycie syren. Zniżył się na fotelu, oddychając szybko. Dźwięk przybierał na sile coraz bardziej, po czym zaczął zamierać.

– Ej, TT. Obudź się, stary – syknął, potrząsając kolegą.

Tate otworzył oczy – dwie mlecznobiałe, połyskliwe kulki poprzecinane pajęczyną czerwonych żyłek.

– Pora się zwijać.

Stwierdzili, że zostawią samochód i zadzwonili do George'a, który przyjechał po nich ukradzionym nissanem. Najpierw zafundowali sobie we trzech przejażdżkę po Harbour Bridge, a następnie zawrócili do Glenfield w chwili, gdy czerń nieba nad horyzontem zaczęła powoli topnieć w nadchodzącym brzasku.

W GŁĘBI

Dogania mnie wiatr. Jego przesycony słońcem podmuch niesie ze sobą piasek wydm u brzegów Hokiangi, słońcą mgiełkę znad Cieśniny Cooka i ostry zapach dzikiego tymianku z południowych zboczy. Ileż to skarbów zagarnia czuły oddech wiatru. Przywiewa siarczane dymy znad wrzącego wnętrza ziemi w Rotorua, dźwięczny trel kędziornika, grzechot muszelek pipi przesypanych do siatki. Nasiąka pianą turkusowych fal wokół Hahei oraz ciemnym, wilgotnym chłodem lasów i drzewiastych paproci – sekwoi i agatisów, kiokio i mamaku. Wyczuwam cichą cierpliwość czterech rybaków w przystani Tologa Bay i słodycz miodu zbieranego przez gorliwego pszczelarza. Takie nieprzebrane bogactwo! A jednak nie mogę się nim cieszyć. Nie dzisiaj. Bo ten wiatr przygnał coś jeszcze...

„Utraciłaś kolejnego syna – poświstuje żałośnie. – Aotearoa, Nowa Zelandia, utraciłaś kolejnego syna”.

Ta wieść burzy mój spokój. Zasysa powietrze i światło, gasi wszelkie życie, jak gdyby cofało się dzieło stworzenia i wszystko powracało do Ranginui, Ojca Niebios, i Papatūānuku, Matki Ziemi.

Kolejny syn Kupe wypadł z mojego coraz lżejszego, wiotczącego kosza. Do czego to doprowadzi? Co się ze mną stanie?



CARLA

Carla dosłyszała głosy i zamarła. Wrócili! Bandyci wrócili. Wstrzymała oddech.

– Nie odsłonili okien – odezwał się mężczyzna. – Dziwne. Psy są ciągle zamknięte i chyba jeszcze nie jadły.

– Rangi, coś jest nie tak.

Carla wypuściła powietrze. To Rangi i Rebecca, dzierżawcy! Uniosła głowę, aby ich zawołać, lecz jej zastygły głos nie mógł się wzbić ponad szept.

– Może pojechali do Jacka do miasta. Albo budzik Kevina w końcu zastrajkował. – Na zewnątrz dał się słyszeć serdeczny śmiech Rangiego.

Carla znów spróbowała krzyknąć, ale wydała z siebie tylko słabe rżenie.

– Chodź, kurko, wydoimy krowy. Kevinowi należy się chwila odpoczynku.

– Zobacz. Volkswagen Jacka – zadźwięczał głos Rebekki. – To znaczy, że ciągle tu jest.

– Sama widzisz, że lepiej im nie przeszkadzać. Pewnie siedzieli do późna.

Czy to nie wczoraj wypadła ich rocznica ślubu? Kevin coś o tym wspominał.

Głosy zaczęły się oddalać.

– Po-mo-cy! – Zdarte gardło Carli palił ogień.

– Słyszałeś?

– Co?

– Wołanie.

Kroki zawróciły i rozległo się pukanie do drzwi.

– Halo! Jest tam kto?

Carla w panice rozejrzała się dookoła. U jej stóp stał kuchenny taboret.

Uniosła nogę i wierzgnęła z całej siły. Ostry ból przeszył jej kostkę. Stołek zachybotał się, ale nie stracił równowagi.

– Carla? Kevin?

Carla spróbowała ponownie i tym razem przewróciła krzesło, które upadło z łoskotem na skulone ciało Kevina. Z jego ust wydobyło się ciche gulgotanie.

– Słyszałeś, Rangi? W środku ktoś jest. To mi się nie podoba. Zadzwońmy po policję.

– Czekaj, kurko. Może uda się wejść. Widziałem uchylone okno w łazience.

– Ale Rangi...

– Co?

– Zamek jest otwarty.

Carla utkwiała wzrok w drzwiach. Klamka poruszyła się lekko.

Głosy Rangiego i Rebekki zniżyły się do szeptu.

– Zostań tu, a ja...

Do pokoju wpadł nagle snop jaskrawego światła. Carla zmrużyła oczy. Wejście wypełniła masywna postać Rangiego.

– Jezus Maria! Becks, dzwoń po pogotowie.

Carla ciągle się trzęsła mimo koca, którym otuliła ją Rebecca.

– Poduszkę! Daj Kevinowi poduszkę – wycharczała. – I jeszcze jeden koc. Jest taki zimny, Beckie. Gdzie ta karetka? Dlaczego to tyle trwa?

– Zaraz przyjadą, skarbie – uspokajała Rebecca, głaszcząc ją po ramieniu.

– Kev! Kevin, słyszysz mnie? – gorączkowała się Carla chropowatym szeptem. – Czy on słyszy? Oddycha? Ciągle oddycha, prawda?

– Tak mi się wydaje. – Rebecca popatrzyła na bezwładne ciało.

Rangi odłożył słuchawkę, uklęknął przy Kevinie i przyłożył mu ucho do piersi. Spopielającą twarz przesłoniła na moment burza brązowych włosów. Po chwili, która wydawała się ciągnąć w nieskończoność, kiwnął wreszcie głową.

Ciało Carli rozluźniło się. Wyciągnęła drżącą, posiniaczoną dłoń i chwyciła skrawek koszuli męża.

– Kevinie Reid, musisz być twardy, słyszysz?

Nagle coś jej się przypomniało.

– Becks, co to znaczy „sto osiemdziesiąt siedem”?

– Co?

– Jeden z nich powiedział... Powiedział, że to jest sto osiemdziesiąt siedem.

Rebecca obejrzała się bezradnie na Rangiego, który ze słuchawką przy uchu przyjmował instrukcje od dyspozytorki pogotowia, śledząc jednocześnie rozmowę żony i Carli.

– Przepraszam – wpadł w słowo dyżurnej po drugiej stronie linii – podobno jeden z napastników powiedział „sto osiemdziesiąt siedem”. Tak.

Twarz Rangiego stężała, a na śniade policzki wystąpiły mu jasne plamy. Opuścił wolno słuchawkę z przerażeniem w oczach. Rozkojarzony umysł Carli skupił się już jednak na czym innym.

– Chwała Bogu, że był w garażu – wybełkotała. – Poszedł po piwo. Nie wspominajmy mu o Kevinie. Jeszcze nie teraz.

– O kim ty mówisz?

– O Jacku! – zawołała Carla niecierpliwie. – Wezwał pomoc, prawda? – Odchyliła głowę, a jej oczy biegały nerwowo, w miarę jak umysł zaczynał powoli kojarzyć fakty. – Nie... Gdyby tak było, to wy...

Rebecca otworzyła usta i znów je zamknęła. Carla wodziła wzrokiem z jednego na drugie.

– Wy... Słyszałam was na dworze. Myśleliście, że śpimy. A ty powiedziałaś, że samochód Jacka ciągle stoi przed domem. Czyli gdzie on jest? Gdzie jest Jack? – Słowa tłoczyły się jej w ustach, próbując nadażyć za gonitwą myśli.

Niezdarnie dźwignęła się z ziemi.

– Carlo, poczekaj!

Ale ona już posuwała się chwiejnie korytarzem, z tętnem huczącym w

skroniach. Minęła splądrowany pokój Jacka oraz toaletę, w której pod lśniąca muszlą stała wielka, żółta kałuża, a w końcu swoją sypialnię z wybebeszonymi szufladami ciśniętymi bezładnie na podłogę. Dookoła walały się odarte z obwolut książki z połamanymi grzbietami. W szkatułce na biżuterię brakowało wieczka, a w jej wyściełanych sukniem przegródkach nie zostało nic poza jedną broszką uwięzioną przez wygięcie szpilki.

Dotarła do łącznika z garażem. Drzwi na końcu zdawały się tak odległe, jakby patrzyła na nie przez odwrócony teleskop.

Ściany korytarza zwężały się coraz bardziej, a podłoga ugiwała się pod jej stopami, lecz Carla nieporadnie parła naprzód.

Zatrzymała się przy panelowych drzwiach, z trudem odzyskując równowagę, i powoli nacisnęła klamkę.

Zionęła w nią gorąca, intensywna mieszanka zapachu pestycydów, paliwa do kosiarki i zakrzepłej krwi.

Lodówka stała otwarta na oścież, co z miejsca ją rozdrażniło. Normalnie powinna być zamknięta. Potem zauważyła nieotwartą, zgniecioną puszkę piwa leżącą na ziemi, a obok zakrwawioną łopatę.

Jej oczy błędziły czujnie po betonie, po czym znieruchomiały.

Przez chwilę wpatrywała się porażona – jak w tym ułamku sekundy tuż po skaleczeniu, zanim rana zaczyna krwawić, a receptory nerwowe rejestrują ból – aż dotarła do niej świadomość tego, co się stało.

Rebecca stanęła za nią.

– Boże! Nie! – zawołała, podnosząc do ust dygoczącą dłoń.

Z ust Carli dobywało się tylko dziwne gulgotanie. Zacisnęła oczy, ale było za późno. To, co zobaczyła, wryło się w jej pamięci i miało ją

prześladować już do końca życia.

Przycupnęła na ziemi przy ciele swojego syna, zachłystując się z braku powietrza. Wzięła głowę Jacka na kolana i z czułością ocierała mu czoło, uszy i szyję rąbkiem spódnicy.

– Wszystko dobrze, synku. Jestem przy tobie. Wszystko będzie dobrze.

Rebecca odwróciła się i wypadła z garażu, żeby wymiotować. W oddali rozległ się jęk syren.



CARLA

– Jack mnie potrzebuje! – krzyczała Carla, opędzając się od ratownika. – Nie mogę go zostawić! Nie!

– Musimy zabrać panią i pani męża do szpitala – tłumaczył młody człowiek. – Rozumiem, co pani czuje.

– Nieprawda. W życiu pan nie zrozumie... Nigdy...

Awanturę zagłuszył dźwięk syreny, gdy karetka, w której znajdował się Kevin, z chrzęstem opon wyjechała za bramę.

– Carlo, skarbie, spokojnie – mitygowała Rebecca, głaszcząc ją po ręce. – Jak najszybciej musi zbadać cię lekarz. Czekaś, zrzuciłaś koc. Cała się trzęsiesz. Nie wstawaj.

– A co z Jackiem? Muszę zostać z Jackiem!

– Wiem. – Rebecce głos się załamał. – Ale garaż został zabezpieczony. Nikogo tam nie wpuszczają. Tak mi przykro.

Carla opadła z powrotem na nosze, a ratownik zaciągnął szeroki skórzany pas wokół jej nóg.

Kolejna myśl poderwała ją znowu do pionu.

– Krowy. Kto wydoi...

– Rangi wszystkiego dopilnuje. No już, połów się, skarbie.

Carla poddała się kojącemu dotykowi dłoni przyjaciółki na głowie. Ratownik rzucił Rebecce pełne wdzięczności spojrzenie.

– Becks, chce mi się pić. Mam tak sucho w ustach.

– Zaraz ci coś...

– Nie wolno jej nic pić przed pobraniem wymazu – rzucił człowiek w niebieskim kitlu, który przechodził obok.

Na podwórzu panował zamęt. Pośród obcych pojazdów stłoczonych na trawniku kłębił się tłum ludzi w jaskrawych kombinezonach, jakie wcześniej Carla widziała tylko w telewizji. Błyskały flesze, ujadły psy i mrugały koguty na samochodach. Biała furgonetka z wielką anteną satelitarną na dachu parkowała tyłem, łamiąc gałąź jesionu.

Rebecca wsiadła do ambulansu razem z Carłą. Ktoś zatrzasnął drzwi. Carla uniosła głowę i spojrzała w prostokąt światła. Biało-czerwona taśma ostrzegawcza z napisem „POLICJA, ZAKAZ WSTĘPU, POLICJA, ZAKAZ WSTĘPU” odgradzała ją od jej domu. Zamknęła oczy. Sanitariusz kucnął przy niej, aby zmierzyć puls. Dotyk dłoni w rękawiczce sprawiał dziwne wrażenie. Podobne jak przy zabawie w trupa z czasów dzieciństwa, w której trzeba było wystawić do góry dwa złączone palce wskazujące, a ktoś inny pocierał o nie dłońią.

Ponad warkot silnika i zawodzenie syreny wybił się nowy głos. Huknęły drzwi i na Carłę padł cień. Otworzyła oczy.

Na ławce po drugiej stronie siedział potężny mężczyzna w granatowym mundurze, przy którym Rebecca wyglądała, jakby się skurczyła. Carla napotkała jego szare, cętkowane oczy pod ciężkimi powiekami. Ciemne włosy sterczały mu, jak gdyby nie zdążyły jeszcze się uleżeć po niedawnym

strzyżeniu, a twarz nosiła ślad jednodniowego zarostu. Barczystą sylwetkę pompowała dodatkowo kamizelka kuloodporna. Miał duże dłonie, a każdy palec zakończony białym, równo przyciętym paznokciem.

– Pani Reid, inspektor śledczy Steve Herbert. – Jego spokojny głos dawał poczucie bezpieczeństwa. Mężczyzna położył Carli dłoń na odsłoniętym ramieniu. Poczowała bijące od niej ciepło. – Bardzo mi przykro.

Powiedział, że będzie nadzorował dochodzenie i nie spocznie, dopóki nie złapie tych zbrodniarzy – ludzi, którzy wtargnęli do jej domu, życia i ciała.

I tak tryby wymiaru sprawiedliwości zatrzeszczały, drgnęły i poszły w ruch. Ułożona w karetkie zmierzającej w świetle poranka w stronę North Shore Hospital, Carla starała się jak najobszerniej odpowiadać na konkretne pytania inspektora Herberta. Niektóre szczegóły zdążyły się już jednak zatrzeć w jej pamięci. Czuła się jak uczennica na egzaminie wstępnym – każda odpowiedź była na wagę złota. Jakby życie Jacka zależało od dokładności jej zeznań.

A przecież Jack nie żył. I nic nie mogło tego cofnąć. Nic. Śmierć była nieodwracalna.

Po przyjeździe do szpitala pojawiło się więcej pytań i ludzi – chirurdzy, lekarze dyżurni, pielęgniarki, śledczy sądowi, psychologowie – gąszcz uniformów, struktur i procedur. Przez cały czas w tle majaczyła postać inspektora Herberta, a jego cicha obecność dodawała Carli otuchy.

Straciła poczucie czasu. W rozświetlonym jarzeniówkami pokoju bez okien nie obowiązywał rytm dnia i nocy. Wydawało się, że upłynęła wieczność, zanim przeniesiono ją z oddziału ratunkowego do pojedynczej sali, gdzie została wreszcie sama z Rebeccą. Na szczęście przyjaciółka się nie odzywała. Gładziła tylko Carlę po głowie, aż ta zapadła w mroczny, burzliwy

sen.

– Pani Reid?

– Tak? – odparła Carla, siadając automatycznie. Język zdrętwiał jej w ustach, a umysł był ciężki od snu.

Drobna, siwa kobieta o nastroszonych włosach wślizgnęła się do pokoju.

– Nazywam się Kathryn Pepper. – Odłożyła na bok dużą, czarną torbę. – Jestem lekarzem z ośrodka pomocy osobom pokrzywdzonym przemocą seksualną – powiedziała łagodnie.

Miała intensywnie niebieskie oczy, różowe policzki i dźwięczny szkocki akcent.

– Wczoraj w nocy spotkało panią coś strasznego. Coś, co nigdy nie powinno się zdarzyć. Bardzo mi przykro.

Carłę zapiekło pod powiekami. Po policzku spłynęła jej łza.

– Moim zadaniem jest zebranie dowodów przeciwko tym, którzy panią skrzywdzili. Rozumiem, że to pewnie ostatnia rzecz, na jaką ma pani teraz ochotę, ale to bardzo ważne.

Carla kiwnęła głową.

– Czy chce pani, aby przyjaciółka została?

Carla na potwierdzenie chwyciła rękę Rebekki.

Doktor Pepper szczegółowo wyjaśniła kolejne etapy badania i Carla poddała swoje napięte, podrażnione tkanki kolejnej penetracji.

– To wszystko – powiedziała wreszcie lekarka, skrupulatnie zaklejając i opisując ostatnią plastikową torebkę. – W karcie zalecono pani antybiotyki, środki uspokajające i leki przeciwbólowe. Możemy teraz podać coś na sen.

Środki uspokajające? Tabletki nasenne? Carla wcześniej nigdy nie brała lekarstw.

– Mój mąż – wyszeptała. – Nikt mi nie chce powiedzieć. Jak on się czuje? Pielęgniarka... To chyba była pielęgniarka... Już dawno obiecała, że sprawdzi.

– Pójdę się dowiedzieć – zaoferowała Rebecca, szybko wychodząc z pokoju.



BEN

Cztery zaliczone, ale dalej stukasz

*Dyszy suka, ogarnia cię pustka...**

Słowa buchnęły z boomboxa i zadudniły o sklepienie mostu, po czym rozproszyły się w szumie samochodów. W powietrzu unosił się odór gnijących śmieci i słodkawy zapach marihuany.

– Nie zamulaj, Ben – rzekł Tate i strzyknął śliną. – Cienias jesteś czy co?

Ben otarł policzek rękawem. Nie znosił słowa „cienias”. Mierziło go tak samo jak gorzki smak upodlenia, który poczuł w ustach, kiedy Ryan, facet, z którym jego matka był do tej pory najdłużej, dał mu ostatnio wycisk, raniąc nie tyle jego ciało, co ambicję. Ben był twardy. Miał reputację.

– TT, tłumaczę ci tylko, jaka jest sytuacja. Moja ciotka mówi...

– W dupie mam, co mówi twoja ciotka, mięczaku.

To dlatego Tate był przywódcą. W jego żyłach iskrzyło jak w skrzynce z bezpiecznikami.

– Smród się rozchodzi, stary. Dziś rano widziałem sukę na ulicy. – Ben nie mógł się powstrzymać, a z każdym kolejnym słowem pewność siebie uchodziła z niego jak woda przez sitko. Nienawidził się za tę słabość.

*Bujam się tylko z twardymi ziomalami tymi, co noszą złoto, rządzą narzędziami.***

Tate wyprostował się, poruszając głową w rytm muzyki.

– Niech nas dojadą, stary. Nie ma problemu. To mi robi markę – rzekł i rozdziawił usta, by wydłubać sobie resztki jedzenia spomiędzy zębów. – Podaj blanta i przestań świrować. Srasz pod siebie od tamtego sto osiemdziesiąt siedem. Zaczyna mi to działać na nerwy.

Pozostali patrzyli na Bena pogardliwie. Mogli sobie pozwolić na luz. To nie ich ściagała policja. Nie tak miało być. Ben zrobił skok na farmę, żeby zdobyć sobie poważanie i awansować w hierarchii, ale sprawy wymknęły się spod kontroli. Nie miał w planach nikogo załatwiać. Początkowa ekscytacja z udziału w prawdziwej robocie ulotniła się jak euforia po tripie.

– Jak chcesz.

Nagle Tate skoczył zgasić głośnik i latarkę. Pokryte graffiti ściany kryjówek pograżyły się w mroku.

– Co...?

– Morda – syknął Tate, przesuając sobie palcem po szyi.

Ben ściągnął kaptur i przekrzywił głowę, nasłuchując odgłosów nocy. Lewis pociągnął nosem. Wiecznie miał katar. Nagle dosłyszeli pomruk basu i gwar przemieszanych głosów. Bańka powietrza stanęła Benowi w gardle.

– To GDB – szepnął ktoś.

W ciemności świsnęła butelka i roztrzaskała się o betonową rurę tuż za nimi. Zaraz potem, wśród rechotu i pohukiwań, nadleciał drugi rzucony na oślep pocisk.

Ben poczuł odpryski szkła na plecach niczym ostry prysznic. Nie drgnął.

Wszyscy trwali w bezruchu z oczami wbitymi w Tate'a, gotowi na jego sygnał. Czekali.

Ale nic się nie stało.

Atak nie nastąpił.

Głosy przeszły po moście i ucichły. Ben wypuścił powietrze.

Simi się poderwał.

– Trzeba im spuścić wpierdol – zaskrzeczał głosem już nie dziecka, lecz jeszcze nie mężczyzny, i błysnął żyłką w rękę. – Niech wiedzą, kto tu rządzi.

– Simi, wyluzuj – powstrzymał go Tate. Zapalił latarkę i oświetlił im kolejno twarze, jakby tropił wroga. – W swoim czasie otagujemy wylotówkę. To będzie nasz teren. Wykurzymy tych śmierzących parchów.

Tate machnął latarką. Snop światła omiótł melinę, wyłaniając z mroku fragmenty betonu i wypisanych sprayem haseł oraz wielką wetę jaskiniową przyczajoną głową w dół na zmurszałym dachu. Tate zarżał donośnie. Zaczęli w ciemności boksować powietrze, a echo powielało ich śmiechy.

– Stary, skąd masz to limo?

Ben podniósł rękę do oka.

– Prezent od Ryana – rzekł po dłuższej chwili obojętnym tonem. – Postawiłem się, kiedy grzmocił matkę.

– Stara prukwa, pewnie zasłużyła – prychnął Simi.

Ben poderwał się i złapał dzieciaka za gardło.

– Jedno słowo na temat mojej matki i nie żyjesz, słyszysz? Zajebię cię, przysięgam.

Simi odepchnął go na ścianę.

– Hej! Weź na wstrzymanie, brachu. Tylko żartowałem. Naprawdę masz spinę po tym skoku z Tate'em.

– Zapamiętaj sobie...

– Patrzcie, co na dziś skołowałem – przerwał pyskówkę Tate. W ręce trzymał białą plastikową torebkę. – Szary metalik – obwieścił z dumą. Wydobył puszkę aerozolu i potrząsnął nią jak barman miksujący koktajl.

Kiedy nadeszła jego kolej, Ben rozpylił farbę wewnątrz reklamówki, przyłożył sobie ciasno zwinięty otwór do ust i wdychał głęboko. Chwilę potem magia zaczęła działać, zacierając pamięć o białym dzieciaku zatłuczonym łopata, wrzasku kobiety, którą zajmował się Tate i starym człowieku wierzgającym bezradnie na podłodze jak chrabąszcz przewrócony na plecy.

Było mu dobrze w tym błogim stanie otępienia. Razem z resztą kumpli o iskrzących wargach uleciał do innego świata – jak kosmici napędzani srebrnym metalikiem.

W GŁĘBI

Patrzę i zalewam się łzami. Pohańbiłeś mana, którą przekazali ci w darze przodkowie znad wielkiej rzeki, twoi praojcowie, którzy przybyli tu na łodziach „wielkiej floty”. Przynosisz wstyd swojemu tangata whenua, swojemu iwi, hapu i whānau.

Czy kiedykolwiek w ogóle słyszałeś te słowa – „plemię”, „pokrewieństwo”, „rodzina”? Nie znasz te reo Māori, języka, który strzeże twej historii i przechowuje twoją przeszłość. Zbyt dawno zostałeś odcięty od korzeni. Jak pustynny biegacz miotany tam, gdzie rzucają go podmuchy wiatru, błąkasz się bez więzi i przynależności, bez poczucia wspólnoty.

Jestem tuż obok ciebie, ale ty nie słyszysz moich łkań i karakia. Może lepiej zaprzestać modlitw i zostawić cię samemu sobie? Nie ty pierwszy i nie ostatni kalasz honor naszego ludu.

Nie, zostanę. Jeszcze na jakiś czas. Bo widzisz, ta historia, twoja historia, sięga znacznie dalej niż ty.

** Ice-T, Return of the Real z albumu Return of the Real, Priority Records 1996 (przyp. aut.) – tłum. A. S.*

*** Ice-T, Forced to Do Dirt z albumu Return of the Real, Priority Records 1996 (przyp. aut.) – tłum. A. S.*



CARLA

W zatłoczonym kościele było gorąco i duszno. Organistka, której pod pachami wykwitły ciemne plamy potu, umościła się wygodnie na krześle, wyciągając beczkowate nogi, aby dosięgnąć pedałów. Czerwone, spuchnięte stopy zdawały się rozsadzać jej sandały jak ciasto chlebowe napęczniałe w misce. Wierni podnieśli się z miejsc.

Carla spuściła wzrok na kartonik z porządkiem mszy, z którego patrzyło na nią zdjęcie jej jedynego syna: senne, brązowe oczy, niesforne włosy, zarys blizny delikatnie unoszącej górną wargę.

Dookoła rozbrzmiała muzyka, ale Carla nie była w stanie śpiewać. Zamiast tego skupiła się na dzieciach po drugiej stronie nawy. Córeczka Rangiego i Rebekki ćwiczyła jak najszybsze chowanie i wyjmowanie rąk z kieszeni ogrodniczek. Obok niej wierciła się płowowłosa dziewczynka z cienkimi kucykami i przejrzystą cerą, która co chwilę obracała głowę, jakby chciała sprawdzić, czy Carla już zanosi się od płaczu, tak jak wypadało. Dalej dwaj chłopcy Bev prześcigali się wśród przepychanek w tym, kto stanie wyżej na palcach.

Nie chcąc napotkać niczyjego wzroku, Carla zadarła głowę i utkwiała oczy w ciemnych drewnianych łukach pod sklepieniem. Znała je na pamięć, tak jak i cały budynek – poprzecierany dywan w odcieniu liturgicznego fioletu,

wykuty z żelaza kandelabr, prosty drewniany krzyż. Od lat nie opuściła ani jednej mszy.

Gdy muzyka ucichła, ksiądz Allan odchrząknął.

– Może nie wszystkim wiadomo, że Jack, pośród innych rzeczy, uwielbiał również poezję. Zaraził się tym od ojca.

Duchowny odwiedził ją u Geoffa i Mildred w poniedziałek, by omówić szczegóły ceremonii. Od wyjścia ze szpitala Carla mieszkała u szwagra i jego żony. Geoff, krzepki mężczyzna o zapadniętych policzkach, był młodszym bratem Kevina. Miał w Auckland kilka sklepów ze sprzętem elektronicznym. Carla od lat starała się utrzymywać z nim poprawne stosunki ze względu na męża.

Kapłan uśmiechnął się z ambony.

– I często w zimowe, niedzielne wieczory w domu Reidów siadało się przy kominku i czytało wiersze.

Carla poczuła, że także się uśmiecha na wspomnienie tych uroczych spotkań. Ostra gouda, szalotki. Magia słów Fiony Farrell i Kevina Irelanda. Czasami dołączali do nich znajomi Jacka z gitarą lub saksofonem i robiła się cała impreza.

– Szczególnie utkwił mi w pamięci jeden taki wieczór, gdy miałem okazję gościć u tej miłej rodziny. Jack sparodiował dla nas wtedy Sama Hunta. – Ksiądz Allan zachichotał, po czym urwał, jakby wracając myślami do tamtego dnia. – Carla poprosiła mnie, abym dzisiaj przeczytał właśnie ten wiersz. – Spojrzał na trzymaną w ręce kartkę znad półksiężycowych okularów. – Nosi tytuł *Piosenka na zimowe przesilenie**.

Możemy wierzyć w cuda.

To proste w taki dzień jak dziś.

*O brzasku na pięć minut
zza chmur przebiło słońce,
pierwszy raz od tygodni.*

Pocałunek.

*Zachwyciłem się tym lekkim muśnięciem,
ale po pięciu minutach
wszystko ch... strzelił.*

Głos kapłana opadł przy wulgarnym słowie, które zdecydował się przemilczeć. Mildred zmarszczyła brwi. Geoff chrząknął. Przez ułamek sekundy Carla poczuła się wolna.

Ale to jest

*najkrótszy dzień w roku,
gdy wszystko może się zdarzyć.*

Cuda to żaden problem.

Słońce przez pięć minut było z nami.

Wyjrzało i zniknęło z pocałunkiem.

*Wierzymy w cuda. To, kochanie,
jedyne, co mamy.*

Ciszę, która nastąpiła po ostatnich wersach, przerwał płacz dziecka. Zaraz potem rozległy się szmery wycieranych nosów i stłumione pokasywania.

Kevin nadal był w śpiączce. Potrzebował cudu.

Organistka znów uderzyła w klawisze.

– Carlo, już czas – szepnął Geoff, biorąc ją pod łokieć.

Wszystko wydawało się takie nierzeczywiste. Takie nie na miejscu. Kevin powinien być przy niej. A jednak znalazła się sama na pogrzebie ich jedyne go syna. Dom Reidów został rozbity, a jego pojedyncze odłamki nie znaczyły już tyle co całość. Czuła się jak niedopasowany klocek Lego.

Machinalnie podążyła za Geoffem w stronę trumny, przy której z naręczem irysów warował pryszczaty syn Geoffa, Blake. Jack nigdy nie przepadał za Blakiem, więc dlaczego to właśnie on stał tutaj i podawał kwiaty? To był pogrzeb jej dziecka. Blake żył, a Jack umarł. Powinno być na... Nie pozwoliła tej myśli rozwinąć się do końca. Skąd jej przyszło do głowy coś takiego?!

Carla wzięła pojedynczy kwiat i złożyła go pod fotografią Jacka na prostej skrzyni z jasnego drewna. Geoff namawiał ją na bardziej ozdobną trumnę, ale przynajmniej w tej kwestii Carla postawiła na swoim.

– Jack – wykrztusiła, lecz chrapliwy dźwięk, który wydobył się z jej zaciśniętego gardła nie brzmiał jak imię syna. Prowadzona przez księdza Allana z jednej strony, a przez Geoffa z drugiej, ustąpiła na bok, podczas gdy rodzina i przyjaciele ustawili się w rzędzie, by kolejno pożegnać zmarłego. Wkrótce wieko trumny zniknęło pod fioletową chmurą bezładnie składanych kwiatów.

Russell, najlepszy przyjaciel Jacka, przystanął nad katafalkiem z zaczerwienionymi oczami i opuchniętą twarzą. Obejmował ramieniem młodą kobietę o kasztanowych włosach i nadzwyczaj niebieskich oczach, które spuściła szybko, unikając spojrzenia Carli. Russell podszedł do Carli, biorąc ją niezgrabnie w ramiona.

– Pani Reid, jest mi tak...

Kiedy żałobnicy opuścili kościół, w środku, na ostatnie błogosławieństwo, zostali tylko Carla i rodzina Geoffa. Potem wprowadzono ją na dwór, w oślepiająco jasne światło dnia.

Przy karawanie, niczym wartownicy, czekali dwaj bladzi mężczyźni w jednolicie czarnych garniturach. Skłonili się z szacunkiem i weszli do kościoła. Ogarnął ją przypływ paniki. Nie mogła zostawić Jacka z nimi samego. Chciała zawołać „stop!”. Chciała ostatni raz utulić swojego chłopca, poczuć jego ciepłą skórę przy sobie, wygładzić zmierzwiłe brwi i nastroszyć włosy. Chciała krzyczeć, wierzgać i płakać. Potrzebowała Kevina. Chciała, żeby ją przytulił i przepędził tych okropnych ludzi. Nienawidziła ich wszystkich.

Popatrzyła znów w stronę drzwi kościoła. Stojąca pod witrażem trumna skąpana była w doniosłym, nieziemskim świetle.

Przyszły jej na myśl sceny ze znanych filmów, w których na tle zrujnowanych wojną krajobrazów nieznanne kobiety w jakimś odległym kraju rozpaczały nad szczątkami okaleczonych ciał – zawodziły, przeklinały, wyładowywały swój ból. Jakże by chciała móc tak totalnie pogрузić się w cierpieniu. Lecz zamiast tego, nie dając nic po sobie poznać, pozwoliła Geoffowi zaprowadzić się do jaguara i cicho zatrzasnąć drzwi.

„Wiesz, że właśnie zburzyłeś marzenia twojego taty?”. Ostatnie słowa, jakie skierowała do syna były pełne pretensji. Nigdy sobie tego nie daruje.

U Geoffa i Mildred wzięła przed stypą środek na uspokojenie – dwie drobne, białe drażetki, po których zanikały jakiegokolwiek uczucia i wszystko spowijało się mgłą. Ukryła się w łazience i tkwiła tam, dopóki ktoś nie zakaszał pod drzwiami dla pozorów.

W drodze do salonu natknęła się na dwoje świeżo przybyłych gości. Nie rozpoznała twarzy, ale zaprosiła ich na poczęstunek. Pięć minut później para z najwyższym zażenowaniem zorientowała się, że pomyliła adres, zmierzając na piknik urodzinowy dwa domy dalej. Według Carli ta dziwna wpadka nader trafnie wpisywała się w cały przebieg dnia. Nic do siebie nie pasowało. Już sam fakt pogrzebu jej syna był jednym wielkim nieporozumieniem.

Przez resztę popołudnia krążyła wśród ściszonych głosów i posępnych twarzy, podczas gdy ludzie z jakiegoś innego życia popijali letnią herbatę, zajadali kolorowe kanapeczki i grzecznościowo wychwalali widok z okien domu Geoffa i Mildred.

Wieczorem nakłoniła szwagra, żeby zawiózł ją do szpitala.

– Nic mi nie jest. Naprawdę. Potrzebuję tylko pobyc sama z Kevinem. Proszę cię, zrozum.

Od tamtej koszmarnej nocy każda chwila była zagospodarowana, każda emocja stłumiona, zanim się rozwinęła. Carla nie nadążała za nową rzeczywistością. Pragnęła zostać sama, aby rozproszone odłamki jej życia miały czas wrócić na odpowiednie miejsca. Musiała dokonać bilansu, ustalić i podsumować to, co utraciła i co jej zostało.

Kevin, poddany podstępemu działaniu leków, leżał ciągle tak samo nieobecny. Jego pierś wznosiła się i opadała z jednostajną regularnością, jakby coś tłoczyło mu powietrze do płuc, a potem je zasysało. Rany zaczynały się goić, zacierając dowody skali doznanego okrucieństwa i przeżytej traumy. Strupy robiły mniej wstrząsające wrażenie niż świeża, żywa krew. Skóra na skroni się zrosła, a ciemne sińce zachodziły żółcią.

Obok monitora u wezglowia łóżka Carla ustawiła jego zdjęcie zrobione kilka miesięcy wcześniej na grillu u znajomego. Dobrze oddawało jego

cierpkawy uśmiech. Jego postawną budowę. Jego urok. Chciała, żeby czuwający nad nim lekarze i pielęgniarki widzieli w nim człowieka, a nie tylko uszkodzone ciało. Bo jak na podstawie bezwładnego worka pogruchotanych kości mieli sobie wyrobić pojęcie o jego silnej postaci, inteligencji, stanowczym usposobieniu, jego życzliwości? Na szpitalnym łóżku wyglądał tak słabo i niepozornie, podłączony do różnych aparatów, zależny od każdego piknięcia.

Zasunęła kotary dookoła, odgradzając się od przygnębiającego widoku innych pacjentów intensywnej terapii. Kevin miał spierzchnięte usta i nieświeży oddech. Kiedy nachyliła się i pocałowała go w czoło, owiał ją zapach zleżącego potu. Jej łzy spłynęły mu na policzki, jakby to on płakał.

Uniosła chłodną kołdrę i stwierdziła, że wciąż jest nagi. Poszarzałą skórę pokrywały sińce, ślady nakłuc i plątanina plastikowych rurek. Nawet jego zwiotczały penis przyczepiony był do gumowego węża. Wzięła do rąk jego lewą dłoń – chyba jedyną część ciała, która uniknęła obrażeń – i zbliżyła ją sobie do nosa. Nie odnalazła już jego zapachu, tylko woń szpitala.

Lekarze zachęcali, żeby do niego mówić. Czytać mu na głos. Ale on przecież nie słyszał. Poza tym co miałyby powiedzieć? Nie będzie opowiadać mu o Jacku, to by go dobiło. Nic z tego. W każdym razie nie teraz. Może nigdy nie będzie na to szansy. Zagryzła usta.

– Pani Reid? – To był ten młody, choć już łysiejący, stażysta. – Wszystko w porządku?

Otarła twarz rękawem.

– Ładne zdjęcie – powiedział, spoglądając na fotografię nad łóżkiem. – Nie do wiary, ma oczy różnego koloru. – Od tygodnia Kevin ani razu nie podniósł powiek.

Lekarz zwrócił się ku niej.

– Jak się pani trzyma?

Zerknęła ponownie na mały wycinek twarzy męża przysłoniętej opatrunkiem na głowie.

– Dzisiaj odbył się... – Urwała i ostatnie słowo wymówiła bezgłośnie: – ...pogrzeb.

– Musiało być pani ciężko.

Odwróciła głowę. Nie chciała jego współczucia. Nie wiedziała, jak sobie z nim radzić. Mogło rozbudzić w niej coś, nad czym nie była w stanie zapanować. Wszystko by się posypało.

– Dobrze, że już po wszystkim – rzekła mocnym głosem. – Najgorsze było to ciągle odwlekanie. Czekanie na wyniki sekcji i tak dalej.

Skinął głową.

– Co z nim? – zapytała pośpiesznie.

Oboje spojrzeli na Kevina. Łatwiej było skupić się na nim.

– W ciągu ostatniej doby nastąpiła duża poprawa – powiedział młody człowiek, kładąc jej rękę na ramieniu.

Odsunęła się delikatnie.

– Dziś rano usunęliśmy dren z klatki piersiowej, bo płuco się zagoiło. Poza tym... – Podniósł do oczu kartę wiszącą w nogach łóżka. – Nerki funkcjonują coraz lepiej. Wszystko okaże się w ciągu najbliższych dni. Gdyby proces zdrowienia dalej przebiegał tak jak teraz... – Powiódł palcem po wznoszącej się krzywej na grafie. – ...to odłączymy respirator i, jeżeli będzie oddychał samodzielnie, postaramy się go wybudzić. Nadal jednak nie

możemy określić stopnia uszkodzeń mózgu. Wszystko w swoim czasie, prawda?

Carla kiwnęła głową.

Wkrótce potem przyszedli z przenośnym aparatem rentgenowskim zrobić Kevinowi prześwietlenie. Carla wymknęła się cicho, żeby nie zawadzać. Pozostało jej czterdzieści minut do przyjazdu Geoffa.

Zjechała na parter i podążyła w stronę głównego holu. Wychodząc w łagodne światło wieczornego słońca, potknęła się o stojak na kroplówkę palącej papierosa kobiety w jaskraworóżowym szlafroku.

– Jezu, babo! Uważaj, gdzie stawiasz nogi – wrzasnęła pacjentka, wywijając wargi, spod których wyrzał rząd brunatnych zębów. – Prawie mi wyrwałaś to cholerstwo!

– Idź do diabła! – odrzyknęła Carla, złapawszy równowagę, i zeszła w dół podjazdu z posmakiem jadu w ustach.

* S. Hunt, *Winter Solstice Song*, w: *JAAM 21 Greatest Hits: An Anthology of Writing 1984–2004*, red. M. Pirie, M. O’Leary, JAAM we współpracy z HeadworX Publishers i ESAW, Wellington 2004 (przyp. aut.) – tłum. A. S.



BEN

Ben spojrział na zegarek. Była trzecia w nocy. Jego umysł unosił się w stanie półświadomości, zamroczony oparami farby i licznymi skrętami. To była dobra noc. Otagowali terytorium GDB, więc dziś należało spodziewać się kontrataku. Jego banda, DOA, była przygotowana.

Przelazł przez półmetrowy murek i dotarł do domu, lawirując pomiędzy wrakami samochodów, połamanymi kanapami i butelkami po whisky zaścielającymi cały trawnik. Światła były zapalone, a drzwi stały otworem. Z wnętrza dolatywał łomot muzyki.

– Cześć, Ben. – Jego siostra Brooke z pieluchą zaplątaną między pulchnymi nóżkami i smarkiem na brodzie uśmiechnęła się do niego z korytarza.

– Hej, Brookie. Dlaczego nie śpisz? Jest cholernie późno.

Ben zgarnął siostrzyczkę w objęcia.

– Ale ty cuchniesz – stwierdził, zaglądając jej do pieluszki. – Chodź, trzeba ci umyć to gównno.

W łazience posadził ją na ziemi i napuścił wody do miski. Przy zdejmowaniu pielucha rozdarła mu się w palcach, rozsiewając strzępki zafajdanej bawełny po podłodze. Włożył dziewczynkę do miski, a wokół niej

na powierzchnię wypłynęły drobne grudki kupy. Mała zaczęła płakać.

– Zimno – wymamrotała.

– Cicho. Nie wolno ci robić w gacie. Ryan dostałby szału, gdyby się dowiedział.

Dziecko natychmiast zamilkło. Trzymając je jedną ręką, drugą podniósł z ziemi brudny, wilgotny ręcznik. Po wytarciu dziewczynki owinał ją nim zamiast pieluszki, a następnie zaniósł do pokoju.

Kiedy otworzył drzwi nogą, w nos uderzyła go fala przykrego zaduchu. Któreś z rodzeństwa, nie rozpoznając kto, zakaszłało. Odrzucił koc i umościł siostrę w najbliższym łóżku.

– Ben.

– Ćśśś. Obudzisz wszystkich. Idźże spać, do cholery.

– Ben?

– Co? – Uświadomił sobie, że to nie Brooke go woła, tylko Lily.

– Skołowałeś coś dzisiaj? – Lily usiadła, przecierając oczy.

– Nie. Śpij. – Zamknął drzwi i przemierzył korytarz.

W kuchni nie było nikogo. Balanga odbywała się z tyłu na podwórzu. Otworzył lodówkę i przebiegł wzrokiem oświetlone półki. Szukał jedzenia, nie piwa. Zatrzasnął drzwi, a butelki w środku zabrzęczały żałośnie. Spojrzał wokół siebie. Na ladzie leżała paczka rozmrażającego się pieczywa tostowego. Wyłuskał pięć kromek, posmarował każdą masłem orzechowym i ułożył jedna na drugiej.

Muzyka dudniła. Przez okno widział faceta swojej mamy, Ryana, śpiącego na kanapie za domem pod ciałem jakiejś nieznajomej kobiety.

– Jebany pasożyt – mruknął Ben.

Przysunął sobie krzesło i siadł do jedzenia. Chleb wkrótce złagodził wściekłe ssanie w żołądku, a wtedy Ben poczuł nieodpartą senność. Wrócił do sypialni, gdzie Brooke już posapywała miarowo. Ściągnął buty i natychmiast odpłynął w niebyt.

Z odmętów ciężkiego, nieświadomego snu wyrwało go czyjeś wołanie.

– Idź sobie – burknął i odwrócił się tyłem, naciągając na siebie zwój koca. – Jest noc, do cholery!

Oczy miał ciągle zamknięte, lecz przez powieki przebiła nagła jasność. Ktoś rozsunał zasłony i pokój zalało światło.

Musiało być koło siódmej. Tylko wtedy zaglądało tu słońce, a i tak jedynie na chwilę – zbyt krótką, by osuszyć skraplającą się na szybach parę i dosięgnąć ścian. Zaraz potem przeganiał je cień sąsiedniego domu.

– Odpierdol się – zaklął nie wiedzieć do kogo.

– Jak ty do mnie mówisz, Benjaminie!

Powieki same mu się uniosły. Tylko mama tak go nazywała. Poranne światło poraziło go w oczy, więc szybko znów je zacisnął.

– Przepraszam, mamó. Myślałem, że to któryś z dzieciaków.

Doleciał go jej zapach – nabłyszczacza do okien, dezynfekującego płynu do toalet i emulsji do polerowania wind. Spróbował znowu, tym razem mrużąc jedno oko. Zerknął na zegarek.

– Co tam?

Jeszcze zanim zdążyła odpowiedzieć, wspomnienie tamtej nocy zakłuło go w dole brzucha. Zerwał się i przylgnął do zimnej ściany, a oczy biegały

mu gorączkowo od drzwi za plecami matki do okna.

Wreszcie skupił spojrzenie na niej. Pod oczami miała cienie po przepracowanej nocy, a długie, ciemne włosy nadal związane z tyłu tak, aby nie wpadały do pojemników na śmieci i wiader z wybielaczem.

– Są urodziny Lily. Chodź, będziemy śpiewać.

Bena zalało uczucie bezgranicznej ulgi, która szybko przerodziła się w złość na to, że obudziła go z tak błahego powodu. I nie chodziło o to, że nie zdążył się w cztery godziny wyspać. Jeden red bull i byłoby po sprawie. Ale sen dawał mu jedyną ucieczkę od tamtego. Tylko tak mógł się uwolnić od myślenia o zgrzycie łopaty i słodkawym zapachu krwi. Ledwie otwierał oczy, a wspomnienia osaczały go jak szarańcza, zatrwały umysł i burzyły spokój – każdy kolejny dzień był gorszy od poprzedniego. Wszelkie niespodziewane dźwięki stawiały mu włosy na głowie. Pukanie do drzwi w pierwszej chwili zawsze oznaczało policję. Ludzie dziwnie mu się przyglądali. Śledzili go. Każda policyjna syrena jechała właśnie po niego.

Wtedy, po powrocie, dokładnie uprał džinsy, szorując je zajadłe płynem do mycia naczyń, aż woda zabarwiła się na brązowo, a na brzegach miski osiadła ciemna zawiesina. Policja umiała znajdować ślady na ubraniu. W tkaninach zostawało wiele niewidocznych informacji.

– Jezu, mamó. Nie możesz dać mi pospać?

Nogi swędziały go pod spodniami. Podrapał się w udo i opadł z powrotem na łóżko. Mama zanurzyła rękę w jego zwichrzonej czuprynie.

– Mój kochany. – Ciepła, miękka dłoń gładziła go po głowie. W dzieciństwie fascynowały go jej długie, smukłe palce. To, jak przeczesawała włosy, ujmowała łyżkę, obracała pędzel. Wydawało się, że jej palce tańczyły do innego rytmu niż reszta ciała – zwinne, precyzyjne, magiczne. Lubił ją

sobie wyobrażać grającą na saksofonie albo na pianinie, przy czym cały dryg skupiał się w palcach.

Teraz, pod wpływem czułości tej pieszczoty omal się przed nią nie wygadał... Uskoczył gwałtownie.

– Jego też zamierzasz obudzić? – zapytał, zaciskając usta na myśl o Ryaniu, który pewnie dalej chrapał na kanapie, przesiąknięty smrodem potu, strawionego alkoholu i jakiejś obcej kobiety.

Mama posłała mu spojrzenie świdrujące jak wydrążacz do jabłek, a on pożałował, że jej w ogóle przypomniał o nieudaczniku, z którym żyła. Zawsze tak na Bena działała. Nie mówiąc jednego słowa, potrafiła sprawić, że czuł się jak kawał drania.

Wstał, poszedł do łazienki, gdzie bardzo długo sikał, po czym powłókł się za nią korytarzem.

Miał wrażenie, że w kuchni zebrało się z pięćdziesiąt osób. Każdy śmiech i okrzyk wiercił i rezonował mu w głowie. Ale dokazywało tam tylko stałe grono urwisów: Anika, Lily, Brooke oraz Cody.

Cody skoczył, podbiegł do Bena i obezwładnił mu nogi na wysokości kolan.

– Są urodziny Lily! Lily ma urodziny! – zawołał zdyszany z przejęcia i rozciągnął usta w uśmiechu, ukazując napuchnięte dziąsła. Biedny Cody. Wyglądał, jak gdyby ktoś owinął mu szare zębki kłębami różowej waty.

Lily siedziała wyprostowana przy stole, chłonąc zamieszanie oczami jak u Kim Basinger. Ben nie wiedział, ile lat kończyła jego siostra, ale pod koszulką rysowały jej się już małe wypukłości. Pierwszy zauważył to George, jego kumpel z szajki.

– Najlepsze życzenia, siostra – powiedział Ben. Klapnął na krzesło i pomasował skronie, żeby złagodzić ból.

– E tam – rzekła Lily z niepewnym uśmiechem.

Mama postawiła przed nią talerz, na którym leżała kromka białego pieczywa obrana ze skórki i oprószona kolorową posypką. W środku tkwiła przekrzywiona świeczka, bo chleb nie był dość gruby, żeby utrzymać ją w pionie.

– Zaświeć – powiedziała mama do Bena, podając mu zapałkę, którą przed chwilą odpaliła sobie papierosa.

Ben otoczył ręką chybotliwy płomień i zbliżył go do świeczki. Zapałka zgasła. Mama rzuciła mu pudełko, więc spróbował znowu.

– Świeczka jest mokra albo knot za krótki – stwierdził zrezygnowany.

Lily wyciągnęła się buzia. Mama odłożyła papierosa na brzeg kubka z kawą i sama spróbowała. Bez skutku. Sięgnęła po kolejną zapałkę, ale nagle obróciła się, złapała Cody'ego za koszulkę i trzepnęła pod pośladkami.

– Zostaw! – zawołała, wyrywając mu swojego papierosa.

Cody wydał urywany skrzek, krztusząc się od dymu i płaczu.

– Fajki nie są dla dzieci! – wrzasnęła mama. – Mówiłam ci tysiąc razy! Zmienią ci płuca w czarną galarete.

– I siurek ci odpadnie – dodała Anika szeptem.

– Ale... Ale ty... – czkał Cody.

Mama odwróciła się do Lily.

– Udawaj, że jest zapalona.

Lily odchyliła się na krześle ze skrzyżowanymi ramionami.

– Nie będę zdmuchiwać niezapalanej świeczki. To głupie.

Mama westchnęła ciężko, co znaczyło „nie mam na to siły”.

– Jak chcesz. To śpiewamy. – Zaczęła pierwsza, a reszta, z wyjątkiem Cody’ego, dołączyła się zgodnym chórem. Lily próbowała udawać naburmuszoną, lecz stopniowo kąciki jej ust unosiły się coraz bardziej i pod koniec piosenki cała promieniała.

– Pomyśl życzenie! Życzenie! – ekscytował się Cody, zapominając o klapsie.

Lily starannie zawinęła do środka rogi kromki, jakby zaklejała kopertę. Kiedy jednak ujęła ją w ręce, granulki cukru posypały się ze stukiem na laminowany stół jak kolorowy grad. Mama nałożyła za mało margaryny, żeby się przyczepiły.

Powoli i z namaszczeniem dziewczynka ugryzła kawałek już prawie nagiego chleba i pomyślała życzenie.

– Ja też chcę – zawyła Brooke, wskazując na znikającą kanapkę.

Mama podała im talerz z trzema trójkącikami.

– Proszę bardzo.

– Dlaczego my mamy tylko po połowie? – uzalila się Anika.

– Właśnie, dlaczego? – jęknął Cody, naśladowując siostrę.

– Bo ktoś zjadł resztę chleba wczoraj w nocy – odpowiedziała mama i spojrzała na Bena z wyrzutem.

Ben nachylił się, pozwalając długiej, ciemnej grzywce opaść na oczy. Wszystko było dla niego za głośne. Głowa pękała mu z bólu. Podważył nadłamany koniuszek paznokcia i urwał go zębami. Obnażona opuszka

zapiekle, jak skóra po wyjściu na mróz.

– Co to jest płuca? – zapytał Cody, prychając wiórkami lukru w Anikę.

– Zamknij buzię, jak jesz! – fuknęła na niego siostra i otarła sobie twarz ścierką do naczyń.

– To takie balony z powietrzem w klatce piersiowej – wtrąciła Lily.

Cody zmarszczył brwi.

– Myślałem, że to cycki.

Rozległ się płacz niemowlęcia. Ben potoczył wzrokiem dookoła. Nie zauważył wcześniej swojej najnowszej siostrzyczki, Diny, która siedziała w foteliku samochodowym przy kuchence. Mama zakołysała nosidełko nogą.

– Ja pierdolę, mogę już wrócić do łóżka? – Ben odsunął krzesło.

– Nie wyrażaj się, szczyłu. Nie, nie możesz. – Mama złapała go za rękaw.

– To ja przez całą noc harowałam. Masz popilnować małej, Brooke i Cody’ego. Reszta idzie do szkoły.

– Ale dzisiaj są moje urodziny – zaprotestowała Lily ze łzami.

– Szkół wtedy nie zamykają – ucięła mama z groźną iskrą w oczach. – Nie mam zamiaru dochodzić się znowu z waszym cholernym wychowawcą!

– Czemu mam pilnować Cody’ego? – zrzędził Ben, wyrywając rękę. Cody był opóźniony w rozwoju od urodzenia. W szpitalu powiedzieli mamie, że to z powodu picia w czasie ciąży. Biedny Cody. Miał małe, świńskie oczka i spłaszczoną buzię, jakby wpadł z rozpędu na ścianę. Do tego był strasznie niezdamny. Wiecznie mu się obrywało za przewracanie i upuszczanie różnych rzeczy.

Dzidzia i Brooke nie stanowiły problemu. Małej wystarczyło dać butelkę

i miałyby ją z głowy, bo zawsze po jedzeniu usypiała. A Brooke mogła pójść z nim na melinę. Ale Cody nie. Cody by wszystko wypaplał.

– Bo ja tak powiedziałam.

– Po jakie licho w ogóle chodzisz do pracy? – warknął Ben. – Dostałabyś tyle samo na zasiłku.

Zatoczył się, kiedy ręka matki z całą siłą grzmotnęła go w tył głowy.

– Nie podskakuj – syknęła tuż przy jego twarzy, aż poczuł jej czerstwy oddech.

W pierwszej chwili chciał odruchowo oddać, ale się powstrzymał. Matka patrzyła na niego gniewnie.

– Nie wiem, co cię ostatnio ugryzło, ale mam tego powyżej uszu.

Stała za krzesłem Lily i zaczęła delikatnie przesypywać w palcach jej włosy. Dziewczynka zrobiła unik. Wyglądała inaczej niż reszta. Miała tę samą karmelową karnację, lecz jej głowę zdobiła burza jasnych loków, a oczy miały kolor oceanu w pogodny dzień. Kiedy się urodziła, jej ojciec nie uwierzył, że to jego córka. „Ty szmato! Jebana dziwko!” – wrzasnął, a mama Bena skuliła się pod ciosami na szpitalnym łóżku.

Dostał dziewięć miesięcy za pobicie i więcej go nie widzieli. Dowcip polegał na tym, że Lily była jego córką. Mama pokazała kiedyś Benowi zdjęcie jego rodziców. Żadne z nich nigdy nie poznało dziadków, a mama rzadko o nich wspominała, ale w twarzy babci Ben wyraźnie rozpoznał rysy siostry. Nie wyglądałaby tak, gdyby wzięła się z jakiegoś skoku w bok.

Kumple Bena stawali na głowie, żeby przypodobać się Lily. Tyle że ona miała w nosie chłopaków. Była pod tym względem nietypowa. Inne okoliczne dziewczyny przesiadywały po szkole w skateparku, a Lily wolała

w tym czasie dłubać coś w swoim pokoju albo myszkować po śmietnikach na tyłach sklepów w poszukiwaniu resztek materiałów, korków, sznurków, guzików – wszystkiego, z czego dałoby się zrobić coś pięknego. Do jej najlepszych dzieł zaliczał się na razie piórnik w kształcie jamnika i uroczo dziwny barneyowaty potwór z fioletowego filcu, z którym zawsze spała.

– Może po szkole Debs zawiezie nas do Spotlight i wybierzesz sobie jakąś szmatkę z przeceny?

– Naprawdę? – Lily podskoczyła, a jej buzia rozświeciła się po raz pierwszy tego poranka.

Ben zawzięcie skubał paznokiec. Wiedział, że po powrocie do domu odnajdzie Lily zapłakaną w kącie pokoju. Nie należało brać obietnic mamy na poważnie, chociaż ona sama szczerze w nie wierzyła. Starła się być dobrą matką.

Debs mieszkała przy tej samej ulicy, kilka domów dalej. Była najlepszą przyjaciółką mamy i matką chrzestną Bena. Nie do końca rozumiał, o co z tym chodziło, skoro nikt w rodzinie nie był wierzący. Zdaniem mamy Boga wymyślili politycy, aby przekonać ludzi, że życie nie jest aż takie gówniane. W każdym razie Debs należała do rodziny. Ben często się zastanawiał, czemu mama szuka rodziny po ludziach, a olewa tę, którą już ma.

Ale Debs była w porządku. Umiała rozbawić mamę, a Ben lubił, kiedy mama się śmiała. Ten dźwięk roztapiał w nim twarde sople strachu. Nie lubił jej śmiechu tylko, gdy była pijana.

Zapowiadał się długi, nudny dzień. Jeżeli się nie pojawi, reszta bandy pomyśli, że stchórzył. No i przegapiłby przygotowania do starcia z GDB. Nie mógł jednak ryzykować wzięcia Cody'ego ze sobą.

Ktoś nagle zastukał w okno. Ben podskoczył jak oparzony.

– To Debs! – krzyknęła Lily, rzucając się do drzwi.

Ben wypuścił powietrze. Mama rzuciła mu uważne spojrzenie. Uciekł oczami przed tym jej wszystkowiedzącym wzrokiem. Umiała czytać w myślach, kiedy jej pozwolić.

Debs wkroczyła do kuchni, ubrana w legginsy w panterkę i luźną, morelową koszulkę maskującą obfite fałdy tłuszczu wokół talii. Wyglądała, jak gdyby nie zdążyła się rano uczesać, a soczyście zielony lakier na jej paznokciach wymagał uzupełnienia.

– No, no, no! Co to za okazja?

– Lily ma urodziny – wybełkotał Cody.

– Urodziny mówisz? – rzekła Debs i uściskała Lily. – Co za szczęście, że wpadłam pożyczyć trochę cukru, bo inaczej ominęłoby mnie przyjęcie.

Ben wstał, wywracając krzesło, i wyszedł na korytarz.

Debs uniosła brwi.

– Co z nim nie tak?

Mama odpowiedziała coś szeptem. Odwrócił się w momencie, gdy wznosiła oczy do sufitu.

W GŁĘBI

Nigdy nie spotkałeś swojej tīpuna, Benjaminie – swojej pięknej, pełnej wdzięku babci. Nie wiesz, jak bardzo brakuje ci jej wsparcia i mądrości jej słów. Auē! Dorastałeś poza koszem swej kultury, nie poznałeś jego ciepła, wygód ani granic jego mocno splecionych ścian – ścian, które by cię powściągały, chroniły i ukształtowały. Gdybyś tylko...

Na początku, jeszcze w czasach moa, tych wielkich, nielotnych ptaków, życiem społecznym rządził ład oparty na przynależności. Granice ziem wytyczały pasma górskie, a dna dolin dzieliły się na rohe – obszar zamieszkały przez grupę związaną wspólnym pochodzeniem. Pokrewieństwo to mogło sięgać nawet do jednej z pierwszych łodzi, które osiem wieków temu przybiły do tych brzegów. Tę rodową nić tkwały później kolejne pokolenia, aż uwiły kosz, w którym znalazło się miejsce dla wszystkich – tych z przeszłości i tych współczesnych. Następstwo miesięcy i lat jest niepodważalne, duch i materia to dwie strony tego samego, w czym zawiera się całość dziejów. Łączność jest podstawą wszystkiego. Łączność z naszą ziemią, naszym ludem i naszą przeszłością.



BEN

– Macie problem? – krzyknął Tate, stojąc na skraju ulicy.

– Tak. Mamy problem. Otagowaliście nasz teren, kutasy.

– I co z tym zrobicie? – zapytał Tate z odchyloną głową, unosząc nonszalancko brwi. Wydawał się taki wyluzowany, jakby kupował fajki w sklepie na rogu.

Ben nie umiał zachować spokoju przed bójką. Z napięcia aż drżały mu ręce, a nozdrza chodziły jak u konia w boksie przed gonitwą.

Stali w mroku na wprost GDB, oddzieleni pasmem popękanego asfaltu. Niebiescy przeciwko czerwonym. Ben darzył swoją niebieską bandanę niemal nabożną czcią. Dzięki niej stawał się anonimowy, był jedynie oczami. Gdy przewiązywał nią twarz i w nos uderzał go własny gorący oddech, czuł, że istnieje naprawdę i należy do czegoś większego. Ten skrawek materiału był cenniejszy niż jakikolwiek dyplom. Oznaczał dożgonne przywiązanie do podstawowych zasad.

„Pokaż im swoją groźną twarz”.

– Będzie dym – wymamrotał Simi bez poruszania wargami, niczym brzuchomówca. Zstąpił z krawężnika i kołysząc luzacko ramionami, wyszedł na środek drogi, pokazał GDB środkowy palec i pewnym siebie krokiem

wrócił do swoich.

– Kogut – prychnął Ben pogardliwie.

Simiemu, najmłodszemu z bandy, nazywanego „szczawiem”, nie można było odmówić tupetu. Urodził się jako ostatni, pięć lat po poprzednim z dziesięciorga rodzeństwa, musiał więc nauczyć się pyskować, żeby nie zginąć. Wyrósł jednak na czarną owcę w rodzinie. Pozostali bracia i siostry dobrze się uczyli. Jeden był menadżerem sprzedaży w The Warehouse, inny został znanym kucharzem w Australii. Na tle tego – Simi, który, odkąd Ben sięgał pamięcią, omijał szkołę z daleka, aby spędzać całe dnie na melinie, wprawiając się głównie w jaraniu i tagowaniu. Szybko przestawało się zauważać jego niski wzrost i dziecięcą buźkę, bo zadziorna osobowość smarkacza dominowała przestrzeń jak ludzik Michelin.

Tate podkreślił muzykę z głośnika u swoich stóp.

Pilnuj tego, co masz, i skuj mordę dziwce

*Wiesz, że najważniejsze to chronić dzielnicę...**

Jakiś pies szczeknął. Ben obejrzał się i zauważył pomarszczoną kobietę siedzącą na werandzie. Gdy spostrzegła, że mierzy ją wzrokiem, zerwała się i czmychnęła do domu jak karaluch do dziury, ryglując drzwi od środka.

Ben prychnął z zadowoleniem. Nie miał zamiaru czepiać się starej prukwy, ale miło było budzić postrach w okolicy. Jej dom wyglądał tak samo jak wszystkie dookoła: obskurne pudełko obłożone pistacjowozielonymi panelami z oknem po obu stronach drzwi. Następny był identyczny, tyle że bladoróżowy, a kolejny – cytrynowożółty.

– Świra tu można dostać – mruknął Ben w przestrzeń.

– Rozniesiemy was na miazgę, złamasy! – zawołał Tate przez ulicę i

zatknął kciuki za pasek dżinsów.

– Tak jest – zawtórował Simi, podrygując jak zapaśnik przed walką.

– O! – dobiegło z drugiej strony. – Ale się wypierdki stawiają! Spieprzajcie lepiej do domu, pora na lulu.

W powietrzu zafurkotała pusta butelka po wódce i rozbiła się pod nogami Tate'a, lecz on nawet nie drgnął. Po łydce spłynęła mu ciemna struga krwi. Powoli i z namysłem pochylił się i wytarł ją palcem, który następnie włożył sobie do ust.

– Chłopaki – rzucił w stronę swoich kompanów – czuję krew. Czerwoni już nie żyją.

– Sranie w banię – padła odpowiedź kędzierzawego przywódcy GDB. – Takie strachy to w Halloween. Idźcie się pomodlić do kościoła, jak nie macie jaj stanąć do walki.

Ben nie widział, kiedy Tate rzucił bryłą betonu. Zobaczył tylko, jak pocisk trafia w brzuch jednego koleśka z przodu i kładzie go na miejscu. O jednego mniej. Tate był przemyślnym strategiem.

GDB skupili się wokół swojego rannego, a DOA smakowali triumf pierwszego celnego uderzenia. Zaraz potem czerwoni ruszyli na nich przez ulicę jak zgraja bezpańskich psów.

Ben ścisnął zimne ostrze w kieszeni.

Szczęk otwieranych noży. Pośpieszny tupot gumowych podeszew. Ogrodowe sztachety na czaszce. Drewno na kości. Wojna! Trampki ślizgające się z piskiem po asfalcie. Maczety migające w ciemności. Ujądanie psów. Ryk rozwścieczonych głosów. Bulgot masakrowanych ciał. Trwożne oczy za firankami okien w landrynkowych pudłach, obserwujące starcie

władców dzielnicy.

Kątem oka Ben spostrzegł, jak ktoś kopie Danny'ego. Zaślepiła go furia. Danny był jego bratem. Nikomu nie pozwoli krzywdzić swojej rodziny. Danny, Tate, Simi, Matt, George – to byli jego najbliżsi, jego życie, jego wartość i cel. Oni nadawali mu sens. Bez nich nie znaczył nic.

– Ty gnoju! – wrzasnął, nacierając na wroga z ogniem w oczach. Z całej siły wbił pięść w upstrzoną bliznami twarz. To było dobre uczucie. Dziś wieczorem jego złość nareszcie znalazła ujście.

Przeciwnik zachwiał się, upadł i zaczął rozpaczliwie uciekać na czworakach. Ben podniósł potłuczoną butelkę i ruszył za nim przez tłum okładających się postaci, aż dopadł swoją ofiarę. Chlastał butelką jak wściekły, jeszcze raz i jeszcze. Nagle znikąd pojawił się nóż wędkarski i przeciął Benowi kaptur, koszulkę i skórę. Na początku nic nie czuł, zobaczył tylko swój rozdarty rękaw. Potem zrobiło mu się ciemno przed oczami i uświadomił sobie, że w bajorze na ziemi jest także jego krew. Krew niebieskich i czerwonych połączona w jedno.

Żwir gniótł go w policzek, a jedno ucho jak gdyby zgięło się na pół. Spróbował unieść głowę, żeby złagodzić ból, ale była ciężka jak taczki z kupą gruzu. Asfalt zadrżał. Ben otworzył szerzej oczy, usiłując oprzeć się obezwładniającej ciemności.

– Suki! – Rozległo się nagle wśród zgiełku. Dzikie wrzaski w jednej chwili ucichły, a niewyraźne postacie rozpląły się w mroku, zostawiając na placu boju tylko Bena i poharatanego butelką chłopaka.

Benowi przemknęły przez głowę migawki z wieczoru na farmie i momentalnie otrzeźwiały. Musiał uciekać.

Z trudem dźwignął się z ziemi. Wzrok przesłoniły mu plamy.

Przez chwilę chwiał się niepewnie, oślepiiony czerwono-niebieskimi kaskadami światła, aż nogi zmiękły pod nim jak plastelina w słońcu i ponownie osunął się na krawężnik.

Czuł ulgę na myśl o poddaniu się. Od sześciu tygodni przeżywał istne piekło, wpadając na przemian to w błogie otępienie, to w zimne szpony strachu. Paznokcie miał ogryzione do krwi, a oczy zasiniące z bezsenności. Jego brzuch tak się zapadł, że zrobił się wręcz wklęsły, całe mięso przywarło do kości jak folia samoprzylepna. Napięcie było nie do zniesienia. Przypomniawszy sobie, jak pojechali z George'em do Manukau Harbour popływać na jego łódce i dopadł ich nagły sztorm. Gdy po długich godzinach walki wściekła fala zmiotła go wreszcie z pokładu, także odczuwał ulgę.

– Patrz prosto w obiektyw.

Ben stał pod białą ścianą ze wzrokiem utkwionym przed siebie i z zaciśniętymi szczękami.

Oślepiający błysk flesza.

– W tę stronę.

Kolejny błysk.

Ben spojrzał na swoje brudne od tuszu palce wystające spod opatrunku. W trzech z nich stracił czucie.

– Spisałem ich, Ray. Wszyscy nieletni. Dwóch z GDB w Glenfield i jeden z DOA.

– DOA? – powtórzył starszy policjant, podnosząc na Bena pytający wzrok.

Chłopak zagryzł zęby.

– Dead on Arrival. Śmierć na miejscu – wyjaśnił za niego drugi

funkcjonariusz. – Nowy gang młodocianych z North Shore.

– Ma szczęście, że sam nie wykitował na miejscu.

Mężczyźni parsknęli śmiechem.

– Jednego zabrali do Middlemore Hospital z obrażeniami twarzy i przebitym płucem. Ten ma pociętą rękę. Już założono mu szwy.

Ben ucieszył się, kiedy lekarz powiedział, że na przedramieniu zostanie widoczna blizna. Będzie miał co pokazywać. Starszy gliniarz westchnął.

– Zabierz go na dołek. Prześpi się na betonie, to wytrzeźwieje.

* Ice-T, *Return of the Real* z albumu *Return of the Real*, Priority Records 1996 (przyp. aut.) – tłum. A. S.



CARLA

Carla zeszywniała, kiedy chłodny metal wślizgnął się do jej waginy, a wziernik rozciągnął otwór.

– Oddychaj równo i postaraj się zrelaksować.

Zrelaksować. Skrzywiła się na bezmyślność tego zalecenia.

– Miejmy nadzieję, że to już ostatni raz w nadchodzącym czasie – powiedziała Naomi, zapuszczając snop światła do jej wnętrza.

Carla wbiła wzrok w popękany sufit, śledząc rysy wiodące donikąd.

– Dobra wiadomość jest taka, że nie widać żadnych pęcherzy – obwieściła lekarka, wsuwając wacik do plastikowej fiolki i zamykając wieczko. – Ale nie przestawaj stosować Zoviraxu, bo mogą pojawić się nowe.

Carla kiwnęła głową i podniosła się.

– Poczekaj sekundę, Carlo, jeszcze pomacam ci brzuch. – Naomi potarła dłonie, aby je ocieplić. Carla wzdrygnęła się.

– Ból w miednicy zelżał?

– Mhm.

Po badaniu ubrała się i usiadła obok biurka Naomi, podczas gdy lekarka

wprowadzała dane do komputera.

Carla potoczyła wzrokiem dookoła. „Mój mąż nosi spodnie, lecz to ja decyduję jakie”, głosił napis na zapomnianym pod lampą kubku wystygłej herbaty. Na sosnowej półce, pomiędzy *Kompendium najczęstszych schorzeń skóry* i *Wsparciem pacjenta w żałobie* stało zdjęcie uśmiechniętych bliźniaków Naomi. Powyżej wisiał kredkowy rysunek ludzika, który mówił w dymku: „Dziękuję doktor abil że jusz mi lepiej”.

Carla leczyła się u Naomi od pięciu lat, odkąd Linda Metcalf przeszła na emeryturę. Naomi okazała się odświeżająco młoda i bardzo kompetentna. Nawet Jack dołączył do grona jej pacjentów, choć u niego chodziło przeważnie o drobiazgi – naciągnięty mięsień łydki, łokieć tenisisty czy zapalenie wirusowe.

Drukarka zazgrzytała. Naomi przeniosła wzrok na Carlę i wyciągnęła rękę.

– Jak się czujesz, Carlo? Tak szczerze.

Carla opuściła dłonie na kolana.

– Chyba dobrze. Tylko odkąd Kevin wyszedł ze szpitala, nie za wiele sypiam. Często ma koszmary.

Naomi skinęła głową.

– Mieszkamy teraz w motelu. Nie mogłam już wytrzymać u Geoffa i Mildred. W szpitalu zgodzili się na rehabilitację ambulatoryjną, czemu Geoff był rzecz jasna przeciwny. Ale ja już chciałam mieć Kevina przy sobie. Motel stoi przy głównej ulicy. Bywa trochę głośno.

Naomi nie komentowała. Carla była jej za to wdzięczna. W odróżnieniu od wielu specjalistów, którzy zarzucali swoich pacjentów lawiną pouczeń i

nakazów, jej lekarka umiała słuchać.

– Będzie lepiej, gdy wrócimy na farmę – dodała pośpiesznie, nagle zawstydzona swoim narzekaniem. W poczekalni za drzwiami czekał tłum chorych ludzi.

– Możemy wzmocnić mu leki – zaproponowała Naomi, zerkając na wypis Kevina, i pogrzebała w bałaganie na biurku, by znaleźć bloczek recept. – Może tobie też przydałoby się coś na depresję?

Carla zagryzła usta.

– Taki stres zaburzył równowagę chemiczną twojego mózgu, Carlo. Niespokojny sen, utrata apetytu, poczucie beznadziei to oznaki, że twój organizm sam sobie nie radzi.

– Musimy sprzedać farmę – wybąkała Carla. – Nie utrzymam jej z Kevinem w takim stanie.

Naomi spojrzała na nią.

– Jest jeszcze dość wcześnie. Wstrzymaj się z jakimikolwiek ważnymi decyzjami przynajmniej przez sześć miesięcy. W międzyczasie mogłabym spróbować znaleźć dodatkową opiekę dla Kevina. Pielęgniarka środowiskowa ciągle przychodzi?

Carla potwierdziła.

– No więc? Mam ci coś przepisać?

– Nie! – sprzeciwiła się Carla. Nagłym ruchem sięgnęła po torbę i położyła ją sobie na kolanach.

– To żaden wstyd – rzekła lekarka łagodnie. – Bardzo wiele przeszłaś. Nie uzależnisz się, jeżeli to cię martwi.

Pigułka na to, pigułka na tamto! Człowiek powinien umieć pogodzić się z tym, co go spotyka. A w ogóle, co oni wszyscy wiedzą? Nic poza tym, co słyszeli na wykładach w szkole medycznej albo wyczytali we *Wsparciu pacjenta w żałobie*. Żadna tabletką w cudowny sposób nie zapełni pustki i nie przywróci jej chęci do życia.

Podniosła się z krzesła. Naomi wystukała jeszcze dodatkowe uwagi, a gdy przebiegła kursorem w dół ekranu, przypadkowo wyskoczył jej raport datowanej na luty wizyty z nazwiskiem Jacka w nagłówku. Carla skamieniała.

Naomi szybko zamknęła stronę.

– Głupi komputer. Robi, co chce.

Carla się zawahała.

– Jack był u ciebie ostatnio?

– Tak – odparła Naomi, po czym się zaczerwieniła. Wstała i delikatnie skierowała Carlę do wyjścia. – Zobaczymy się w przyszłym tygodniu. Spróbuj jak najwięcej odpoczywać.

– A, tak... Dziękuję, Naomi.

– Wizyta bezpłatna, jak zwykle. W ramach ubezpieczenia – powiedziała Marge na recepcji.

Carla obróciła się, wciąż zaabsorbowana tym, co zobaczyła, i wpadła na Verę Wilkinson, całą spowitą w lycrę i intensywną woń perfum.

– Jak się masz?! – wykrzyknęła Vera, owiewając Carlę stęchłym, papierosowym oddechem. – Podobno policja kogoś zatrzymała. – Jej pierś falowała z podniecenia. – Tak napisali w „Heraldzie” – dodała szybko, aby nie zostać posądzoną o rozpuszczanie plotek.

Gwar w poczekalni ucichł.

– Słyszałam – wykrztusiła Carla w przypiływie wzbierającej paniki. Chciała stamtąd uciec, ale przejście blokował mały chłopiec bawiący się na podłodze nakręcaną pszczołą.

– Teraz to już wyłącznie kwestia czasu, zanim dopadną tych cholernych drani. Wybacz moje słownictwo, ale naprawdę trudno nazwać ich inaczej.

Carla kombinowała, jak przestąpić nad dzieckiem.

– To był taki uroczy chłopiec, twój Jack. Co za tragedia.

Carli zadrżał podbródek.

– A kto pokryje koszty, gdy ich w końcu złapią? Kto zapłaci za ich wyżywienie? Powiem ci kto. Ja i ty, moja droga! Z naszych podatków. Podobno w tym nowym więzieniu, które planują zbudować, ma być centralne ogrzewanie. Wyobrażasz sobie?

Gdzieś w torebce Carli odezwał się dzwonek telefonu. Kobieta nabrała powietrza i przeprosiła Verę. Na dworze oparła się o zaparkowany samochód i wydobyła telefon.

– Halo?

To była Marge, recepcjonistka z kliniki. Śledziła zza biurka przebieg rozmowy z Verą i zadzwoniła do Carli, by dać jej drogę ucieczki.

Sztywne, bordowe zasłony w motelowym pokoju wciąż były zaciągnięte, a Kevin, nadal w piżamie, drzemał w fotelu. Dochodziło południe. Zostawiła go tam o dziewiątej. Z tą tylko różnicą, że teraz na przodzie jego spodni widniał żółtawy zaciek, a w powietrzu unosił się cierpki odór moczu. W telewizorze migły kolorowe obrazki programu dla dzieci z wesołą, rytmiczną muzyką.

Carla zmrużyła oczy, pokonując ukłucie przykrości na widok Kevina w tym stanie. Odłożyła torby.

– Przepraszam za spóźnienie, kochanie – powiedziała sztucznie dziarskim tonem. – Naomi miała dziś napakowany grafik. Czekałam ponad godzinę. Marzy mi się kubek herbaty. Masz ochotę?

Kev potrząsnął głową.

– Na pewno? Jest jeszcze trochę ciasta, które przyniosła Bev.

– Powiedziałem nie!

Lekarze uprzedzali, że proces rekonwalescencji będzie przebiegał powoli. Mógł potrwać nawet dwa lata, a i tak końcowego efektu nie dało się przewidzieć. Kevin mógł zostać taki już na zawsze. Nigdy wcześniej nie był porywczy ani opryskliwy. Nigdy...

Przycupnęła na oparciu fotela i pogładziła męża po rzadziejących włosach, muskając palcem fioletowy zygzak chropowatej skóry na głowie.

– Podobno za tydzień możemy wrócić na farmę. Dzwoniła Lorraine, wiesz, ta z ośrodka pomocy. Dobrze będzie wreszcie się stąd wynieść. Wrócić do domu, prawda?

Kevin wzruszył ramionami.

– Ke...

– Nie w tę stronę, durniu! – wrzasnął do animowanego królika, który kicał w poprzek ekranu.

Carla przewróciła oczami. Jej telefon znowu zadzwonił.

– Dzień dobry, mówi Steve Herbert.

– Tak, dzień dobry panu.

– Dzwonię, bo pojawiły się nowe okoliczności.

Serce jej podskoczyło.

– Czy mogliby państwo przyjść na komisariat? Wolałbym nie rozmawiać przez telefon.



CARLA

Carla skręciła z autostrady i zwolniła przed zmieniającym się światłem. Samochód z tyłu zatrąbił, by przejechała na żółtym. Spojrzała w lusterko wsteczne. Kobieta za kierownicą potężnego SUV-a gestykułowała gwałtownie i potrząsała głową. Carla znów przeniosła wzrok przed siebie.

Kevin siedział obok, ssąc nieobraną mandarynkę, której sok ściekał mu po brodzie na świeżą, białą koszulę. Przynajmniej nie był w pizamie.

Carłę przebiegł dreszcz podekscytowania. Podekscytowania? Zrobiło jej się wstyd. Nie było się czym ekscytować. Nic, co Steve Herbert miał do powiedzenia, nie cofnie trzęsienia ziemi, które nastąpiło w ich życiu. A jednak nie sposób było trwać w ciągłej świadomości tej bezlitosnej prawdy. Czasami musiała pozwolić myślom uciec na poziom mniej zasadniczy, na którym miało znaczenie to, jaka jest pogoda albo co przygotować na kolację, schwytanie zbirów, którzy zniszczyli jej świat, było natomiast powodem do podekscytowania.

Zapaliło się zielone światło i Carla zwolniła sprzęgło.

Co ich teraz czeka? Znowu stali na początku drogi. Co by się nie zdarzyło, to i tak będzie lepsze niż tych czterdzieści pięć dni na granicy piekła, zawieszonych w czasie jak film grozy zatrzymany na brutalnej scenie.

Wypatrzyła wolne miejsce na parkingu przed nowym budynkiem głównej komendy policji. Jeszcze nieotoczony zielenią, surowy, masywny moloch odcinał się wyraźnie na tle krajobrazu przedmieścia. Matowe ściany z betonu i przyciemniane okna zdawały się przytłaczać sąsiadujące budynki.

Kevin wysiadł z auta i nie zamykając drzwi, ruszył w kierunku wejścia, prosto pod cofający samochód. Kierowca zahamował z piskiem opon.

Carla złapała ramię męża i szarpnęła w tył.

– Uważaj, Kevinie!

Wyraźnie zszokowany, podniósł jej dłoń do ust i zaczął całować.

– Przepraszam, Carly. Przepraszam. Przepraszam.

Carla przygarnęła jego wątłą postać. Był suchy i kościsty.

– Nic się nie stało, skarbie. Już...

Kevin odsunął ją na odległość ramienia i przyjrzał się jej z uwagą.

– Dlaczego płaczesz, Carly? Nie płacz. Proszę cię, nie płacz.

– Nic mi nie jest, kochanie – odparła, wyjmując chusteczkę zza dekoltu. – Z mamą wszystko w porządku... Boże, chciałam powiedzieć... Ze mną wszystko w porządku. Trzymaj się.

Posłusznie przywarł do jej ramienia i razem przecięli parking.

Znała już przestronną poczekalnię, prawie pustą, nie licząc nieuzupełnionego dystrybutora wody w kącie i rzędu łączonych krzeseł wzdłuż tylnej ściany. Ślady zdarzeń minionej soboty zostały gruntownie usunięte przy pomocy sporej dawki środków dezynfekcyjnych.

Carla usadziła Kevina pod plakatem ostrzegającym przed puszczaniem dzieci do wody bez opieki i podeszła do biurka, za którym powitała ją

policjantka o wyglądzie typowej blondynki.

– Ja do inspektora Steve’a Herberta.

– Pani nazwisko?

– Carla Reid. Inspektor nas oczekuje.

Twarz młodej kobiety złagodniała. Carla teraz wszędzie spotykała się z taką reakcją, gdy podawała swoje nazwisko.

– Inspektor zaraz przyjdzie. Proszę poczekać.

Carla usiadła, a Kevin wydał przeciągłe westchnienie. Robił to nawet sto razy w ciągu dnia, jakby nagle sobie przypominał, że powinien wypuścić powietrze. Lekarze nie potrafili tego wytłumaczyć, ale zakładali, że nawyk z czasem minie. Carla postanowiła wierzyć im na słowo. Stan Kevina musiał się poprawić.

Przeszklone drzwi wejściowe rozsunęły się automatycznie i do holu wbiegła tęga kobieta w kwiciastej sukience i skórzanych sandałach. Miała czerwoną twarz i gorączkowe ruchy. Każdy krok wyrzucał jej pośladki na boki.

– Chciałam zgłosić kradzież – powiedziała z holenderskim czy też niemieckim akcentem. – Ktoś się włamał do mojego kampera i ukradł mi torebkę. I paszport. – Głos odmówił jej posłuszeństwa.

Policjantka otworzyła szufladę i wyjęła z niej żółty formularz.

– Proszę to wypełnić. – Jej uprzejmy, lecz stanowczy ton przypomniał Carli, z jaką powszedniością przyjmowano na komisariacie ludzkie dramaty i jak szybko traciły one swój bulwersujący wydźwięk.

Drzwi po lewej stronie otworzyły się i wąskie przejście wypełniła barczysta postać Steve’a Herberta. Wyszedł do poczekalni.

Carla potrząsnęła Kevinem, który zdążył przysnąć.

– Przepraszam, że państwo czekali – powiedział Herbert, witając się z Carlą. Krzepki, ciepły uścisk jego dłoni zawierał w sobie wszystko, czego tak bardzo potrzebowała. Nie chciała jej wypuścić.

– Napiją się państwo czegoś? Kawy albo herbaty? – zapytał, przykładając plakietkę do czytnika i wiodąc ich przez labirynt biur w stronę windy.

– Ja poproszę milkshake – wypalił Kevin. – Cytrynowy.

Carla uniosła dłonie w przeproszającym geście.

– Obawiam się, że to będzie trudne – powiedział Herbert z uśmiechem. – Mogę zaproponować tylko zwykłą kawę rozpuszczalną albo herbatę w torebkach. Trzeba by porozmawiać z naszym tutejszym posłem...

– A żeby pan wiedział – odparł Kevin, potrząsając głową o wiele za długo.

Wysiedli na piątym piętrze. Carla była już wcześniej w gabinecie Steve'a.

– Zapraszam. Proszę usiąść. – Inspektor zamknął drzwi, ograniczając ich przestrzeń do widoku na Albany i szarej wykładziny. Do faktów.

Wyglądał na zmęczonego. Od tamtej pamiętnej nocy pracował nieprzerwanie, dowodząc zespołem pięćdziesięciu funkcjonariuszy i informując Carlę o każdym kolejnym posunięciu w śledztwie. Jego codzienny telefon stał się jej *raison d'être*. Nawet kiedy nie miał nic nowego do zakomunikowania, i tak dzwonił albo wpadał z wizytą zobaczyć, jak sobie radzą. Gdyby teraz zniknął z jej życia, nie umiałaby się odnaleźć.

Czy to już?, zastanawiała się. *To koniec?* Przebieg dochodzenia działał na nią krzepiąco. Pytania, wywiady, rekonstrukcje – wszystko to niejako trzymało Jacka przy życiu i dawało nadzieję na jakiś pozytywny przełom.

Może wcale nie chciała dotrzeć do ostatecznego rozwiązania. Nowe odkrycia wypełniały jej czas, nadawały sens upływającym dniom i powstrzymywały czającą się obok pustkę.

Herbert przysiadł na krawędzi biurka.

– Proszę państwa – zaczął spokojnym, wyważonym tonem. Carla skinęła głową, żeby go zachęcić.

– W sobotę wieczorem zatrzymaliśmy dwóch nieletnich w związku z bójką gangów na wybrzeżu.

Carli zaschło w ustach. Pomacała wokół siebie na oślep, szukając dłoni Kevina. Zatrzymaliśmy dwóch nieletnich... Zatrzymaliśmy dwóch nieletnich... Zatrzymaliśmy dwóch...

Napięcie przerwał dzwonek telefonu.

– Przepraszam! – Herbert odchylił się do tyłu i podniósł słuchawkę. – Steve Herbert, wydział zabójstw.

Carla czekała w nerwach.

– Kiedy jest przesłuchanie? Dobra. Zaraz wyślę tam dwóch chłopaków. Żaden problem. Dzięki za informację. Trzymaj się, Derrick.

Herbert zapisał coś na skrawku papieru, po czym wstał i wysunął głowę za drzwi.

– Jen, nie łącz teraz żadnych telefonów.

Carle rozboleły ramiona i poczuła tępy ucisk migreny promieniujący nad karkiem.

Herbert wrócił na miejsce na blacie biurka.

– Jak mówiłem, złapaliśmy kilku wyrostków zamieszanych w wojnę

gangów w ten weekend i mamy powody przypuszczać, że jeden z nich brał udział w napadzie na państwa farmę miesiąc temu.

Miesiąc temu. W marcu. Pogodne, rześkie dni zwiastujące nadejście jesieni. Urodziny Kevina. Ich rocznica ślubu. Pierwsze owoce fejhoi. Hurmy wiszące w sadzie jak pomarańczowe bombki...

Teraz szare niebo nadciągającej zimy wydawało się bardziej przyjazne niż tamta kartka w kalendarzu. Marzec już zawsze będzie kojarzył się z bólem.

– Odciski palców potwierdzają obecność jednego z nich w państwa domu dwudziestego marca. Czekamy jeszcze na wyniki badań DNA w płynach ustrojowych.

Carla poczerwieniała i spięła się na krześle. Jej umysł z trudem przepracowywał ten nowy przypływ informacji. A więc tryby maszyny coś jednak wygenerowały. Akcja zmierzała do końca. Carlę ogarnął strach.

– Co jest takiego trudnego w tym, żeby zrobić cytrynowy milkshake, do cholery? – wybełkotał Kevin.

Carla parsknęła śmiechem – przykrym, nieopanowanym chichotem, który szybko przerodził się w płacz.



CARLA

„Policja postawiła w stan oskarżenia szesnastolatka z Glenfield posądzanego o napaść na dom, do której doszło w marcu tego roku. Podejrzany został aresztowany podczas niezwiązanej z włamaniem bitwy gangów w Birkdale. W chwili obecnej nieletniemu przypisuje się kradzież z bronią w ręku, jednak prowadzący dochodzenie starszy inspektor śledczy, Steven Herbert, nie wyklucza dalszych zarzutów. Policja wciąż poszukuje drugiego uczestnika napadu.

Po krótkim wysłuchaniu stron przez Sąd dla Nieletnich w North Shore wobec podejrzanego zastosowano zakaz publikacji danych osobowych i areszt tymczasowy. Nastolatek będzie odpowiadał przed sądem wyższej instancji.

Przed budynkiem sądu protestowali dzisiaj oburzeni mieszkańcy, domagając się surowszych kar i reakcji rządu na wzrost młodocianej przestępczości zorganizowanej”.

Carla siedziała w cieniu rozłożystej magnolii. Zimny podmuch powietrza przelatujący przez park wyrwał jej z rąk gazetę, którą znalazła na ławce. Skoczyła, by ją pochwycić, ale wiatr przekomarzał się z nią, podrzucając szeleszczące strony tuż przed nosem. Ostatecznie finał historii jej życia utknął w nagich konarach drzewa.

Dawniej Carla co rano czytała gazetę. Bez tego dzień wydawał się jej niekompletny. Co innego Kevin, który nie przejawiał większego zainteresowania światem poza bramą gospodarstwa. Ich drogie Wierzbowisko najwyraźniej w pełni mu wystarczało i dawało poczucie bezpieczeństwa.

Carla wychowała się w mieście i lubiła jego wartki rytm i politykę. W dzieciństwie dużo podróżowała razem z rodzicami, którzy zgodnie uważali, że źródło prawdziwej wiedzy bije poza murami szkoły. Mając jedenaście lat, wzięła udział w proteście przed areną walk byków w Hiszpanii. W wieku piętnastu przemierzyła Tybet, a jako szesnastolatka na własne oczy ujrziała zbrodnie polityki apartheidu.

Jej ojciec, wykładowca nauk politycznych, był wykształconym człowiekiem o silnych przekonaniach, angażującym się w walkę o wsparcie dla pokrzywdzonych, wzmocnienie działalności związkowej i przełamywanie barier biurokratycznych. Carla nie wyrosła na *Piotrusiu Panie* i *Alicji w Krainie Czarów*, lecz na opowieściach o strajku na nabrzeżu w 1951 roku i o serii meczów rozegranych przez All Blacks w Republice Południowej Afryki po tym, jak maoryskim graczom przyznano status „honorowej rasy białej”. Trudno się więc było dziwić rozczarowaniu ojca na wiadomość, że wybrała na męża Kevina, „mrukliwego rolnika w sweterku”. Wiązał z nią większe ambicje, a uprawę ziemi uważał za nudną i prymitywną.

Teraz doniesienia z zewnętrznego świata już Carli nie obchodziły. Od tygodni nie przeglądała gazet. Pisano w nich o niej tyle, że czuła się zmęczona swoją własną historią. Przystawała rozróżniać, które informacje naprawdę jej dotyczyły, a które powstały w głowach nazbyt gorliwych dziennikarzy.

Dziesiąta. Rozciągał się przed nią kolejny długi dzień. Była na nogach od

piątej i zdążyła już odbyć spotkanie w ośrodku pomocy dla ofiar gwałtu. Wolała poranne sesje, żeby mieć to z głowy i nie stresować się przez cały dzień. Wciąż jednak było za wcześnie na powrót do motelu. Pielęgniarka środowiskowa i rehabilitant już pewnie poszli, zostawiwszy Kevina w fotelu przed telewizorem. Nic się tam nie działo. Wiedziała, że jest Kevinowi potrzebna. Sama też go zawsze potrzebowała. Ale teraz szukała samotności. Kevin wciągał ją w perfidną grę pozorów, w której ustawicznie musiała uważać, aby nie dać się zwieść jego niby zwyczajnemu wyglądowi mówiącemu, że nic się nie zmieniło, kiedy tak naprawdę zmieniło się wszystko. Wszystko. Znajome były tylko siwiejące włosy, oczy różnego koloru i zniszczona cera. Jej powiernik, jej kochanek i najlepszy przyjaciel umarł jednak tamtej nocy wraz z ich jedynym synem. Z dala od niego mogła się przynajmniej oszukiwać, natomiast w jego obecności nieustannie towarzyszyło jej wspomnienie tego, co utraciła.

– Josh. Josh, ostrożnie! Nie tak szybko.

Obok Carli przemknął mały chłopiec na lśniącym czerwonym rowerku. Na jej oczach, niczym w zwolnionym tempie, rozpedzony rower zatoczył się nieporadnie, wpadł w dziurę i wywinął koziółka, nieruchomiejąc w formie sterty pogiętego metalu i odrapanych kończyn. Nagły wrzask wyrwał ją z omdlenia. Rzuciła się naprzód i pierwsza dobiegła do potłuczonego chłopca.

– Biedny mały. Czekał, pomogę ci. – Odsunęła przygniatający dziecko rower. – Pokaż. – Położyła rękę na jego nodze. Była ciepła i pokryta delikatnym puszkciem.

– Krew! Krew mi leci! Mamo! – zawył malec.

– Wszystko będzie... – zaczęła Carla.

Nadbiegła jego matka i wykrzywiona buzia z miejsca się rozluźniła.

– Joshy. O rany. – Kobieta podniosła dziecko.

– Pomogę – zaoferowała Carla, prostując zwichrowany rowerek. – Zostawiła pani samochód w pobliżu?

– Nie. Mieszkamy zaraz obok – odparła kobieta nieuważnie, a Carla poczuła się jak intruz. – Wrócimy do domu piechotą. Dziękuję bardzo. Przyślę po niego córkę.

– Naprawdę, mogę...

Kobieta już się jednak odwróciła i odeszła alejką, z pochlipującym synem na ramieniu. Carla przytknęła ręce do twarzy i wdychała ciepły zapach dziecka.

Wypadek przypomniał jej dzień, kiedy Jack pierwszy raz spadł z roweru, wkrótce po swoich ósmych urodzinach. Kevin kupił mu najnowszy model, taki z dziesięcioma przerzutkami. Dziesięcioma! Jack był w siódmym niebie, a niezwykle cacko stało się przedmiotem zazdrości wszystkich jego kolegów. Do czasu, aż któregoś dnia po południu do kuchni wpadł zapłakany Russell. Carla właśnie robiła włoskie kluseczki *gnocchi*, umorusana po łokcie w masie ziemniaczanej i mące.

– Pani Reid! Niech pani zaraz przyjdzie! Jack miał straszny wypadek.

Pamiętała, jakby to było wczoraj, jak pędziła na złamanie karku, nie wiedząc, co tam zastanie.

Od razu zauważyła rozciętą wargę, skaleczone kolano i otarty do czerwoności brzuch.

– Mamo, złamałem zęby – zawył Jack, ukazując dwa sterczące krzywo siekacze w miejscu, gdzie jeszcze rano lśniły nowiutkie stałe zęby.

– Dobrze, że tylko na tym się skończyło – powiedział doktor Johnson,

zszywając Jackowi wargę. – Zęby można wymienić w przeciwieństwie do oka czy mózgu.

Całe zajście wytrąciło ich wszystkich z równowagi na wiele tygodni. Pierwszy tak poważny wypadek Jacka zachwiał poczuciem bezpieczeństwa i wzmógł czujność w ich małej rodzinie, jakby otarli się o jakąś niebezpieczną granicę. Jack był ich długo wyczekiwany i upragnionym cudem, a jego nadejście wręcz nie do uwierzenia po tak wielu latach bólu i starań. Carli nieodłącznie towarzyszył lęk przed tym, jak łatwo mogła go stracić.

– Wszystkiego nie przewidzisz – mawiał Kevin. – Nie możemy trzymać dziecka na smyczy. Czeka go jeszcze niejedyn upadek w życiu. Musisz być na to gotowa.



BEN

W furgonetce wisiał gęsty zaduch środków dezynfekujących, spalin i starego moczu. Samochód wziął nagły zakręt, a Ben poleciał na koniec zimnej, metalowej ławki i przytrzymał się krat dla równowagi. Czuł dziwne podniecenie. Aresztowanie nie było w sumie takie straszne. Na pewno lepsze niż długie, puste dni bez żadnego zajęcia. Strach, który paraliżował mu gardło w ciągu ostatnich tygodni, wydawał się teraz wręcz śmieszny. Kolejna rozprawa w sądzie przyniesie mu szacun w bandzie. A kiedy wyjdzie, stanie się legendą.

Ciężarówka zwolniła, grzęznąc w porannym ruchu. Za nią przystanęła srebrna honda odyssey. Kobieta za kierownicą malowała usta, przeglądając się w lusterku wstecznym, a z tyłu siedzieli chłopiec i dziewczynka w szkolnych marynarkach i krawatach w paski. Ben widział, jak oboje wyciągają szyje, żeby zajrzeć do środka furgonetki. Przysunął twarz do okienka w drzwiach i zrobił groźną minę, ale dzieci go nie widziały. Lustrzana szyba.

Ben nigdy nie miał szkolnej marynarki ani nawet porządnych butów, skoro już o tym mowa, a mama nie odwoziła go do szkoły. Nie miała samochodu – w każdym razie takiego na chodzie – za to pierwszego dnia odprowadziła go do końca ulicy. Uśmiechnął się na wspomnienie, jak

zwymyślała kiedyś szkolnego policjanta od wagarów, przeganiając małego, zestrachanego fajfusa sprzed ich domu. Co nie przeszkodziło jej potem spuścić lania Benowi za urywanie się z lekcji.

– Nigdy się nie wygrzebiesz z tego syfu, jak nie będziesz chodził do szkoły – krzyczała, a przecież sama czasem zatrzymywała go w domu, gdy trzeba było popilnować maluchów.

A potem zdarzył się dzień, kiedy pan Roberts zajmujący się naukami ścisłymi ośmieszył go przed całą klasą. Ben wyszedł wtedy z sali i ze szkoły i nigdy już nie wrócił.

Zapatrzył się na sznur aut sunących za furgonetką. Czasami, w rzadkich chwilach trzeźwości, Ryan zaczynał dłużyć przy wrakach samochodów porzuconych na trawniku przed domem, obiecując, że któryś mamie naprawi. Nigdy tego nie zrobił. Chociaż ona i tak wołała holdeny – nowe, w żywych kolorach. Ben często fantazjował, że wygrywa los na loterii, wchodzi do jednego z tych ekskluzywnych salonów i wybiera dla mamy największe i najbardziej lśniące auto, jakie jest w sprzedaży. Dziś aż się zżymał, gdy myślał, jaki był wtedy głupi.

Kiedy ciężarówka skręciła w kierunku bramy, coś uderzyło w okno. Po szybie spłynęło jajko. Zaraz potem w otworze ukazał się obiektyw aparatu i błysnął siny flesz. Czyżby jego tożsamość nie była już utajniona?

Ben zamrugał i szybko przybrał stosowny wyraz twarzy: zaciśnięte zęby, nieruchome oczy.

– Żebyś się smażył w piekle, ty parszywa gnido – zawołała kobieta z wytrzeszczonymi oczami i pełnym wstrętu grymasem. – Swołocz rynsztokowa!

Swołocz rynsztokowa. Niezły tekst. Przyda się. Zaczął postukiwać

stopami w sportowych butach o podłogę i pstrykać palcami do wymyślnego na poczekaniu rytmu.

Wy wołacie na nas: swołocz rynsztokowa!

Lecz my trzymamy sztamę,

nie piśniemy słowa.

Burżujskie dzieci wożone do szkoły wypasioną furą

nie wiedzą, że w życiu górą jest ten, co włada spluwą.

Godzinę spędził w tymczasowej celi z koleśkiem, który śmierdział czosnkiem i nie znał angielskiego. Potem wzięli go na salę i Ben został sam. Już lepiej się czuł z tym drugim, chociaż od niego jechało.

Kiedy przyszła kolej Bena, klawisz przykuł go do siebie kajdankami i powiódł schodami na salę. Ben wcześniej przewiązał sobie więzienną bluzę w pasie, tak aby każdy mógł zobaczyć napis „FUCK” na jego koszulce, a zwłaszcza telewizyjne kamery, gdyby się pojawiły. Zajął miejsce na ławie oskarżonych.

Sala była wąska i długa, i pachniała jak świeżo odkurzony dywan. Z przodu na podeście wznosił się długi pulpit, a przed nim stały cztery rzędy stołów i krzeseł. Dalej ciągnęły się ławki pełne ludzi.

W momencie, kiedy Ben usiadł, gwar rozmów raptownie ucichł. Serce zabiło mu mocniej, a krew zaszumiła w skroniach jak woda Huka Falls. Przebiegł wzrokiem po twarzach na widowni z podobnie niespokojną nonszalancją, z jaką nowo przybyły podróżny wychodzi na halę przylotów. Miał nadzieję zobaczyć kogoś z bandy.

– Benjaminie. Hej, Benjaminie! Tutaj!

Nietrudno było zauważyć brązową twarz mamy w morzu białych, ale jej

widok naprawdę go poruszył. Od czasu zatrzymania niewiele o niej myślał.

Do oczu nabiegły mu łzy. Odwrócił głowę i wbił ogryzione paznokcie w ciało, żeby się nie rozkleić.

To, że Ryan nie dotarł, bynajmniej go nie zdziwiło, ale jego kumple? Zakładał, że się pojawią. Rozprawa była otwarta dla publiczności. Sprawdził jeszcze raz. Żaden członek DOA nie przyszedł, aby go wesprzeć. Zależało mu, żeby go tu zobaczyli – zawodowca, a nie byle srajdka. Pewnie obleciał ich tchórz. Ben chciał im tylko powiedzieć, że nic mu nie jest i że na nikogo z nich nie nakapuje.

– Proszę wstać.

Na salę wkroczyła drobna, siwa kobieta, *Pākehā*, i usiadła za głównym stołem. Na głowie, od czoła aż po skroń, miała wielką, fioletową plamę nieporośniętą włosami. Małe, okrągłe okulary bez oprawek zjeżdżały jej na czubek nosa. Za każdym razem, kiedy podsuwała je środkowym palcem, wydawało się, że posyła zgromadzonym *fucka*.

Wszyscy usiedli. Ben też. Strażnik szarpnął go z powrotem do góry. Mężczyzna w ciemnym garniturze wstał i wyrzucił z siebie falę niepojętego bełkotu. Ben nie zrozumiał ani słowa. Potem głos zabrała kobieta w komicznie wysokich szpilkach i wąskiej, żółtej spódnicy. A później jeszcze inna. Sędzia zwracała głowę to w jedną, to w drugą stronę, niczym widz na trybunie meczu tenisowego.

Ben miał dziwne wrażenie, że ogląda z boku czyjąś partię gry komputerowej, w której wrogami byli prawnicy decydujący o losie bohatera.

Strażnik musiał go szturchnąć, kiedy nadszedł czas na jego oświadczenie.

– Czy oskarżony przyznaje się do winy?

– Tak.

– Głośniej.

– Przyznaję się. – Nie zabrzmiało to jednak tak, jak Ben zaplanował. Miało wyjść pogardliwie, jakby tym samym mówił: „Pierdolcie się wszyscy!”.

Sędzia wyznaczyła termin wyroku, zamknęła teczkę przed sobą, wydmuchała nos z głośnym, mokrym trąbieniem i rzekła:

– Wyprowadzić oskarżonego.

Bena zabrano z sali. W drzwiach odwrócił się jeszcze i wykonał umowny gest DOA, żeby zademonstrować chociaż resztki mana po swoim miałym występie. Nie spojrział jednak na mamę, przez co potem czuł się parszywie.

W GŁĘBI

Uznałeś swoją winę, a teraz poniesiesz zasłużoną karę. Nie mogę tego podważyć. Takie same zasady panowały w czasach twoich przodków. Nazywało się to wtedy „utu” – szanowane przez wszystkich prawo, które zapewniało społeczną równowagę, domagając się naprawy wyrządzonych krzywd. Na tym założeniu opierała się współpraca między ludźmi. Jeżeli ktoś hapu naruszyło granice drugiego, pohańbiło jego kobiety lub osłabiło mana, mężczyźni szli na wojnę, by odzyskać to, co zostało im odebrane.

Ale widzisz, znów uciekam myślami gdzie indziej. A muszę przecież snuć moją opowieść. Wróćmy zatem do wielkiej pływającej wyspy, którą w lipcu 1769 roku Maorysi zauważyli u brzegów Poverty Bay.

Zapytasz, jaki to ma związek z tobą? W 1796 roku nie było cię wszak na świecie. Ani nawet twojego ojca czy dziadka. Więc?

Pamiętasz, co powiedziałam ci wcześniej? Łączność jest podstawą wszystkiego. Ta pływająca wyspa odmieniła bieg także twojej historii.

Okazało się, że to wcale nie wyspa, ale statek w pełnym takielunku – żaglowiec pod wodzą niejakiego porucznika Jamesa Hooka. Coś niebywałego! Wyobrażasz sobie przerażenie i zachwyty twoich przodków? Bładoskóry mężczyzna, który przywiózł ze sobą całkiem nową cywilizację – nowe narzędzia i nowe technologie, religię i rozrywki, jedzenie i uprawy.

Ależ to była rewolucja. Tyle złego i dobrego naraz do przekazania dalej. Nastął czas pszenicy, mąki i ciepłego, pieczonego chleba, czas nauki i wynalazków. Czas chorób, zakażeń i niezrozumiałych śmierci. Czas chciwości. Muszkietów. I rządów białego człowieka. Auē!



CARLA

Lorraine z ośrodka pomocy odwiozła ich na farmę – Carla siedziała z przodu, a Kevin z tyłu. W samochodzie trzeszczało radio. The Warehouse obiecywał niepowtarzalne zniżki.

Carla skubała zgrubienie suchej skóry na łokciu. Minęli plantację w połowie wyrosniętych choinek, kompleks kortów tenisowych z ogrodzeniem zarosłym krzewami kolcolistu oraz szkolne budynki z prefabrykatów odwrócone tyłem do ruchu autostrady.

Miała wrażenie, że nie było ich tu bardzo długo. Znajome punkty wydawały się dziwnie inne i obce.

Zaczęło mżyć. Wycieraczki zgrzytnęły o szybę, wlokąc ze sobą suche liście.

Lorraine musnęła Carle ręką.

– W porządku?

Carla przytaknęła. Lorraine włączyła kierunkowskaz. Samochód zwolnił i zatrzymał się na skrzyżowaniu. Czekali pośrodku drogi na przerwę w łańcuchu aut jadących z naprzeciwka, gdy nagle tuż obok nich przemknęła ciężarówka wioząca bydło do rzeźni, wprawiając ich mały pojazd w drżenie i zostawiając za sobą duszny smród amoniaku.

Skręcili w drogę na farmę. W skrzynce pocztowej z modrzykiem stojącym na dachu wciąż brakowało drzwiczek. Kilka miesięcy wcześniej po okolicy przetoczyła się fala wandalskich ataków, a później Kevin nie mógł znaleźć czasu, żeby ją naprawić. Pewnie nigdy już tego nie zrobi.

Koła chrzęściły na zwirowej drodze wysadzonej nagimi wierzbami. Brązowe kikuty lilii sterczały z kęp zwiędłych, pożółkłych liści. Jedynie szarobrązowe krzewy lnu, niewrażliwe na zmiany pór roku, wyglądały bujnie i zdrowo.

Samochód wynurzył się z długiego tunelu drzew i wjechał do ogrodu.

– Jak tu pięknie! – wykrzyknęła Lorraine, chociaż jesień swoje apogeum miała już za sobą i ogród powoli przygasał. Kaskady złota i czerwieni ustępowały z wolna wysuszonym liściom i obumarłym łodygom.

Carla mocowała się z drzwiami.

– Poczekaj, Carlo. To centralny zamek.

Kobieta mimo to dalej szarpała klamkę, aż w końcu drzwi ustąpiły. Wychyliła się z samochodu w samą porę, by zwymiotować na trawnik.

Lorraine okrążyła samochód i podbiegła do niej. Jedną ręką zgarnęła Carli włosy, a drugą podparła jej czoło.

– Z początku nie będzie łatwo – powiedziała miękko.

Carla otarła usta wierzchem dłoni.

– Przepraszam. – Podniebienie i nos piekły ją żywym ogniem. – Przepraszam.

Lorraine ruszyła naprzód, prowadząc ich do domu, w którym przeżyli dwadzieścia siedem lat. Carla zatrzymała się w progu. Na stoliku w holu stał wazon żółtych goździków w otoczeniu kart z życzeniami. Brakowało

miseczki z lwem Jacka.

Ujęła dłoń Kevina i razem weszli do środka. Intensywny zapach detergentów świadczył o gorliwych staraniach zatarcia wszelkich wspomnień i śladów.

– Twój brat Geoffrey twierdzi, że lodówka jest pełna – poinformowała Lorraine. – Podobno sąsiedzi przynosili jedzenie od tygodnia.

Carla odłożyła torebkę i ruszyła wolno w głąb korytarza. Wyraźnie próbowano przywrócić każde pomieszczenie do dawnego stanu, ale drobne szczegóły zdradzały dotyk obcej ręki w jej życiu. Na półkach poezja i beletrystyka były przemieszane, a fioletowy ręcznik do rąk w łazience dla gości nie pasował do zieleni dużych, kąpielowych. Pojemniki na śmieci były puste, nie licząc wyściełających je worków, a jej kolekcja cynowych żabek na toalecie stała w równym rzędzie, inaczej niż zawsze.

Nagle rozległ się huk gwałtownie pchniętych drzwi do łazienki i trzask podniesionej klapy, a potem głos Lorraine: – Poczekaj, Kevinie, chwileczkę.

Carla udawała, że nie słyszy. Kevin często nie mógł teraz zdążyć.

Jak przyciągana magnesem, skierowała się do garażu.

Otworzyła drzwi i omiotła wnętrze czujnym wzrokiem. W środku panował betonowy chłód pozbawiony konkretnego zapachu. Na podłodze widniały jasne odbarwienia w miejscu, gdzie środki chemiczne wyżarły brunatne plamy.

Carla uklękła i przesunęła dłonią po posadzce.

– Carlo? Carlo, gdzie jesteś?

Podniosła się szybko.

– Już idę!

I wtedy ją dostrzegła – na ścianie tuż obok klamki – ciemną kropkę nie większą od pięciocentówki, wypukłą jak farba na płótnie. Zbliżyła do niej twarz i przytknęła palec. Strupek oderwał się od tynku i został jej na skórze, odsłaniając pod spodem żywoczerwoną plamę.

– Tu jesteś. – Lorraine weszła do garażu.

Carla pośpiesznie wsunęła rękę do kieszeni, ukrywając ostatni ślad Jacka.



DZIENNIKARZ

Mike Adams podjął przeprawę przez zapuszczony trawnik, ostrożnie wymijając pordzewiały ruszt, zwichrowane koło od roweru i bezkształtny flak pękniętej piłki nożnej. Podjazd zastawiały dwa stare wraki samochodów. W jednym z nich – żółtej toyocie bez drzwi – siedziało troje dzieci, dwoje z tyłu i jedno za kierownicą. Kiedy podszedł bliżej, wszystkie przerwały zabawę i utkwily w nim podejrzliwe, acz zaciekawione spojrzenia.

– Cześć – powiedział i uniósł rękę powitalnym gestem. Mankiet jego koszuli zsunął się odrobinę, ukazując masywny zegarek do nurkowania.

Ciemne oczy zmrużyły się, a głowy skinęły czujnie.

– Kim pan jest? – zapytał chudy chłopiec na fotelu kierowcy. Wydawał się być w szkolnym wieku. Ciemne, kręcone włosy opadały mu na ramiona, a pod skórą nagiej klatki piersiowej rysowało się wyraźnie każde żebro.

– Kim pan jest? – powtórzyła mała dziewczynka z zasmarkaną buzią, w jaskrawozielonej koszulce.

– Jestem Mike – powiedział i kucnął, żeby zrównać się z najmniejszą rozmówczynią.

Dziewczynka podeszła blisko, wyraźnie zafascynowana jego białymi converse'ami.

– Czy wasza mama jest w domu?

– Chodzi o Miriamę? – upewnił się starszy chłopiec, łapiąc małą za rączkę i odciągając w tył. Adams kiwnął głową. Wstał i wsunął ręce do kieszeni dzinsów.

– Jest – rzekł mały i kiwnął głową w stronę domu.

Trzeci dzieciak, który nie wysiadł z samochodu, skorzystał z chwili ogólnej nieuwagi, by wpakować się na wolne miejsce za kierownicą. Jego triumf nie trwał jednak długo. Gdy tylko starszy chłopiec odkrył podstęp, na podwórku wybuchła awantura i Adams musiał sam znaleźć drogę do domu.

Przy odrapanych drzwiach stał sklepowy wózek wypełniony butelkami po piwie, a te, które się nie zmieściły, leżały rozrzucone na ziemi.

Coś zawarczało głucho i Adams zamarł w pół kroku. W kącie werandy stała kundlowata suka z długimi wymionami zwisającymi ciężko z jej zabiedzonej postaci. Cztery szczeniaki przepychały się między jej nogami, próbując złowić bladoporóżowe sutki.

Adams wypuścił powietrze. Bestia najwyraźniej miała siłę tylko na ostrzegawcze warknięcie.

Zastukał w okienko w drzwiach. Ze środka dobiegał szum wirującej pralki. Zastukał ponownie, tym razem nieco głośniejsze, i w końcu dojrzał przez matową szybę nadchodzącą sylwetkę.

Drzwi uchyliły się lekko, a zza nich wyrzała bosonoga kobieta w wypłowiałych dzinsach i niegdyś białej bluzce.

– Tak?

– Pani Toroa?

– Kto pyta?

– Nazywam się Mike Adams. *Kia ora*.

– *Kia ora* – odparła cierpko, a jej niechętnie spojrzenie zdawało się mówić raczej: „Czego chcesz, do cholery?”.

– Pracuję dla „Heralda”. Chciałem zapytać, czy...

Kobieta zacięła usta i zmrużyła oczy.

– Jeszcze jeden pieprzony dziennikarz! Słuchaj pan, bo powiem to tylko raz: wynocha!

Adams zdążył szybko wsunąć dłoń do środka i skrzywił się pod siłą uderzenia zatrzaskiwanych drzwi.

– Proszę mnie wysłuchać. Wiem, że pewnie media nie dają pani spokoju i tak dalej – powiedział, próbując odepchnąć drzwi – ale piszę w tej chwili artykuł o pani synu. Chciałbym w nim przedstawić pani wersję zdarzeń.

– Jest pan taki sam jak reszta tych krętaczy! – krzyknęła, napierając na drzwi całym ciałem.

Adams skulił się. Wolną ręką sięgnął za plecy i pogrzebał w tylnej kieszeni spodni. Portfel upadł na ziemię.

– Zapłacę za pani pomoc – powiedział, przydeptyując go pośpiesznie. Ucisk na ręce zelżał.

Chwilę później, biedniejszy o dwadzieścia dolarów, wylądował w salonie. Pokój cuchnął dymem papierosowym i pleśnią. Mężczyzna rozejrzał się dookoła. Z sufitu zwisała nieosłonięta żarówka. Ścianę w głębi zdobiły wyłącznie dwie dziury wielkości pięści. W rogu piętrzył się stos pustych kubeków KFC. Na stole w słoiku mętnej, różowej wody tkwił pędzel, a obok leżały pudełko farb i podłużny kawałek pomalowanej tektury.

Adams zdjął ciemne okulary i usiadł na zapadłej kanapie. Wyłazące z

poduszki wypełnienie przypominało piankę do golenia. Podniósł karton do oczu. Ręka mu się trzęsła. Obrazek nie był skończony – w rogu wciąż widniał szary placek wnętrza pudełka po płatkach śniadaniowych – lecz na tyle zaawansowany, by dało się rozpoznać scenkę z placu targowego: ocienione markizami stoiska, skrzynki przejrzałych owoców, kosze z plamami warzyw, muchy, psy i tłum kłębiących się ludzi. Pociągnięcia pędzla umiejętnie oddawały twarz, sukienkę, podniesione ramię.

– Dobrze – powiedział Adams. – Naprawdę dobre. Kto to namalował?

– Daruj pan sobie – prychnęła lekceważąco. – Gdy mój chłopak się dowie, że ktoś tutaj przyszedł, będzie pan trupem.

Adams obliznął usta i wygrzebał się z zagłębienia kanapy. Otworzył notes, z długopisem w dłoni.

– Pani Toroa...

– Nazywam się Kāpehu. Ojciec Bena nie był moim mężem.

– To błąd. W sensie, nie to, że nie byli państwo małżeństwem. Mój błąd, bardzo przepraszam.

Kąciki jej ust drgnęły mimowolnie. Adamsowi zrobiło się głupio. Nie był świeżakiem w zawodzie. Sam wyszedł z pomysłem tego artykułu, a naczelny wyraził zgodę. Młodociana przestępczość mogła się wydawać wyświechtanym tematem, jednak on umiał patrzeć na fakty z nowej perspektywy, podważać utarte opinie. Początkowo chciał zostać prawnikiem, lecz miał za słabe stopnie.

– Jak się pani czuje z tym, że synowi grozi wyrok za zabójstwo?

– Jezu, człowieku! Jak mam się niby czuć? Jestem wniebowzięta! – Cmoknęła głośno. – Wyście się chyba z choinki urwali!

Z miejsca zaliczyła go do innej kategorii. Pierwsze minuty miały kluczowe znaczenie dla przebiegu wywiadu, a on już wszystko spieprzył. Zachowywał się jak stażysta. Jego zdenerwowanie było niewspółmierne do podjętego zadania.

– Spodziewała się pani tego? – drążył dalej. – Miała pani jakieś przeczucia, kiedy Ben dorastał, że...

– Ben to dobry chłopak – powiedziała z nagłą zaciekleścią. – Tylko wmieszał się w złe towarzystwo.

– Nie chciałem... – Spuścił oczy zanadto wylęknięty, aby na nią spojrzeć, kiedy dodał: – Morderstwo... To poważny zarzut.

Nie odpowiedziała.

Dziennikarz podniósł głowę. Gniewna twarz kobiety złagodniała, rysy się rozluźniły, a w oczach błysnęły jej łzy.

Adams przełknął ślinę.

Kiedyś musiała być ładna, pomyślał. Miała wysokie, zaokrąglone czoło i mięsiste usta, jednak jej zmizerowaną twarz okalały zaniedbane strąki przedzielonych na środku głowy włosów. Miała trzydzieści trzy lata – to wiedział z przeprowadzonego wcześniej rozpoznania – jednak trudy życia odcisnęły ślad na jej wyglądzie, przydając jej przynajmniej dekadę.

Rozległ się płacz dziecka. Kobieta nawet nie drgnęła.

– Czy Ben miał już wcześniej kłopoty?

Prychnęła, ukazując odbarwione zęby.

– Mało powiedziane.

– Próbowala mu pani wtedy pomóc? – zapytał gwałtownie. – Co pani

zrobiła, żeby go powstrzymać?

Przez chwilę wydawała się speszona nieoczekiwaną zmianą w jego głosie, ale potem wzruszyła ramionami.

– A co mogłam zrobić? Mam inne dzieci na głowie. Całą noc sprzątam biura. Nie będę przecież trzymać ich pod kluczem, prawda?

Nie przytaknął. Nie chciał ułatwiać jej sprawy.

– Proszę pana – powiedziała, patrząc mu prosto w oczy – jest mi naprawdę przykro z powodu tego, co zrobił. Żal mi tej rodziny... – Urwała i przygryzła policzek.

– A pani partner? Jak rozumiem, nie jest ojcem Bena...

Płacz dziecka stawał się coraz bardziej donośny i rozdzierający.

– Należy do gangu motocyklowego, prawda?

Powoli podniosła na niego wółprzymknięte oczy, po czym wstała i wyszła z pokoju.

Adams poruszył się nieswojo na kanapie. Czy to znak, że ma się wynosić? Wyjął wizytówkę i położył ją na stole.

W chwili, gdy już zbierał się do wyjścia, kobieta wróciła z niemowlęciem na biodrze. Powietrze wypełnił przykry zapach nieświeżej pieluchy. Usiadła, wsunęła rękę pod bluzkę i wyjęła zwiotczałą pierś z dużą, brązową brodawką. Dziecko odnalazło ją natychmiast i zaczęło łapczywie ssać.

– Ile ma? – zapytał Adams, starając się nie patrzeć na jej pierś. Jego żona była w ósmym miesiącu ciąży. Ich pierwszej.

Miriama Kāpehu spojrzała na sufit, jakby musiała obliczyć.

– Jakies pięć miesięcy.

Adams nie był w stanie odgadnąć, czy to był chłopiec, czy dziewczynka.

– Urocze – powiedział.

Popatrzyła na dziecko z namysłem, jakby zwrócił jej uwagę na coś, czego do tej pory nie zauważyła.

– Maluchy na podwórku to też pani dzieci?

– Dwoje – odparła, wyciągając szyję, żeby zerknąć przez okno. – Łącznie szóstka. I kolejne w drodze. – Poklepała się po szerokim, płaskim brzuchu, po czym parsknęła śmiechem. – A ponoć przy karmieniu nie da się zająć w ciążę, he! Nie ma pan czasem fajek?

Adams pokręcił głową. Oburzyło go to, że pali w czasie karmienia i ciąży. Jego żona starannie unikała wszystkiego, co mogłoby zaszkodzić ich nienarodzonemu maleństwu.

Miriama wygięła plecy, obmacując sobie tylną kieszeń dzinsów, z której wyłuskała pogniecioną paczkę papierosów. A więc miała swoje!

Wzrokiem wskazała pudełko zapalek leżące na stole i nachyliła się, by podał jej ogień. Gdy wciągnęła dym, dziecko puściło jej pierś i zaczęło płakać. Wprawnym gestem przełożyła je na drugie ramię i przytknęła do lewego sutka. Adams zachodził w głowę, skąd brało się mleko. Wyglądała tak niepozornie, a jej ciało było sterane i wynędzniałe.

– Dopuszcza pani możliwość, że Ben jest jednak niewinny?

– Och, do jasnej cholery, chłopak się przyznał, prawda?

Adams poczuł oblewającą go falę gorąca. Kolejne głupie pytanie, którego nawet nie zamierzał zadać. Całkowita porażka. Nie potrafił nawiązać z nią kontaktu, a to główna broń w pracy dziennikarza. Rozpraszało go zbyt wiele rzeczy.

Podjął jeszcze jedną rozpaczliwą próbę:

– Czy pani lub ojciec Bena widzieliście się z nim po tym, jak trafił do aresztu?

Na dworze huknęły drzwi od samochodu.

– No pewnie – powiedziała, odsuwając dziecko od piersi i kładąc je obok siebie. Złapała słoik brudnej wody i wylała zawartość przez okno, po czym śpiesznie wsunęła karton, pędzel i farby pod kanapę. – Ale to niełatwe, bo nie mam czym do niego jeździć – dorzuciła. Usiadła i znów wzięła na ręce krzykliwy tłumoczek.

Rozległ się łoskot, a potem ciężkie stąpanie. Adams i Kāpehu wymienili spojrzenia. Dziennikarz poczuł nagłą utratę władzy w członkach.

Do pokoju wszedł facet monstrualnych rozmiarów.

Adamsowi urosły oczy. Po obu stronach czarnej kamizelki piętrzyły się wytatuowane bicepsy, a czarne skórzane spodnie nieomal pękały na potężnych udach. Adams objął wzrokiem imponującą postać – obite metalem glany, ciasno przylegające okulary przeciwsłoneczne, kucyk tłustych włosów – i w jednej chwili przeobraził się w zahukanego chłopca.

– Hej – powiedział olbrzym, wydymając usta i stanął w rozkroku. – Przyjmujesz gości? – Zsunął okulary i przeniósł spojrzenie czarnych oczu z Adamsa na Miriamę, i znów na dziennikarza. – Co to za ciul?

Adams już był na nogach i szybko chował notes. Koszulka polo kleiła mu się do skóry w miejscach, gdzie na błękitnej bawełnie wykwitły ciemne plamy wilgoci.

– Jeszcze jeden z tych świrów od Jehowy – powiedziała Kāpehu, potrząsając głową z udawaną obojętnością. Adams spuścił wzrok. Na blacie

leżała jego wizytówka. Pot spłynął mu ze skroni w dół policzka. Zrobił krok naprzód, starając się przesłonić sobą stół.

– Właśnie wychodziłem.

– To pewne.

Adams ruszył do drzwi, ale po drodze się potknął. Zerknął trwożnie za siebie i zobaczył, że wizytówka zniknęła. Skinął kobiecie głową, po czym śpiesznie opuścił mieszkanie.

Kiedy mijał auto z rozbrykanymi dziećmi, kundlowata suka zostawiła swoje potomstwo i rzuciła się za nim, tym razem z całkiem groźnym ujadaniem. Zamachnął się na nią nogą, po czym przesadził niewysoki murek i otworzył samochód pilotem. W środku automatycznie zamknął wszystkie drzwi, gorączkowo przekręcił kluczyk i ruszył gwałtownie, zataczając się po ulicy.

Dziesięć minut później, gdy był już dosyć daleko, zatrzymał samochód pod drzewem i wyłączył silnik. Został tam, dopóki jego nogi nie przestały trząść się jak w febrze.



CARLA

– Dzięki Bogu, podobno się przyznał – powiedziała Vera, dźgając palcem okruszki na talerzu. Wpadła bez zapowiedzi z ciastem bananowym.

Siedzieli na werandzie od strony ogrodu. Dzień był pochmurny, ale przynajmniej nie padało. Trawnik, choć świeżo skoszony, wyglądał niechlujnie, poryty błotnistymi rowami tam, gdzie Rangiemu zacięła się kosiarka. Na liściach splątanych krzewów róż wyskoczyły drobne, czarne kropki. Kępy lawendy uschły i złykowaciały. Deski tarasu upstrzone były gęsiami odchodami, zaś na ogrodowych poduszkach wyrosła cienka warstwa pleśni. W pralni przeciekał dach, rynny wymagały czyszczenia, a basen pokrył się zgniłozieloną zawiesiną.

Kevin wepchnął sobie do ust cały kawałek ciasta i siorbnął herbaty, wypuszczając mokre okruszki na brodę.

Carla wytarła mu usta serwetką, którą odgonił niecierpliwym gestem.

– Przynajmniej proces nie będzie się przedłużał – ciągnęła swoje Vera. – Został już tylko wyrok.

Carla skinęła głową. Steve Herbert poradził jej nie wdawać się w dyskusje na ten temat. „Ludzie panią zamęczą” – ostrzegał. Ale Vera miała talent do drażenia – robiła to, póki nie docierała do sedna.

– Mam spotkanie z agentem nieruchomości – powiedziała Carla, by zmienić kierunek rozmowy. – Czas wystawić gospodarstwo na sprzedaż.

– Tak będzie najlepiej – przytaknęła Vera, dolewając sobie herbaty.

Carla pożałowała, że ponownie napełniła dzbanek.

Wieczorem, po tym, jak wspólnie obejrzel program o orangutanach w Borneo, Carla ścieliła Kevinowi łóżko. Nie spali już w jednym pokoju. Kevin był zanadto drażliwy i często popuszczał w nocy.

„Nastawiasz alarm po zmroku?” – zapytała Vera tego popołudnia. Tak naprawdę chodziło jej o to, czy Carla nie boi się spać na farmie sama. Ale ona niczego się już nie bała. Niektóre ofiary napaści rozwijały podobno syndrom panicznego lęku, jednak Carla była dziwnie obojętna. Trochę ją martwiło, że jej emocje tak się przytępiły i że stąpa tylko po powierzchni życia. Czowała się jak zawieszony w pustce astronauta, który nie wie, jak wrócić na statek, ani nawet czy tego chce.

– Co myślisz o tym agencie? – zagadnęła Kevina, gdy rozpięła mu koszulę. – Ma rację, że nie będzie łatwo sprzedać gospodarstwa, bo ludzie się uprzedzili? – Ciągle czuła potrzebę, żeby omawiać wszystkie sprawy z mężem. Po całym życiu razem trudno było nagle go pomijać.

– Miał brzydkie buty – stwierdził w odpowiedzi.

Carla nie wiedziała, czy był to przebłysk humoru dawnego Kevina czy bezmyślna reakcja uszkodzonego mózgu. Z szacunku do męża wolała wierzyć, że to pierwsze albo chociaż udawać.

Roześmiała się.

– To fakt.

Cięty język i sarkastyczny dowcip były tym, co ją w nim urzekło w

pierwszej kolejności.

Koszula upadła na podłogę. Carla dźwignęła męża, aby zdjąć mu spodnie. Kiedy stanął, zamknęła oczy i pocałowała go w usta, głęboko i z wytęsknieniem. Miał suche, łuszczące się wargi. Przywarła do niego, chłonąc dotyk jego nagiej piersi pod bluzką.

Pierwszy raz kochali się w noc poślubną. Carla czekała na to z ekscytacją, ale i z niepokojem. W jej domu, chociaż tak postępowym, o seksie się nie mówiło. W szczególności matka po katolicku zachowywała kamienne milczenie w tej kwestii.

Jednak Kevin, ten krzepki, surowy rolnik o masywnych dłoniach, zaskoczył ją niezwykłą czułością i wszystkim pokierował. To był cudowny początek najpiękniejszego romansu. Ich ciała pasowały do siebie jak ulał, więc to, że nie mogły wspólnie począć dziecka, wydawało się jakimś absurdem. Kiedy osiem lat później wreszcie zaszła w ciążę, Carla szybko wybaczyła losowi te długotrwałe zmagania, bo miała niezbitą pewność, że syn, którego nosi, jest owocem najczystszej miłości.

Teraz Kevin wyrwał się i odepchnął ją. Straciła równowagę i upadła tyłem na łóżko, a on wycierał sobie usta wierzchem dłoni i z zapalem lizał własną rękę, żeby pozbyć się smaku pocałunku.

– Fuj!

BEN

W pancерnej furgonetce śmierdziało zgnilizną z domieszką lekko słodkawej woni marihuany. Ben podrapał się w nos lewą ręką, bo prawą przykuty był do Brylanta – starego recydywisty, który praktycznie przez całe życie co chwilę lądował w mamrze.

Ben obserwował z boku, jak Brylant zaciąga się skrętem. Po pewnym czasie nie mógł już wytrzymać.

– Ej, stary, obstaw macha. Od wieków nie jarałem.

Brylant przekrzywił głowę, jak gdyby nie był pewien, czy dobrze usłyszał. Następnie wyciągnął do góry ich połączone dłonie i, zanim Ben się zorientował, gwałtownym szarpnięciem grzmotnął jego ręką o kant metalowej ławki.

Ramię przeszył Benowi świdrujący ból. Wrzasnął, usiłując się wyrwać, lecz Brylant przyciskał mocno. Po rozpalonych policzkach Bena pociekły łzy. Charcząc, kołysał się w przód i w tył, żeby złagodzić męczarnię. Po jego ekscytacji nie zostało ani śladu.

Wreszcie ciężarówka zahamowała gwałtownie.

– Jesteśmy w domu, serdeńko – zaszcebiotał jego towarzysz, okraszając swoje słowa donośnym pierdnięciem.

Dzwonek. Głosy. Domofon. Potem szcęk metalu i samochód potoczył się dalej.

Ben wyjrzał przez okienko. Wysoka, niebieska brama zamykała się za nimi ze zgrzytem. Zrobiło mu się duszno. Od śniadania nie miał nic w ustach, a w nadgarstku pulsował mu ogień. Na przegubie napęczniał miękki balonik skóry i za każdym razem, gdy obręcz kajdanków po nim szorowała, Ben zwijał się z bólu.

Drzwi otworzyły się i do środka wpadło ostre, popołudniowe światło.

– Dobra, panowie, wysiadać! – zagrzemiał strażnik.

Towarzysz Bena szarpnął go za sobą i razem zeskoczyli na ziemię.

Było ciepło, a mimo to Ben nie mógł pohamować dreszczy na całym

ciele. Stał pośrodku długiego dziedzińca u stóp ponurej budowli o gładkich, bazaltowych ścianach wznoszących się złowrogo na tle nieba. Ich jednolicie ciemną powierzchnię znaczyły tylko bryzgi ptasich odchodów, niczym białe łyzy. Z tyłu, na drugim końcu, ponad bramą, przez którą właśnie wjechali, rozpinął się łuk zwieńczony srebrnymi zwojami drutu kolczastego i spłowiąłą od słońca flagą. Wrota do więzienia karno-śledczego Mount Eden.

Nisko nad ich głowami przeleciał gołąb. Ben poczuł na skórze powiew jego skrzydeł. Ptak zatoczył koło i przycupnął we wnęce czarnego gmachu, między pionowymi kratami.

Słońce zniknęło za chmurą i całe otoczenie nabrało jeszcze bardziej posępnego wyglądu. Brama znów zazgrzytała. Ben obejrzał się. Na podwórze wjechała kolejna ciężarówka. Może będzie miał szczęście i zobaczy wysiadającego z niej Tate'a.

Ostatni raz widzieli się z daleka na korytarzu w centralnym areszcie w Auckland po tym, jak Tate też został zatrzymany. Policjanci powiedzieli Benowi, że jego kumpel „wszystko im wyśpiewał” i podobno „mazał się jak dzieciak”. Nie było sensu dalej się wypierać. Dopiero później Ben pojął, że dał się zrobić w konia. Tate nie puścił pary, a on pogrążył ich obu.

Z góry dobiegło piskliwe zawodzenie, niczym wrzaski walczących kotów. Ben zadarł głowę. Spomiędzy krat wysunęło się pokryte tatuażami ramię, wykonując obleśne gesty.

– Chodź, lalczko! Chodź do mnie!

Bena zmroziło w gardle.

– Witamy w więzieniu Mount Eden. – Strażniczka w oliwkowym mundurze i jasnobrązowym krawacie stała przed nimi w rozkroku, z rękami urzędowo założonymi na plecach. W płatku jej ucha połyskiwały trzy ćwieki,

a z paska zwisał na łańcuchu pęk kluczy jak do zamkowych lochów. Za nią, niczym jakiś absurdalny cień, tkwił inny strażnik o posturze ochroniarza z klubu nocnego.

– Przed wszystkim musicie wiedzieć, że Mount Eden jest placówką przejściową – oznajmiła dziarsko. – To znaczy, że zostanieie tu tylko do zakończenia postępowania karnego. Po zapadnięciu wyroku będziecie przeniesieni, więc nie ma sensu zbyt się zadamawiać. Karę odbędziecie gdzie indziej.

W rejestracji Ben otrzymał numer ewidencyjny. Nakazano mu pozbyć się wszelkich „narzędzi samobójczych”, czyli paska oraz sznurówek. Musiał potem człapać w rozchełstanych butach, ze spodniami zsuwającymi się z tyłka. Jego skromny dobytek został spakowany do brązowej, papierowej torby, a dozorca w gumowych rękawiczkach wręczył mu zestaw do spania, szary kombinezon i ksero więziennego regulaminu.

– Trzymaj się zasad, to będzie ci u nas dobrze.

Ben podniósł kartkę do oczu i przebiegł wzrokiem rzędy niezrozumiałych znaczków.

W punkcie lekarskim rozebrał się za zasłoną, zachowując tylko tenisówki. Pielęgniarka o rumianej twarzy i ogromnym biuście zważyła go, osłuchiwała, sprawdziła, czy nie ma wszy i kazała mu nasikać do pojemnika.

Zawiesiła wzrok na jego nowiutkich najkach kupionych za to, co zwędzili na farmie.

– Nie ma mowy, żeby moje buty poszły do jakiejś torby – powiedział, uprzedzając ewentualny sprzeciw.

– Pierwszy raz w więzieniu? – zapytała z pobłażliwym uśmiechem.

Ben popatrzył na nią.

– Możesz je zatrzymać. Zobaczymy, jak długo ci się uda.

Rozluźnił szczęki.

– Chyba mam złamaną rękę.

Pielęgniarka ujęła go za ramię obleczoną w rękawiczkę dłonią i obejrzała czarnosiną opuchliznę.

– Jak to się stało?

Ben wzruszył ramionami.

Zerknęła na niego z ukosa, po czym ostrożnie uniosła i opuściła jego rękę.

– Jezu!

– Nie jest złamana – stwierdziła, zwalniając uścisk. – Tylko potłuczona. Czy rodzina ma do ciebie żal o to, co zrobiłeś? Ciągłe się do ciebie odzywają?

Kiwnął głową. Pielęgniarka odhaczyła kratkę w formularzu. Nie wiedział, przy którym pytaniu – o to, czy „mieli żal”, czy że się do niego odzywali. Mało go to obchodziło.

– Czy kiedykolwiek chciałeś zrobić sobie krzywdę?

Musiała uznać jego milczenie za odpowiedź twierdzącą, bo pierwszą noc spędził na oddziale psychiatrycznym w kaftanie bezpieczeństwa.

– Jest nierozzerwalny, więc nawet nie próbuj.

W pokoju nie było kątów. Każda wyłożona zielonym linoleum ściana płynnie przechodziła w następną. Miał wrażenie, że zamknięto go w jakiejś wielkiej piłce. Pewnie coś podobnego czuło się w parku rozrywki ZORB, w

Rotorua. Brat Simiego mieszkał w tym śmierdzącym siarką mieście i raz zafundował Simiemu zjazd w takiej wielkiej, rozpędzonej kuli. Ponoć przeżycie było ekstremalne – „niesamowity czad” – kiedy piłka staczała się w dół zbocza, a cały świat wirował dookoła i człowiek mógł się tylko histerycznie śmiać.

To pomieszczenie nie nastrajało do śmiechu. Ben powiódł wzrokiem wokół siebie. Przy łukowatej ścianie znajdowało się metalowe łóżko, a pod nim stał jednorazowy nocnik. Na suficie widniała kopuła czarnego szkła, na której w dwudziestosekundowych odstępach mrugała czerwona lampka. Co kwadrans w okienku w drzwiach pojawiała się natomiast twarz strażnika. Jarzeniówki zostały zapalone przez całą noc. Bena to nawet cieszyło, chociaż światło kłuło go w oczy i przenikało w sny. Ciemność byłaby gorsza.

Następnego dnia pozwolono mu wykonać jeden telefon. Zadzwoił do mamy.

– Wszystko w porządku, synu?

– Tak... Musisz tu do mnie przyjechać. Tylko najpierw zadzwoń na 0800 do działu widzeń i powiedz, że mam zgłosić wizytę. Inaczej cię nie wpuszczą. Słyszysz?

– Dobrze, synu.

– I potrzebuję trochę kasy na jedzenie, telewizję i radio.

– A co ja jestem? Święty Mikołaj?

W tle usłyszał wrzaski pozostałych dzieci. Najgłośniejszy był pewnie Cody.

– Muszę iść – powiedziała po długiej chwili milczenia.

– Okej.

– Uważaj na siebie, Benjaminie. Słyszysz mnie, synu?

– Jasne.

Połączenie zostało zakończone.

W GŁĘBI

Prawo. Pewnie się teraz nad tym zastanawiasz. A może twój mały świat jest zapętlony wokół ciebie ciasno jak nierozwinięte koru, tak że wciąż nic poza nim nie dostrzegasz?

Ostatnim razem już wspomniałam o prawie. Teraz powiem ci więcej, chociaż ciągle jeszcze mnie nie słyszysz. Mam nadzieję, że moje słowa dotrą do ciebie we śnie i pomogą ci odnaleźć i naprawić tę rozerwaną więź, z której spadłeś w mrok.

Na nasze ziemie przybyli nowi ludzie – biali osadnicy, którzy chętnie wyruszyli na wielomiesięczne wyprawy po to, by wylapać nasze foki i polować na nasze wieloryby. Wraz z nimi przybyła nieznana nam dotąd samowola – rozpasanie napędzane alkoholem, chciwością i żądzą kobiet.

Nawet niektórzy z nas, głównie ci mieszkający u wybrzeży naszej pięknej wyspy, a więc ci, którzy jako pierwsi mieli styczność z tym nowym, bladym plemieniem, dali się wessać w spiralę nieprawości, sprzedając swoje żony, córki oraz ziemię, która wszakże nie należała tylko do nich, w zamian za jeden muszkiet. Muszkiet – ta broń nie miała sobie równych. Oznaczała władzę.

Brytyjska Korona poczuwała się do pewnych skrupułów względem „rdzennej ludności”, jak nas w owym czasie określano, jednak ważniejszym problemem były machinacje nieuczciwych handlarzy ziemią i ciężoty pozostałych mocarstw chętnych skorzystać z bogactw „nowej” krainy. Imperium nie mogło ryzykować utraty kontroli. Tak właśnie powstał pośpiesznie sporządzony traktat nadający królowej przywilej wprowadzania swoich regulacji w tym odległym zakątku i wyłączne prawo do zakupu ziemi.

A gdzieś między wierszami napomykał o ochronie naszych interesów...



CARLA

Carla wyjrzała przez okno na rząd identycznych apartamentowców ciągnący się u podnóża świeżo usypanej góry ziemi. Za nim, na mocy decyzji brytyjskiej izby budowlanej, powstawał kolejny szpaler takich samych bloków, tyle że w jaśniejszym kolorze. Dalej jeszcze jeden i jeszcze, aż do miejsca, gdzie rozrost tego krajobrazowego wrzodu tamowała główna ulica biegnąca w poprzek osiedla.

Tak jak przewidział agent, niełatwo było znaleźć kupca na gospodarstwo. Rynek poważnie się skurczył, a sprzedaż farmy, na której doszło do zbrodni, stanowiła nie lada wyzwanie. Carla miała poczucie, jakby wciskała ludziom stary, wadliwy sprzęt.

Ostatecznie teren nabył deweloper, wymuszając kwotę znacznie niższą od wyceny rzeczoznawcy.

– Bardzo chciałbym zaproponować więcej, pani Reid. Naprawdę, proszę mi wierzyć. Ale nic nie poradzę. Ta inwestycja i tak ledwie mi się zwróci. Ludzie są przesądni, wie pani, a gospodarstwo wymaga renowacji.

Agent radził jej przyjąć propozycję. Na inną nie było co liczyć, a farma w istocie bardzo podupadła. Ogród zarosły chwasty i obejście straciło dawny urok. Z drugiej strony, gospodarstwo w Rodney – najszybciej rozwijającym się okręgu w kraju – nie potrzebowało uroku, żeby znaleźć kupca. Ale Carla

była zmęczona. I potrzebowała pieniędzy.

Okazało się, że obroty farmy wyglądały o wiele gorzej, niż utrzymywał Kevin. Odkrycie, że to przed nią zataił, spadło na Carlę jak kolejny cios, dodatkowo podkopując jej wiarę w to, co kiedyś miała. Przekazała więc większość inwentarza Rangiemu i Rebecce w ramach spłaty należnej im części i przystała na ofertę dewelopera. Później dowiedziała się, że otrzymał zgodę izby budowlanej na podzielenie terenu na dziesięć pomniejszych działek i sprzedał każdą z nich za więcej, niż zapłacił za całość. Zamiast jednak kląć czy rozpaczać, przyjęła tę wiadomość z filozoficzną zadumą nad podobieństwem całej sytuacji do swojego życia – samotnego szczątka rozbitej rodziny.

Rano zdecydowała się na zakup lokalu 32C, w południe złożyła ofertę, a o szesnastej stała się jego właścicielką. Na nic więcej nie mogła sobie pozwolić, poza tym chciała mieszkać przy The Bays, a więc blisko Kevina.

Lekarze, których zdaniem dodatkowy stres mógł źle wpłynąć na jego niestabilną psychikę, radzili, żeby na czas przeprowadzki umieścić go w ośrodku opieki zastępczej, co również przyniosłoby Carli bardzo potrzebne odciążenie. Nie stać jej było na zatrudnienie nocnej pielęgniarki, więc gdy nadeszła pora, aby się pakować, goniła resztkami sił. Z początku nie chciała słyszeć o oddaniu Kevina w obce ręce. To by znaczyło, że się wycofuje, łamie przysięgę małżeńską – „na dobre i na złe, w zdrowiu i w chorobie” – lecz The Bays oferował znacznie lepszy poziom opieki, niż mogła zapewnić mu sama.

Kevin nawet się za nią nie obejrzał, kiedy go tam zostawiała. Jego ograniczoną uwagę już przykuł zapach stołówkowej kapusty i mielonego mięsa.

Zadzwoiła później, by sprawdzić, jak się czuł. Pielęgniarka powiedziała,

że pytał o Carlę całe popołudnie, ale odradziła jej rozmowę, ostrzegając, że to mogłoby go dodatkowo rozstroić.

Carla odłożyła słuchawkę i stanęła pośrodku swojego nowego salonu w otoczeniu kartonowych pudeł. Ze względu na koszty zamówiła przeprowadzkę bez rozpakowywania. Bev i Vera zaoferowały jej pomoc, ale odmówiła. Wszystko, każdy przedmiot, który kiedykolwiek był dla niej ważny, został już poddany uważnym oględzinom, zbadany i obmacany, sprawdzony i zaopiniowany. Chciała się wreszcie uwolnić od ciągłego nadzoru i powstrzymać tę bezceremonialną wiwisekcję. Sama rozpakuje swoje rzeczy. Zresztą nie było ich wiele. Większość dobytku z farmy bez najmniejszych skrupułów wyrzuciła, z wyjątkiem pamiątek po Jacku.

Odnalazłszy czajnik w jednym z pudeł, zrobiła sobie herbaty i usiadła na nowym dywanie w kolorze cappuccino, pogryzając jedną z kanapek z łososiem i ogórkiem, które przyniosła Bev. Już tęskniła za zapachową mieszanką swojego dawnego domu – wypastowanych parkietów, palonego drewna, krowiej gnojówki i przekwitłych róż. W tym nowym mieszkaniu z cienkimi ścianami, ekonomicznie urządzoną kuchnią i jednobarwnym dywanem syntetycznym brakowało duszy. Nadawałoby się na zdjęcie w każdym magazynie na temat wystroju wnętrz.

Spróbowała płakać, lecz nie mogła przywołać łez, a z jej ust wyrwał się tylko śmieszny, charczący dźwięk. Marzyła o tym, by wylać z siebie ból, ale nawet ta możliwość została jej odebrana. Wyciągnęła się na plecach i patrzyła w sufit, aż w końcu zmorzył ją sen.

Obudziła się nagłym zrywem ze strużką śliny na brodzie i zdrętwiałym ramieniem. W nos drażnił ją silny zapach ryby – niedokończona kanapka z łososiem leżała nieopodal na dywanie. Podeschnięty chleb zaczął wywijać się na rogach.

Usiadła i pociągnęła łyk wystygłej herbaty, aby przepłukać nieświeży posmak w ustach. Na dworze było już ciemno. Przez ścianę dolatywały stłumione dźwięki wieczornych wiadomości. Potarła oczy i spojrzała na zegarek. Osiemnasta dwanaście. Powoli dźwignęła się z ziemi, z trudem prostując zeszywniałe członki, i ruszyła na obchód niewielkiego mieszkanca. Agent określił je jako „funkcjonalne”. Bolesnie doskwierał jej brak śladów swojej historii – dziur w ścianach wydrążonych przez pomyłkę przy pospiesznym wieszaniu obrazów, złotych zacieków na szybie piekarnika, kupki popiołu w kominku, panoramicznego okna w kuchni z widokiem na ogród, w którym odbywały się przyjęcia urodzinowe. Wszystkiego, co tworzyło zwykłe życie domu.

Czuła się nieswojo w pojedynkę. Mieszkała już wcześniej sama, ale wówczas to był jej wybór – wyraz niezależności rezolutnej, ambitnej studentki. Teraz, gdy została skazana na samotność, tęskniła za poczuciem kontaktu, przywiązania i troski, których kiedyś tak bardzo unikała.

Zajrzała do kuchni. Mrok rozpraszała jasna łuna z sąsiedniego okna zaledwie kilka metrów dalej. Bliskość obcych ludzi była krępująca.

Włączyła światło. Jarzeniówka zamrugała irytująco. Carla przez chwilę majstrowała przy żaluzji zacinającej się co parę centymetrów. Rozplątując sznurek, wyjrzała na zewnątrz. Na zaparowanej szybie okna naprzeciwko drobna dłoń wycierała kółko, w którym ukazała się uśmiechnięta kobieca twarz o azjatyckich rysach. Żaluzja Carli opadła.

Następny miesiąc minął jej we mgle porwanego snu i zmiennych nastrojów. Noce przechodziły w poranki, poranki w popołudnia. We śnie nawiedzały ją koszmary, na jawie – dręczyły wyrzuty. Powinna była zamknąć bramę do garażu tamtej nocy. Gdyby nie zaprosiła Jacka na ich rocznicową kolację albo gdyby wyszli zjeść w restauracji... Dlaczego rzuciła

mu na koniec te okrutne słowa? Jakie to miało tak naprawdę znaczenie, że chciał mieszkać w mieście? Gdyby... Dlaczego... Wystarczyło...

O higienę i jedzenie dbała sporadycznie, a jej ciało stopniowo straciło dawną krągłość i dorodny wygląd. Wychodziła z domu, tylko gdy musiała, a niespodziewane telefony odsyłała na automatyczną sekretarkę. Nie mogąc przez dłuższy czas skupić na niczym myśli, zaniechała czytania i przerzuciła się na telewizję, spędzając czasem długie godziny na bezwiednym gapieniu się w ekran.

Którejś nocy poderwała się z burzliwego snu, zлана potem i w rozrzuconej pościeli. W mroku świeciły czerwone cyferki zegarka obok łóżka. Było niewiele po trzeciej. Jej pęcherz domagał się ulgi.

Światło w łazience bezlitośnie obnażyło jej wynędzniałe odbicie, dodatkowo oszpecone strupami rdzy, które niczym trądzik zdążyły już podziobać lustro na drzwiach taniej szafki. Całkiem rozbudzona, zajrzała do kuchni po coś ciepłego do picia i ze zdumieniem stwierdziła, że pomieszczenie znowu wypełniało światło z sąsiedniego okna. Była trzecia nad ranem!

Zbliżyła twarz do szyby. Zobaczyła tę samą kobietę, tym razem zwróconą plecami, kołyszącą dziecko na biodrze. Carla wpadła raz na nią, gdy wyszła wyrzucić śmieci. Przedstawiły się i wymieniły zdawkowe uprzejmości, ale kiedy Mingyu zaprosiła ją na filiżankę herbaty, Carla odmówiła pod pierwszym lepszym pretekstem. Od tego czasu zawsze sprawdzała przed wyjściem, czy na dworze nie ma drobnej Azjatki. Scena w sąsiedniej kuchni przywołała wspomnienie tego, jak sami z Kevinem czuwali po narodzinach Jacka. Dopiero po trzech latach wrócili do regularnych, w pełni przespanych nocy. Momentami wycieńczona i zestresowana Carla miała dosyć wierzgającego tłumoczka, na który tak długo czekała. Przetrwąć pozwoliły

jej tylko wsparcie Kevina i wiara.

Carla zawsze była religijna. Niekoniecznie w duchu narzuconego przez włoskie wychowanie kanonu katolicyzmu. Wyznawała raczej zaczerpnięty z różnych wierzeń zasadniczy kodeks życiowy i przekonanie, że dobre uczynki zawsze się zwracają.

Kevin natomiast, kiedy go poznała, był zdeklarowanym ateistą po traumie z dzieciństwa spędzonego w bezwzględnym rygorze katolickich szkół z internatem. Stosowane przez zakonnice metody, takie jak zamykanie w szafie, bicie za najdrobniejsze przewinienia i wiele gorszych kar, skutecznie zraziły go do jakiegokolwiek religii. W jego mniemaniu Bóg, jeżeli w ogóle istniał, nie przejmował się nim.

Z biegiem lat ich małżeństwa opór Kevina zelżał. Być może mężczyzna dał się przekonać cichej wierze swojej żony i chociaż nigdy się otwarcie do tego nie przyznał, kobieta podejrzewała, że w ostatnich latach zaczął podzielać jej credo.

Carla gwałtownie postawiła kubek na ladzie i zgasła czajnik. Paradoks polegał na tym, że to właśnie Kevin od początku miał rację. Wiara była głupotą. Złudzeniem, że ból istnienia ma jakiś głębszy sens.

Otworzyła pojemnik na chleb i wsunęła rękę w chłodną czeluść. Jej palce odnalazły potajemny skarb. Zdawała sobie sprawę, że to śmieszne, żeby chować butelkę. Nie było przecież przed kim jej ukrywać, z wyjątkiem „drugiej Carli” – tej, którą udawała, że wciąż jeszcze jest.

Napełniła kubek bezbarwnym, przejrzystym trunkiem. Pierwszy łyk rozpalał, drugi przytębiał zmysły, a po trzecim ostre ciernie jej życia łagodniały i osnuwały się mgłą.



DZIENNIKARZ

Mike Adams usiadł przy komputerze, aby wystukać streszczenie na trzy tysiące słów. Chciał się z tym uporać jak najszybciej i mieć sprawę z głowy. Jego żona wyszła na przyjęcie z okazji narodzin dziecka koleżanki, mógł więc pracować bez przeszkód przez cały wieczór. Szło mu jednak opornie, słowa nie napływały i zaciął się przy każdym zdaniu.

Liczba wyrazów: 207.

Wstał i wsunął krzesło pod biurko. Monitor zamigotał, grożąc zawieszeniem. Na ekranie znowu wyskoczył dokument Worda. Adams szybko kliknął ikonę „zapisz”.

Za oknem, na tle krwawiącego nieba odcinał się zarys czarnego stożka wyspy Rangitoto. *Jak znalazł*, pomyślał. W języku maoryskim „rangitoto” znaczyło „krwawe niebo”. Czyli pamiętał jeszcze coś z tego, czego go nauczono.

Uwielbiał ich niewielkie mieszkanie właśnie za ten widok. Rangitoto była równie fascynująca co Mona Lisa – zawsze taka sama, z której strony by na nią nie patrzeć. Za każdym razem, gdy spoglądał na uśpiony wulkan, ogarniało go wrażenie spokoju. Jego widok przenosił Adama w inny wymiar, wyzwalając poczucie przynależności do czegoś większego.

Z knajpki poniżej doleciał go zapach jagnięciny w sosie octowo-czosnkowym. Zachciało mu się jeść. Złapał portfel i wyszedł z mieszkania.

– Za piętnaście minut – powiedziała drobna Induska z uszami kapitana Spocka. Adams postanowił pójść w tym czasie na spacer brzegiem morza zamiast siedzieć i przeglądać nieaktualne czasopisma.

Była pora przyływu i fale uderzały o wał, rozpraszając w powietrzu chłodną, słoną mgiełkę. Po wyjściu z dusznego mieszkania przesycone wilgocią podmuchy wydawały mu się zaskakująco żywe.

Z zadumy wyrwał go dźwięk rowerowego dzwonka. Zatopiony w myślach, wszedł bowiem przez nieuwagę na ścieżkę.

– Uważaj, jak jedziesz! – krzyknął za sylwetką w pomarańczowej lycrze, chociaż wiedział, że to on zawinił. Ale był podminowany i zły. Rozmowa z matką Toroi okazała się zupełnym niewypałem. Najgorszym w jego karierze. Na dodatek mało nie oberwał. Pomijając już to, miał wrażenie, że grunt usuwa mu się spod nóg. Jego dziennikarskie aspiracje zdały mu się nagle żalotne i bezpodstawne. Miał za sobą kilka trudnych tygodni wypełnionych zwątpieniem w samego siebie i porywami emocji wobec zbliżających się narodzin ich pierwszego dziecka.

Co chciał tą rozmową osiągnąć? Stać się głosem najsłabszych? Zrozumieć, dlaczego przestępcy byli coraz młodszy? Zaznaczyć potrzebę przemian społecznych?

Czy naprawdę sądził, że byłby w stanie napisać coś na tyle poruszającego, aby przykuć uwagę ludzi, skłonić ich do refleksji albo nawet do zmiany? Kiedyś chciał być prawnikiem – podobał mu się pomysł niesienia pomocy innym. Kogo próbował oszukać? Zawód adwokata dawał po prostu status życia *Pākehā* i pozwalał mu odciąć się od własnej przeszłości. Kiedy

nie przyjęto go na wydział prawa, wybrał dziennikarstwo, w imię tych samych ideałów. Możliwe, że w tamtym czasie motywy jego działania były naprawdę czyste, lecz już dawno temu przykryły je całkiem inne ambicje – potrzeba zabłyśnięcia, chęć oczarowania zręczną magią słowa, pragnienie nagród i sławy. Tym się właśnie kierował i stopniowo stracił powołanie.

Dzisiejszy wywiad był inny. Nieoczekiwanie przebił jego pieczołowicie budowany pancerz i ugodził głębiej.

Adams znów powrócił myślami do minionego popołudnia. Nie wiedział, co o nim sądzić. Miał mieszane uczucia. Rozzłościło go, że ta kobieta pali, będąc w ciąży i że w ogóle w niej jest, skoro już wydała na świat szóstkę dzieci, w tym jednego zabójcę.

Jednocześnie dręczyło go wspomnienie fioletowych sińców na jej rękach. I jej zaniedbanego, ciężarnego ciała. I tej zajadłości, z jaką mówiła o synu. To mu przypominało...

A do tego maluje! Pokręcił głową i roześmiał się głośno. Para starszych *Pākehā* spacerujących z psem obejrzała się na niego zdumiona.

Miriama Kāpehu malowała. I to pięknie. Przy całym syfie, jakie zafundowało jej życie, jeszcze lubiła malować.

Był na siebie zły, że nie umiał zachować dystansu i pozwolił emocjom wpłynąć na przebieg wywiadu. I że był nieuczciwy.

Jego matka. Nie myślał o niej od wieków.

Fale wessały nurt jego myśli w głąb morza, po czym zawróciły, rozpryskując je znowu o nabrzeże.

Nie mógł dojść ze sobą do ładu. Miał w głowie zupełny mętlik. Czyli przez cały ten czas tylko się oszukiwał?

Poczuł się nagle samotny i zagubiony. Lada chwila będzie miał dziecko. Był mu winien uczciwość. Musiał przestrzegać przyjętych wartości, a nie tylko wycierać nimi usta. Ale kim on w ogóle był? Czym był? Wyparł się swojego dziedzictwa. To mówi o nim więcej niż trzy tysiące słów.

Przystanął w cieniu rozłożystego drzewa *pōhutukawa*. Trzech miłośników nocnego kajakarstwa rysowało ślady na srebrnej tafli wody migoczącej w świetle księżyca. Obok przebiegła dziewczyna z roztańczonym końskim ogonem, a potem minęła go para pchająca wózek. To był spokojny krajobraz życia w Mission Bay, które sobie z żoną kupili. Do tej pory myślał, że się wpasowali. Zrobił wszystko, żeby zatrzeć ślady swojego dzieciństwa i pozbyć się wstydu. Prychnął z niesmakiem. Nawet jego maoryskie powitanie z Kāpehu wypadło nieudolnie.

Zawrócił wzdłuż nabrzeża, podpatrując migawki z życia *Pākehā* przez oświetlone okna. W restauracji odebrał zamówienie i wrócił do mieszkania, ale poplamione kurkumą pudełko pozostało nietknięte na stole. Jakoś stracił apetyt.



CARLA

– Pani Carla! Jest w domu?

Carłę obudziło łomotanie. Jęknęła i przewróciła się na bok.

– Pani Carla! – Cienki głos nie dawał za wygraną.

Carla dźwignęła się, z głową pękającą jak borowany cement.

– Chwileczkę!

Pocłapała do drzwi, stawiając jedną stopę dziwnie nisko, za to drugą podnosząc zbyt wysoko. Po chwili mocowania się z zamkiem zdołała otworzyć drzwi.

W korytarzu stała jej sąsiadka, Mingyu, z wyrazem zatroskania na owalnej twarzy. Nastąpiła krępująca cisza.

– Dzień dobry, pani Carla, wszystko w porządku? Pani wygląda nie za dobrze.

– Tak, w porządku – odparła Carla z rozdrażnieniem. – Dziękuję.

Mingyu zrobiła krok w tył, unikając oddechu Carli.

– O co chodzi? – zapytała Carla.

– Jest druga po południu. Martwię, bo pani śmieci nie na dworze.

Ciężarówka już zabiera. Więc myślę, może pani chora, tak? Wczoraj wieczór pani późno nie śpi. Widzę światło.

– Nie, nie jestem chora. Po prostu zasnęłam.

Drobna kobieta wyciągnęła szyję, zaglądając nad ramieniem Carli do jej mieszkania. Zmrużyła oczy na widok pustej butelki po wódce na podłodze.

Poirytowana jej wścibskim zachowaniem Carla już miała zamknąć drzwi, gdy Mingyu uśmiechnęła się i powiedziała szybko:

– Pani napije herbaty?

Carla się zawahała. W pierwszym odruchu miała ochotę odmówić, ale ją coś powstrzymało. Może strach przed ponownym zamknięciem w ścianach ciasnej klitki w towarzystwie jedynie swoich okaleczonych myśli? A może bała się, że otworzy kolejną butelkę?

– Z przyjemnością – wykrztusiła, starannie wymawiając każde słowo.

Sąsiadka z radością chwyciła ją za rękę. Miała ciepłe, delikatne dłonie.

– Muszę tylko założyć coś na nogi.

Przed drzwiami mieszkania Mingyu stał równo ustawiony rząd butów, więc Carla zdjęła sandały, które przed chwilą wsunęła.

Rozkład pomieszczeń był taki sam jak u Carli, lecz ze względu na szczytowe położenie, do wnętrza zaglądało znacznie więcej światła. Chromowane lampy i czarne skórzane meble nie były w guście Carli, ale ich odmienność wpłynęła na nią dziwnie krzepiąco.

Pachniało także inaczej – ludźmi, owocami i codziennym życiem. Świeże powietrze wpadające przez otwarte okna też wydawało się nowe. Na drucianej paterze na ladzie spoczywały trzy duże, czerwone jabłka, najwyraźniej prawdziwe, zważywszy na rój muszek krążący dookoła. W tle

grało cicho radio i szemrała zmywarka. Pośrodku salonu stała deska do prasowania, a obok niej plastikowy kosz wypełniony praniem. Carla rejestrowała skrzętnie każdy szczegół.

Nagle rozległ się nieoczekiwany syk szybkowaru. Unosząca się z niego para roztaczała słodki, mięsny aromat.

– Pięknie pachnie – powiedziała Carla, prawie z apetytem. – Co pani gotuje?

Mingyu się rozpromieniła.

– Zupę z pora i wieprzowiny. Moja córka już je twarde rzeczy i bardzo lubi.

Jak na zawołanie, zza kosza z czystą bielizną dobiegło ciche kwilenie. Carla przechyliła się i dostrzegła niemowlę leżące na dywaniku z owczej skóry. Rysy dziewczynki były delikatne jak płatki młodego storczyka, a czarne włoski sterczały zawadiacko na czubku głowy. Ssała palec jednej nóżki, a rączką pociągała za zwisający z kosza troczek ciemnozielonego stanika.

– Cześć, malutka – powiedziała Carla i przykucnęła, aby połaskotać drobne stópki w kolorze toffi. – Ile masz miesięcy?

Buzia niemowlęcia wykrzywiła się, dolna warga zadrżała i po mieszkaniu poniósł się ogłuszający ryk.

– W piątek sześć – powiedziała Mingyu, podnosząc dziecko i obsypując je kaskadą głośnych pocałunków.

Carla chłonęła całą scenę – soczysty dźwięk cmoknięć na skórze, zapach talku i dziecięcego szamponu, małe stópki o kluskowatych paluszkach. Serce jej przyspieszyło i poczuła ucisk paniki w gardle. Potrzebowała powietrza.

Musiała natychmiast stąd wyjść. To było dla niej zbyt wiele. Chciała jak najszybciej zamknąć się w znajomych ścianach swojej małej nory – tam, gdzie potrafiła trzymać emocje na wodzy.

Omiotła pokój oczami i zatrzymała wzrok na swoim kuchennym oknie widocznym na zewnątrz. Dziwnie było widzieć je z tej perspektywy. Niemal się spodziewała, że ujrzy tam siebie samą, stojącą przy kontuarze z kubkiem herbaty w dłoniach.

Ale w środku było ciemno i pusto.

Nie chciała tam wracać.

Jeszcze nie.

– Zielona albo English Breakfast? – zapytała Mingyu, muskając jej łokieć. – Niestety, nie umiem robić kawy.

– Zielona – powiedziała Carla bez zastanowienia. Nie znosiła zielonej herbaty, ale jej uwagę przykuł dotyk palców, bliskość drugiego ciała i bijące od niego ciepło.

Mingyu nakryła stół białą serwetą i naląła herbatę do czarek z kostnej porcelany w biało-niebieskie wzory.

Herbata była nieoczekiwanie łagodna, nieomal bez smaku, lecz jej aromatyczny bukiet sprawiał zaskakującą przyjemność. Carla wypła dwie filiżanki i zjadła trzy migdałowe wafelki. Wszystko było delikatne i eleganckie, wobec czego czuła się nie na miejscu.

– Pani smutna.

Bezpośredniość sąsiadki zbiła ją nieco z tropu. Carla nie była przygotowana na więcej niż lekką, towarzyską pogawędkę.

Udała, że nie rozumie:

– O nie, herbata jest pyszna. Od jak dawna mieszka pani w Nowej Zelandii?

Mingyu wbiła w nią surowe spojrzenie, dając do zrozumienia, że nie da się zbyć byle czym.

– Pani bardzo ładna. Za chuda, ale ładna. Dlaczego mieszka sama? Dlaczego nie ma gości?

Coś w szczerym, dziecięco naiwnym zainteresowaniu Mingyu rozbroiło Carlę i zanim zdołała się powstrzymać, cały ból i dawno tłumiona rozpacz wypłynęły z niej nieprzerwanym strumieniem.

Przez długi czas płakała cicho na ramieniu Mingyu, a sąsiadka gładziła ją po plecach, mrużąc kojące słowa w niezrozumiałym języku.



BEN

Jocko wyglądał na jakieś czterdzieści pięć lat. Miał czerwoną twarz, cynowożółte włosy i zniekształcony przez tuszę tatuaż węża na obwisłym brzuchu. Mało się odzywał, za to bez przerwy cmokał, a gdy już coś mówił, to z donośnym akcentem Scouse. Miał też zwyczaj nastawiać telewizor na cały regulator aż do zgaszenia świateł. Dobrze chociaż to, że Ben trafił na współwięźnia z telewizorem.

Za to Jocko nie był zachwycony jego towarzystwem. Przez wiele dni zżymał się i klął, zanim w końcu popadł w niechętną obojętność. W pierwszej kolejności wyznaczył szereg zasad, których Ben musiał się trzymać, jeżeli nie chciał oberwać. Zasada numer jeden nakazywała Benowi odwracać się do ściany, kiedy Jocko korzystał z toalety, przy czym ten żmudny proces mógł trwać nawet godzinę. Benowi nie wolno było także schodzić z pryczy po zgaszeniu świateł, co znaczyło, że musiał opróżnić się do butelki po L&P w razie nocnej potrzeby.

Betonowa cela z piętrowym, metalowym łóżkiem była raczej pusta, nie licząc kilku plakatów z na wpół nagimi kobietami, które powiesił Jocko. Obok toalety z czarną, pękniętą deską klozetową wisiała mała umywalka z brudnożółtym zaciekiem wytworzonym przez ciurkającą bez przerwy stróżkę wody. Wysoko pod sufitem znajdowało się niewielkie okno, przez które

czasem wpadały smugi siniego światła ograbionego przez zawilgłe mury z ciepła.

Pierwszej nocy na bloku wschodnim Ben prawie nie zmrzył oka. Nie był w stanie się rozgrzać. Dozorca powiedział, że jeżeli chce, może złożyć wniosek o dodatkowy koc lub poprosić rodzinę o ciepłe ubrania. Nie tylko jednak zimno nie dawało mu zasnąć. Ben umierał ze strachu... Ze strachu, co będzie jutro... Ze strachu przed nawalanką... Bycie członkiem DOA nie wydawało się już takie fajne. Z tęsknotą myślał teraz o długich, beczynnych dniach w domu.

Czuwał przez wiele godzin, zanim wreszcie zawyła poranna syrena i po korytarzu poniósł się metaliczny szcęk otwieranych drzwi, w miarę jak strażnicy przeprowadzali pierwszy obchód dnia. Więźniowie hałaśliwie wylegali z cel i ustawiali się w rzędzie.

Ben zrezygnował z prysznic w obawie, że pogłoski o napadach w więziennych łazienkach mogłyby okazać się prawdą. Zamiast tego podszedł do polowego stołu, z którego wydawano śniadanie. Owsianka pachniała smakowicie. Odebrał swoją miseczkę i plastikową łyżkę i rozejrzał się za miejscem do siedzenia.

– Wracaj do celi. Zakaz wychodzenia do ósmej – pogonił go zwalisty Samończyk w wysokiej czapce kucharskiej.

Ben zaniósł jedzenie z powrotem do swojej nory. Owsianka weszła bez trudu. Pięć ruchów łyżką i koniec.

– Dokładki? – Jocko wybuchnął śmiechem, rozdziawiając szeroko mokre, czerwone usta, a jego wzdęty brzuch napiął się, jakby miał pęknąć. – To nie obóz wypoczynkowy!

O ósmej cele znowu zostały otwarte i Ben dołączył do sznura więźniów

wschodniego bloku, których poprowadzono przez długi szereg bram na podwórze.

Po całym dniu w środku słońce poraziło mu wzrok. Potarł powieki i rozejrzał się dookoła. Nad dziedzińcem rozpięto niemal niewidoczną, drucianą siatkę, tak cienką, że kiedy zmrużył jedno oko, rozmywała się w błękicie bezchmurnego nieba. Nie było najmniejszych szans, żeby przemycić coś górą z Grafton Road. Na szczycie piętnastometrowych murów okalających podwórze wiły się zwoje drutu kolczastego, w których, jak owady w żelaznej pajęczynie, tkwiły rozdarte koszulki i podziurawione piłki.

Więźniowie rozbili się na niewielkie grupki.

Udając znudzonego, Ben ruszył ku ławkom w głębi podwórza. W porannym cieple poczuł się znacznie lepiej. Ucisk w żołądku z wolna ustępował. Mężczyzna nie przestawał jednak śledzić czujnym wzrokiem tego, co działo się wokół.

– Jo! Ładne buty.

Ben podniósł głowę, mrużąc oczy w słońcu. W chwilę potem światło przesłonił mu cień.

– Spodobały się Karaluchowi.

Ben zawrócił, ale ciężka dłoń osadziła go w miejscu.

– Karaluch nie lubi, kiedy się go lekceważy.

Ben strząsnął żelazną łapę z ramienia.

– Zaprasza cię na rozmowę za ścianą.

W pierwszym odruchu chciał rzucić się do ucieczki, ale dokąd? Do jedenastej był tu uziemiony. Zerknął na pomost, na którym czuwali strażnicy, ale okna były lustrzane i nie widział, czy ktokolwiek patrzył w jego stronę.

Pomyślał, że tak długo jak będzie na widoku, nic złego mu się nie stanie.

Nagle znikąd wyrosła wokół niego chmara ciał i wzięła go w ciasny pierścień. Byli tak blisko, że czuł zapach ich potu. Niby to gawędząc i trącając się nawzajem żartobliwie – ot, niewinne wygłupy dla postronnego oka – przepchnęli Bena za blaszaną przegrodę.

Stały tu dwie toalety. Na jednej z nich siedział chuderlawy facet wytatuowany od góry do dołu. Najbardziej rzucający się w oczy był obrazek na jego czole – nóż ociekający niebieską krwią, która spływała mu na prawą powiekę.

– Cycek w adidasach – odmeldował któryś.

– Bierz jebane buty.

Ben odwrócił się, szukając drogi ucieczki, ale potężny cios w twarz zwalił go z nóg i nim strażnicy odkryli jego skulone pod ścianą ciało, banda już dawno rozpierzchnęła się po placu.

– Spacerniak, zero jeden! Spacerniak, zero jeden.

Ben spędził osiem dni na szpitalnym oddziale ze złamanym nosem i pękniętą szczęką, sącząc posiłki przez miękką, różową słomkę. Gdy wszczęto dochodzenie w związku z incydem, powiedział, że się potknął i rąbnął głową o ziemię. Nawet bez więziennego poradnika przetrwania wiedział, że tak trzeba. A najki pasowały na Karalucha jak ulał.

W GŁĘBI

Więźniowie zabrali coś, co należało do ciebie. Ukradli twoje buty, tak samo jak ty ukradłeś życie, które nie było twoje, i tak samo jak biali ludzie z muszkietami zrabowali ziemię twoim przodkom. Próbowaleś bronić swojej własności. Twoi przeciwnicy byli jednak silniejsi i musiałeś polec. Życie nieustannie pisze podobne scenariusze.

Po co wciąż czuwam nad tobą i ronię łzy nad twoim marnym losem, skoro ziemskie sprawy już mnie nie dotyczą? Jestem duszą wszechświata, cichymi dolinami Marlborough Sounds, złotymi połoninami Aoraki, lśniącego falami u brzegów Kaikoura. Jestem wołaniem weki i pohukiwaniem sowicy. Jestem błyskiem i grzmotem burzy. Dźwiękiem i ciszą tej ziemi, i tego nieba. Jestem wszędzie.

Odpowiedź jest prosta, chłopcze. Czuwam nad tobą, bo jesteś częścią mnie, a ja jestem częścią ciebie. Łączy nas odwieczna harmonia, przywiązanie materii do ziemi i duszy do nieba. Jesteśmy dwoma fazami tego samego cyklu. I choć ty zerwałeś tę ciągłość, ja trwam z przyczyn, które wykraczają daleko poza ciebie, z troski o przyszłość. Bo widzisz, jeżeli ty odetniesz się od korzeni, to samo zrobią twoi potomkowie, a potem kolejne pokolenia.

Wróćmy jednak do mojej opowieści, do 1840 roku, kiedy to w osadzie nad brzegiem Waitangi podpisano w pośpiechu ów traktat, o którym ci wspominałam. Układ między Anglikami i twoimi przodkami, zatwierdzony przez wielu przywódców maoryskich plemion z wiarą, że przyniesie współpracę i obustronny szacunek. Ale... Tak, niestety tu musi paść „ale”. Albowiem ten kluczowy dokument został sporządzony w dwóch postaciach – w dwóch wersjach językowych podlegających dwóm interpretacjom. I tak

doszło do „nieporozumienia Waitangi”.



CARLA

Kevin siedział tyłem do drzwi, kiedy Carla weszła do pokoju. Kończył właśnie obiad i w powietrzu unosił się zapach rybnej zapiekanki.

– Witaj, kochanie – wyszeptała, całując go w czubek głowy. Na bliźnie nie odrosły mu włosy. Śliwkowe, mięsiste wybrzuszenie wyglądało jak tor kolejowy biegnący pośród rzadkich, siwiejących kosmyków.

Podniósł na nią błędne spojrzenie.

– Najadłem się. Możesz to zabrać.

Kiedy Carla podnosiła tacę, niechcący potrąciła jego zielony, plastikowy kubek, zalewając resztki *purée* kompotem z czerwonej porzeczki.

– No i co żeś narobiła, niezdaro?! – wybuchnął. – Po co tu pracujesz, jak się nie nadajesz? Jeszcze chodzisz się gzić z panem Meadym spod dwunastego. Wiem, bo mi powiedział. Jesteś zwykłą dziwką.

– Przestań, Kevinie! Przestań! To ja, Carla. – Z trudem panowała nad głosem. – To ja! Pamiętasz naszą farmę? Wierzbowisko? Pamiętasz Jacka, naszego syna?

Bywały dni, kiedy coś kojarzył, w inne wszystko mu się mieszało. Ostatnio te drugie zdarzały się coraz częściej. Był tak mało odporny, że każda najdrobniejsza dolegliwość, jak choćby zapalenie dróg moczowych czy

zwykle przeziębienie, potrafiła zupełnie go powalić.

– Uch! – stęknął gniewnie, szamocząc się z paskiem szlafroka.

– Złapali tych bandytów – rzekła wolno, siadając obok niego. – Tych, którzy zrobili ci krzywdę. Jeden dostał czternaście lat, a drugi dziewiętnaście.

Powiedziała mu, że tego dnia zaczęła się reszta ich życia. Muszą pogodzić się z tym, co ich spotkało, i radzić sobie dalej.

Kevin gorączkowo potarł się po nosie i wbił wzrok w przestrzeń przed sobą.

– Zobacz, co kupiłam – powiedziała po chwili milczenia, zaglądając do firmowej reklamówki Farmers, z której wydobyła dwa szeleszczące zawiniątka.

Kevin śledził jej ruchy okrągłymi z ciekawości oczami. Powoli rozwinęła pakunki, starannie wygładzając pognieciony papier, i postawiła najpierw jeden, a potem drugi kryształowy kieliszek na szafce obok łóżka.

– Przyszło mi do głowy, że miło będzie napić się czegoś razem, tak jak dawniej. Za przyszłość. I pomyśleć, kiedy mógłbyś wrócić ze mną do domu. Co ty na to?

Nie czekając na jego odpowiedź, otworzyła butelkę sherry i napełniła kieliszki.

– Kocham cię, Kevinie. Zawsze będę cię kochać – powiedziała, wręczając mu jeden.

Kevin popatrzył na kieliszek lekko oszołomiony, po czym odchylił głowę i pochłonął zawartość jednym głośnym haustem. Na jego twarzy odbił się wyraz szoku, gdy alkohol swobodną falą spłynął mu do gardła i, zanim Carla zdążyła choć umoczyć usta, trunek wystrzelił z powrotem, tryskając na

ubranie kobiety wraz z wybuchem gwałtownego kaszlu.

– Kevin! – zawołała, wycierając brunatne, lepkie plamy.

Kevin krztusił się dalej, aż posiniał na twarzy. Z trudem wstał z fotela i zrobił dwa chwiejne kroki.

Carla skoczyła klepnąć go w plecy, gdy kaszel przerodził się w słabe, chrapliwe rżenie.

Spanikowana, wcisnęła guzik alarmowy, po czym wybiegła na korytarz.

– Pomocy! Niech ktoś szybko przyjdzie! Mój mąż się zadławił!

Kiedy dwie pielęgniarki z wielką butlą tlenu wpadły do pokoju, Kevin leżał bezwładnie na podłodze. Kobiety uklękły przy nim, odchyliły mu głowę do tyłu i siłą rozwarły usta, szukając przyczyny niedrożności.

– My tylko piliśmy – wymamrotała Carla, wskazując na butelkę.

– Nie zakrztusił się przy jedzeniu?

Carla zaprzeczyła ruchem głowy.

Pielęgniarka założyła maskę na sine usta Kevina i przewróciła go na bok.

– Powtarzam, pani Reid, takie zachowanie jest nie do przyjęcia.

Carla siedziała na wprost szerokiego biurka z mahoniu w gabinecie dyrektorki ośrodka. Tracy Lomax, papuzia kobieta o blond włosach upiętych w ciasny kok, tkwiła po drugiej stronie, wychylając się zza zbyt wielkiego bukietu sztucznych magnolii.

– Regulamin ośrodka nie został wprowadzony bez powodu. W pierwszej kolejności odpowiadamy za bezpieczeństwo naszych pacjentów, z których wszyscy, jak pani wie, cierpią na mniejsze lub większe uszkodzenia mózgu. Przy wahaniach nastrojów i zaburzonej percepcji alkohol jest bezwzględnie

zakazany!

– Przepraszam. Ja chciałam tylko... – Carla urwała.

Tracy zdobyła się na pojednawczy uśmiech.

– Na szczęście tym razem nie stało się nic groźnego, ale lepiej dać teraz Kevinowi trochę odpoczynku. Miał dość wrażeń jak na jeden dzień. Później zbada go lekarz.

– Myśli pani... – Carla nachyliła się do przodu. – Myśli pani, że Kevin kiedyś będzie mógł wrócić ze mną do domu?

Dyrektorka zdjęła okulary i utkwiała w niej ciężki wzrok.

– Pani Reid... – powiedziała wolno. – Obawiam się, że nie podoła pani temu sama. Na pewno nie bez kompleksowego wsparcia, co na dłuższą metę mogłoby być bardzo kosztowne. Ubezpieczenie nie pokryje nawet połowy. – Zamilkła na chwilę, po czym dorzuciła: – Stan Kevina nie poprawia się tak, jak liczyliśmy, szczególnie po drugim wylewie.

Carla czekała na jedno słowo nadziei.

– Pod koniec miesiąca mamy zebranie zespołu z udziałem wszystkich lekarzy, fizjoterapeutów i rehabilitantów. Mogę poruszyć ten temat. Moim zdaniem nie poradzi sobie pani sama. Jego stan naprawdę się pogorszył. Osobiście wątpię, czy Kevin kiedykolwiek będzie mógł samodzielnie funkcjonować.

Carla skinęła mechanicznie głową. Wstała i, mamrocząc przeprosiny, wycofała się z gabinetu.

– Mam obowiązek zgłosić dzisiejszy incydent – zawołała Tracy w ślad za nią.

– Rozumiem.

Powlokła się korytarzem, mijając otwarte drzwi do pokoi innych rezydentów, a za nimi różne odsłony złamanego życia.

Wracając, nie widziała drogi przed sobą, pogrążona w gmatwaninie niespokojnych myśli. Dopiero gdy skręciła w dojazdówkę do osiedla Wierzbowy Gaj, spostrzegła, że zmierzała na farmę, a nie do swojego mieszkania.

Nie chcąc wracać na ruchliwą autostradę, zapuściła się brukowaną uliczką wzdłuż rzędów daktylowców między nowo wydzielone kwatery o murowanych ogrodzeniach. Dotarła do ronda, gdzie kiedyś stała ich stodoła. W roztargnieniu nie zauważyła, że samochód staczał się w bok po trawiastej skarpie i w ostatniej chwili odbiła kierownicę. Koła zachręściły na luźnej zwirowej nawierzchni i auto przeleciało przez drogę, zatrzymując się gwałtownie po przeciwnej stronie.

Carla wysiadła roztrzęsiona i oparła się o ciepłą, zakurzoną maskę, aby dojść do siebie. Powiodła dookoła zagubionym wzrokiem i straciła oddech. Wszystko w znajomej układance jej życia było odmienione i poprzesztawiane.

Utwardzone ulice. Pościnane drzewa. Wyburzone płoty. Nowe domy wyrosłe na świeżo przekopanej ziemi. Wyłożone kostką piaskowca alejki po obu stronach zapory na zalewie i wielki, ozdobny głaz wystający z wody jak sztuczny wieloryb w akwarium Kelly Tarlton's. Zielone ławki rozsiane nad brzegami zbiornika na kształt parku. Wielka, czerwona tablica ostrzegawcza zakazująca dzieciom przebywać bez opieki tam, gdzie Jack włóczył się beztrąsko przez całe popołudnia, łapiąc węgorze i gupiki z dala od oka dorosłych.

Przemierzyła ulicę w kierunku jednego z nowych budynków – bryłowatej willi w hiszpańskim stylu, całej w kafelkach, arkadach i wieżyczkach. Wyobraziła sobie, jak musiał zachwalać ją pośrednik: „Co to za przyjemność

usiąść ze szklaneczką sangrii na tarasie i rozkoszować się widokiem zachodzącego słońca nad malowniczymi wzgórzami przy dźwiękach kastanietów!”.

Przy domu zachowała się jedna wierzba. Po innych zostały tylko pniaki sterczące wokół jak ucięte palce. Budynek najwyraźniej był pusty, nie licząc robotnika instalującego odpływy.

Carla uniosła spódnicę i przelazła nad ogrodzeniem, brudząc sobie uda świeżo kładzioną papą. Okrążyła posiadłość i dotarła do podnóża kopca po drugiej stronie. Przedzierając się przez wybujałe krzewy kolcolistu i dzikich jeżyn kłusujące ją wściekle po kostkach, ruszyła pod górę, choć w rozleniwionych miejskim życiem nogach szybko odezwało się zmęczenie.

Już zdążyła zapomnieć, jak latem hałasowały tu cykady, teraz zagłuszone przez warkot koparki i miarowe stukanie pojedynczego młota.

Serce zabiło jej w piersi mocniej, ale nie z wysiłku podczas wspinaczki. Wiedziała, że powinna zawrócić i zachować w pamięci dawny obraz drogiej okolicy, lecz jej nogi parły wciąż naprzód, wynosząc ją coraz wyżej. Musiała zobaczyć to na własne oczy. Musiała.

Choć spodziewała się, co zobaczy po wejściu na szczyt wzgórza, to jednak doznała szoku i padła z rozpaczą na ziemię.

– Nienawidzę cię! – zawyła, kuląc się w suchej, kłującej trawie. – Nienawidzę!

Gospodarstwo zniknęło. Wiedziała, że tak będzie. W jego miejscu piętrzył się stos gruzów na prostokątnej powierzchni wytyczonej pomarańczową taśmą odblaskową z napisem „Wstęp wzbroniony”.

To było jedyne w miarę dogodne miejsce w całym mieszkaniu. Teraz nie montowano już wysokich belek pod sufitem jak w starym budownictwie. Biegący od nadgryzionego rdzą lustra do przeciwległej ściany pręt zasadniczo stanowił element konstrukcyjny, służąc jednocześnie za poręczną suszarkę na pranie. Nada się.

Carla zsunęła buty i stanęła w rozkroku na śliskich brzegach wanny.

Sznur znalazła w piwniczce należącej do jej mieszkania. Był jedną z niewielu rzeczy, które zabrała z farmy. Kevin zawsze powtarzał, że grunt to mieć w domu kawał porządnej liny. „Przydaje się do wszystkiego, od holowania maszyn po wyciąganie martwych krów z rowu”.

Węzeł przesuwiał się gładko, stopniowo zacieśniając pętlę, aż ostre włoski przędzy połaskotały ją w szyję. Czegoś się jednak nauczyła przez te lata w harcerstwie – wiązanie dobrze trzymało.

Z miejsca na wannie widać było fragment krajobrazu za otwartym oknem. Różowawe światło wieczoru z wolna topniało w turkusowym zmierzchu. Widok zapierał dech w piersiach. Wiedziała, że to tylko kolejna pułapka. Bóg rzucił na niebo ten cudowny spektakl, żeby spróbować uwieść ją pięknem tego świata. Na to już jednak było za późno.

W kącie okiennej wnęki tkwił nieruchomo pająk – dwie brązowe, podłużne kulki w jasne plamy z długimi odnóżami rozcapierzonymi jak promienie słońca na dziecięcym obrazku. Jego postać była tak wyraźna, że Carla miała wrażenie, jakby zdjęto jej z oczu woalkę – dzięki temu po raz pierwszy widziała wszystko dokładnie. Być może w pewnym stopniu przyczyniła się do tego wypita wcześniej whisky, choć Carla uważała, żeby nie przesadzić i nalała sobie tylko tyle, ile było trzeba, aby uciszyć głosy w głowie i nie stracić kontroli.

Sznur coraz bardziej wżynał jej się w szyję. Przełknęła ślinę w jego ciasnym uścisku, zamknęła oczy i pozwoliła stopom zsunąć się do środka po gładkich ściankach wanny, aż straciła kontakt z twardą, zimną emalią.



BEN

– Lio Va’a do sali widzeń. Lio Va’a do sali widzeń. – Metaliczny głos megafonu poniósł się nad dziedzińcem.

Grali akurat w „crash” – kombinację rugby i polowania buldogów. Lio otarł pot z czoła, splunął i ruszył do drzwi.

– Farciarz. Laska ma chćicę – zapiał jeden z mężczyzn.

– To już trzecie widzenie w tym tygodniu – dodał inny.

Odkąd Ben trafił na Kopiec, tylko dwa razy usłyszał podobne wezwanie – raz na widzenie z adwokatem, a drugi raz gdy Simi i George przyjechali z wizytą.

Powiedzieli, że po tym, jak Ben i Tate wpadli, DOA przestało istnieć. Matt zamierzał wstąpić do nowego gangu, ale reszta włączyła się bez celu. Powiedzieli też, że Ben miał poważanie na dzielni i uchodził za bohatera. Kiedy wyjdzie, bez problemu znajdzie miejsce w każdej bandzie.

Dobrze było zobaczyć dawnych kumpli, ale też trochę dziwnie. Z niezrozumiałych przyczyn Ben poczuł się przy nich bardziej samotny niż zwykle. I chociaż wszyscy trzej udawali, że dalej trzymają się razem, wiedział, że po godzinie oni wyjdą za metalową bramę, a on zostanie w środku. Poza tym wydali mu się jacyś niepoważni, jakby ciągle tkwili w

przedszkolu, kiedy on trafił już do prawdziwej szkoły.

Przynajmniej przynieśli mu papierosy i kartę telefoniczną, dzięki czemu mógł zadzwonić do mamy. Obiecała, że do niego przyjedzie, tak samo jak sto razy wcześniej. Powiedziała, że czeka, aż Debs będzie w okolicy, żeby się z nią zabrać. Na wszelki wypadek więc Ben co tydzień zgłaszał cztery wizyty, czyli dopuszczalne maksimum. Wszystkie widzenia trzeba było rezerwować od środka. Spotkanie, którego wcześniej nie zapisano w rejestrze, nie dochodziło do skutku.

Kiedy któregoś dnia mama się wreszcie zebrała, przyjechała bez zapowiedzi i nie została wpuszczona. Ben rzucił się wtedy z pięściami na klawisza i dostał pięć dni w izolatce. To był prawdziwy koszmar – pięć dni w lodowatej komórce, jedynie z karimatą na podłodze i cuchnącym wiadrzem w narożniku. Jedna godzina dziennie w pojedynkę na spacerunku, pozostałe dwadzieścia trzy w celi. Dodatkowo z powodu napaści na strażnika zmieniono mu status na IDU-1, co oznaczało, że przez następne trzy miesiące wszelkie widzenia będzie odbywał przez szybę. Tym akurat mało się przejmował. Nie czekał na niego tłum gości.

Powrót na blok wschodni był lepszy nawet od skręta, tym bardziej że w międzyczasie Jocko przenieśli do Paremoremo, klatki o zaostrowym rygorze zaraz pod Albany, więc Ben miał teraz całą celę dla siebie.

Jedyny minus wyprowadzki dawnego współlokatora był taki, że razem z nim zniknął telewizor. Przy Jocko odbiornik chodził w dzień i w nocy, nawet gdy nie było sygnału i na ekranie widniała tylko nieruchoma plansza. Ben zdążył jednak przywyknąć do ustawicznego hałasu, który zagłuszał demony w jego głowie i teraz długie godziny bezczynności doprowadzały go niemal do szaleństwa. Pokręcone myśli kiełkowały w nim jak nasiona w ciemnej spiżarni, rozsadzając mu skronie jazgotem pytań i głosów. Często nie potrafił

nawet określić, czego dotyczyły – nie był mocny w słowach – ale robił się od nich zły i wylęczniony.

– Toroa do sali widzeń. Toroa do sali widzeń.

Chyba śnił. Ben podniósł wzrok na mostek. Wartę trzymała Shirley.

– Wygłupia się pani?

Uśmiechnęła się do niego z góry.

– Zgłosiłeś wizytę, Ben.

– Wiem, ale zapisałem je na chybił trafił, gdyby ktoś akurat przyjechał.

– Przestań się ze mną wyklócać i rusz dupę do bramki.

Benowi zabiło serce. Nie miał pojęcia, o co mogło chodzić, lecz wszystko było lepsze niż kolejny rozlazły dzień powolnego gnicia.

Shirley zeszła z mostka i ruszyła przed nim. Lubił ją. Była jedynym fajnym klawiszem w załodze. Pamiętała nawet jego imię i za każdym razem, kiedy go widziała, przystawała, żeby pogawędzić. „Jak się miewasz, Ben? Dajesz radę?” albo „Wszystko w porządku, Ben?”.

Przed salą widzeń musiał się rozebrać i oddać ubranie strażnikowi, który zatrzasnął je w numerowanej szafce, a w zamian wręczył mu pomarańczowy, jednoczęściowy drelich zapinany z tyłu. Ben znał już procedurę ze wcześniejszych wizyt. Założył kombinezon i odwrócił się, aby zaciągnięto mu zamek na plecach. Suwak był następnie zabezpieczany plastikowym ściągaczem, tak samo jak mankiety, więc niczego nie dało się przemycić w rękawach ani na brzuchu. Nie żeby była na to jakakolwiek szansa, zważywszy że od rozmówcy miała oddzielać go szyba dwucentymetrowej grubości.

Usiadł i czekał, obserwując powolne ruchy dłuższej wskazówki na białej,

popękanej tarczy zegara. Znał cyfry, ale nie potrafił odczytać godziny na tym archaicznym przyrządzie. Cały ten zakład był mocno przestarzały. Na łuku nad bramą wjazdową wyryto datę budowy – tysiąc osiemset coś tam. Krążyły plotki, że przed oficjalnym zniesieniem kary śmierci dokonano tu kilku egzekucji przez powieszenie.

– Ktoś tu przyjdzie czy nie? – zapytał, nie mogąc znieść nerwowego napięcia.

Klawisz nawet nie podniósł oczu znad papierów. Po jakimś czasie, który dłużył się w nieskończoność, jego krótkofalówka zatrzeszczała, informując, że wszystko gotowe. Wówczas strażnik dźwignął się niespiesznie i przebiegł rejestr oczami.

– Jesteś IDU-1 – stwierdził oczywistość.

Ben już się przyzwyczył do słuchania w kółko tych samych komunikatów. W więzieniu wszystko opierało się na protokole. Terminy, zakazy, procedury, instrukcje były wygłaszane, powtarzane, odhaczane, sprawdzane raz i drugi, a następnie potwierdzane i znów potwierdzane. Potrafiło to wpędzić człowieka w paranoję, ale dawało też pewne poczucie bezpieczeństwa. Jak tarcza chroniąca przed tym, co mogło zdarzyć się w środku.

Strażnik poprowadził go wąskim korytarzem do ciasnej kabiny z oknem na ścianie w głębi. Za szkłem majaczył zarys jakiejś postaci, ale Ben nie mógł jej rozpoznać – gość siedział pod światło, a widok przesłaniały Benowi tłuste ślady palców na szybie.

Postąpił naprzód, a sylwetka nagle stała się znajoma. Benowi serce skoczyło i natychmiast zamarło.

– Ożeż!

– Usiądź i mów do słuchawki – polecił strażnik za jego plecami.

Ben wymacał krzesło i osunął się na nie wolno, nie mogąc oderwać oczu od twarzy po drugiej stronie. Jej lewa część była rozdęta jak przegniły owoc chlebowca. Jedno oko tonęło w ciemnym, purpurowym sińcu. Połówki rozciętej wargi zwisały osobno na boki. Długie, wiotkie włosy zaczesane na czubek głowy próbowały ukryć świeżo wydarty placek gołej skóry. Kiedy mama Bena uśmiechnęła się z wysiłkiem, mężczyzna zobaczył, że brakowało jej przednich zębów.

Przycisnął palce do szyby, niemal zadowolony, że coś ich od siebie odgradzało. Wyglądała tak słabo i krucho, jakby się mogła rozsypać pod wpływem dotknięcia.

Przyłożyła dłoń z drugiej strony. Kostki miała poranione, a dwa palce zlepione grubym zwojem różowego plastra.

Zastygli tak na chwilę, matka i syn, złączeni rękami... przez szybę. Benowi przypomniało się, jak w dzieciństwie porównywał z nią swoje dłonie, a ona śmiała się i mówiła, że tak szybko rośnie i że niedługo już będzie mężczyzną.

Sięgnął po słuchawkę z tym samym poczuciem bezsilności, z jakim patrzył na facetów mamy, kiedy się nad nią pastwili. Tym razem to nie strach, ale tafla szyby stała mu na przeszkodzie.

– On ci to zrobił, mamó? – odezwał się w końcu głosem zachrypniętym z wściekłości, porażony tym, co zobaczył. Ryan przeszedł samego siebie.

W jej pożółkłych oczach zaszklily się łzy.

– Za długo czekałam na frytki – powiedziała. Wydęła dolną wargę. – Szybkie jedzenie nie jest już dość szybkie.

Parsknęła chrapliwym śmiechem, który przerodził się w kaszel.

– Ale to nic takiego. Kilka zwykłych zadrapań. Nie martw się o swoją mamuszkę, okej? Jest twarda, wiele wytrzyma. – Poprawiła się na krześle jak stara kobieta. – Przyszłam po coś innego. Chciałam dać ci znać, co zamierzam zrobić.

Ben zamknął oczy.

– Ale najpierw powiedz, jak sobie radzisz, synu.

Pokręcił głową bez słowa.

– Marnie wyglądasz. Słabo was tu karmią? – Zaczęła szperać w torebce. – Przywiozłam ci kilka cukierków.

Ben poderwał się i walnął pięścią w stół.

– Zabiję tego gnoja! Rozpierzolę go na kawałki!

– Nie nakręcaj się, Benjaminie. Mam plan. Usiądź. Posłuchaj mnie. Nie chcę, żebyś był taki jak on. Nie możesz tłuc strażników, kiedy tylko coś ci się nie podoba. Powiedzieli, że to dlatego trzymają cię za szybą.

Ben nie mógł już jej słuchać. Opuścił słuchawkę. Głowę rozsadzały mu ogień, złość i ból. Odwrócił się ku bocznej ścianie i przebił w niej pięścią dziurę na wylot do sąsiedniej kabiny.

Klawisz wpadł do środka.

– Koniec wizyty, Toroa.

– Zajebię sukinsyna! – wrzasnął, wyrywając się jednemu strażnikowi i odpychając drugiego.

– Ben, nie! – krzyknęła mama przez porzuconą słuchawkę.

Do pokoju wpadło jeszcze dwóch klawiszy. Ben szarpał się i kopał,

drapał i gryzł. A potem szyję zakleszczył mu żelazny uścisk i rozpaczliwe krzyki jego matki przeobraziły się we fragment niemego filmu, którego nigdy nie zobaczył.

Kilka dni później dowiedział się, że znaleźli przy niej ukrytą w bucie broszurę schroniska dla kobiet, a w torebce pieniądze, które od wielu miesięcy odkładała pod pokrywą spłuczki klozetowej. Nigdy nie dotarła do schroniska. Ryan dopadł ją, gdy po wizycie u Bena jechała tam razem z Debs i dziećmi ściśniętymi z tyłu. Zakatował ją na ich oczach. Lily, Cody, Anika, nawet Brooke i Dina, wszyscy na to patrzyli.

Lewis, jeden z weteranów wschodniego bloku, przeczytał mu artykuł w gazecie, uzupełniając szczegóły pominięte w wersji przekazanej Benowi przez władze. Podobno została pchnięta nożem ponad dziesięć razy, a Debs, która próbowała ją ratować, wylądowała w szpitalu z przebitym płucem.

Ben nie wziął udziału w *tangi* swojej matki. Jego prośba została odrzucona. Uznano, że stanowił zbyt wielkie zagrożenie.

W GŁĘBI

Tangihanga twojej matki trwały pięć dni, Benjaminie. Mimo że porzuciła swoich bliskich wiele lat temu, jej whakapapa nie odwróciła się od niej. Rodzina przyjechała i zabrała jej ciało do domu. Na marae jej sędziwa matka, ciotki i siostry obmyły poranione, zmaltretowane ciało i przybrały je na ostatnią podróż. Miriama wyglądała przepięknie, spowita płaszczem z delikatnych piór, w otoczeniu swojej whakapapa.

Wielu przyszło okazać im wsparcie w żałobie. Przybyli, aby o niej porozmawiać, oddać cześć jej i jej przodkom oraz złączyć nosy z jej matką na znak głębokiego szacunku. Gdybyś tam był, unosząca się wokół aroha na pewno znalazłaby drogę do twojego serca. Zobaczyłbyś coś, czego nie znasz, chłopcze – obrządek, tradycję, ciągłość.

Tego dnia twoją matkę pożegnano i powitano. Taka właśnie jest natura śmierci – koniec, a zarazem początek. Ka kite ano. Here mai, Miriama.

Ciało twojej matki zostało złożone w ziemi, lecz jej dusza stała się pierwiastkiem wszechświata.



CARLA

Głosy.

– Skierowanie się przedawniło?

– Tak.

– Powiadomiłaś rodzinę?

– Jeszcze nie. Mąż został zaatakowany kilka miesięcy temu i cierpi na zaburzenia umysłowe. Pamiętasz napad na farmę pod Albany?

– Ten, gdzie zabili syna?

– Ten.

– Jezu. Nic dziwnego. Biedna kobieta.

– Oddziałowa próbuje skontaktować się z bratem męża.

– Mamy już pomiary stężenia alkoholu i innych substancji?

Carla uniosła powieki. Przed oczami zawirowały jej czarne, mgliste plamy na tle jaskrawego światła. Zamknęła je znowu. Ogniste wężyki iskrzyły jeszcze przez chwilę, aż rozplynęły się w mroku.

– Chyba zaczyna się budzić.

– Utrzymuj stałą dawkę. Wróć za chwilę. Nie zapomnij zmierzyć

digoksyny panu Levy'emu.

Rozwlekłe samogłoski i wibrujące „r”. Obcy akcent. Potem metalowy zgrzyt żabek wzdłuż karnisza przy zaciągnięciu zasłon.

I nagle wszystko wróciło! Sznur. Wanna. A więc nie umarła.

Carla uchyliła nieznacznie jedno oko. Przez szparę wślizgnęła się strużka światła, tym razem złagodzona przez zielony cień. Zielone zasłony. Łóżko.

Szerzej rozwarła oko. U jej nóg stał mężczyzna w białym kitlu.

Uśmiech.

– Nie udało się.

– Co? – Jej głos brzmiał dziwnie obco. Jakby przeszczepiony od kogoś innego.

– Święty Piotr jeszcze nie był na panią gotowy.

Po policzkach spłynęły jej łzy, chociaż bez emocji. Nie czuła zupełnie nic.

Wyciągnięta ręka.

– Jestem Nikola Jovovich.

Carla nie drgnęła. Ręka spoczęła na jej ciele. Była ciepła.

– Lekarz rezydent, North Shore Hospital.

Oczywiście! Szpitalna zieleń.

– Przywieziono panią wczoraj wieczorem po reanimacji przez ratowników pogotowia.

Łzy płynęły nadal w miarę budzącego się wzruszenia.

– Na oddziale psychiatrycznym nie było już wolnych miejsc, więc leży

pani na ogólnym.

Carla rozwarła oboje oczu. Mężczyzna wstał i zaciągnął drobną szparę w zasłonach, zamykając ich w zielonym kokonie.

– Jak się pani czuje?

Odpowiedź oznaczałaby potwierdzenie, że Carla żyła.

– Mogę panią osłuchać? – zapytał, wyciągając z kieszeni fartucha tęczowy stetoskop. – Proszę wybaczyć – powiedział z uśmiechem. – Właśnie skończyłem obchód na pediatrii.

Miał śniadą cerę i brunatne oczy. Od ust do nosa biegła cienka rysa, spłaszczając łuk Kupidyna. Ślad po zajęczej wardze. Prosty, egipski nos odstawał mu wyraźnie od twarzy. Pod fartuchem miał niebieską koszulę i granatowy krawat w cienkie, srebrne prążki. W rozcięciu kołnierzyka kłębiły się ciemne, kręcone włosy, kontrastując z drobnymi kropeczkami ogolonego zarostu powyżej.

Carla usiadła i nachyliła się, aby mógł przytknąć jej zimny krążek do pleców. Pachniał szpitalem i eukaliptusem.

– Proszę nabrać powietrza przez usta... i wypuścić. Dobrze. Jeszcze raz, nabrać... i wypuścić.

Czy on ją uczył oddychać?

– Zasinienie na szyi jest dosyć wyraźne. Nastąpił też powierzchniowy wylew krwi do oczu – powiedział, świecąc jej w twarz latarką. – Proszę się nie przerazić, gdy zobaczy się pani w lustrze. Białka wyglądają nie najlepiej, ale to nic poważnego, krew z czasem się wchłonie.

Rozległo się nagłe brzęczenie i na jego pagerze zamrugało czerwone światełko. Lekarz przeczytał wiadomość.

– Przepraszam. Jestem potrzebny na górze. Zajrzę do pani później. – Okrył jej stopy kołdrą. – Za parę godzin przyjdzie też psychiatra. Proszę spróbować się przespać. Niestety bywa tu trochę głośno.

W chwili, gdy zamykał za sobą zasłonę, drugie skrzydło rozwarło się gwałtownie, odsunięte przez niskiego, krągłego mężczyznę z czapą siwych włosów.

– Znowu kolejka? Zaraz mi pęcherz rozsadzi! – zawołał z brytyjskim akcentem, szarpiąc za troczki spodni od piżamy.

– Sekundę, panie Parker. Nie tutaj! To nie jest toaleta – rzekł Jovovich, odciągając pacjenta za ramiona, ale było za późno. Żółty strumień trysnął lekarzowi na buty oraz na brzeg łóżka Carli.

Jovovich wcisnął klawisz na ścianie nad jej głową.

– Nadal podtrzymuję, że to nie jest oddział psychiatryczny – powiedział ze śmiechem. – Witamy w naszym zwariowanym świecie North Shore Hospital.

Pojawił się salowy i podciągnął panu Parkerowi spodnie.

– Archie, to nie łazienka. Chodź ze mną. Pokażę ci drogę. A następnym razem nie zapomnij zadzwonić, kiedy będziesz potrzebował siusiu.

– Dobrze, mniejsza z tym – zbył go starszy. – Powiedz lepiej, gdzie moje brazylijskie orzeszki.

Pielęgniarka przewróciła oczami, a Carla parsknęła mimo woli.

– Dobrze się pani śmiać – zaburczał Jovovich, rzucając biały ręcznik w kałużę obok łóżka i wycierając buty garścią papierowych serwetek.

– Przepraszam. Nie chciałam...

– Czego my tu nie robimy, żeby rozweselić naszych pacjentów! – westchnął żartobliwie. – A pan Parker wcale nie zwariował, tylko się nie kontroluje. Ma zaburzenia poziomu elektrolitów. Na co dzień zachowuje w pełni przytomny umysł.

Lekarz zrobił krok w stronę wyjścia, lecz obejrzał się jeszcze przez ramię.

– Byłbym zapomniał. Na korytarzu czeka jakaś kobieta. Chyba pani sąsiadka. To ona panią znalazła i wezwała pogotowie. Ma pani ochotę ją zobaczyć?

Uśmiech Carli przygasł. Rzeczywistość znów ją dopadała. Potrząsnęła głową. To za bardzo bolało.

Przez całe rano dryfowała w stanie otępienia, raz po raz zapadając w lekką drzemkę, bo szpitalny gwar nie pozwalał na głęboki sen. Nie przeszkadzał jej zamęt dookoła – pomagał trzymać na dystans czarne myśli. Miała wrażenie, że ze światem łączy ją jedynie cienka nić, a ona unosi się nad swoim ciałem jak balon z helem.

Po obiedzie na oddział wkroczyła przysadzista kobieta.

– Jestem Mona, dyżurny psychiatra – przedstawiła się głosem tak ciężkim jak jej masywne trzewiki.

Twarz lekarki okalały prosto przycięte, farbowane na rudo włosy, a na każdym jej palcu, nawet w zagięciu kciuka, połyskiwała gruba, srebrna obrączka.

Po krótkim wstępie Mona zadała Carli szereg pytań z formularza zdrowia psychicznego, odczekując chwilę po każdej odpowiedzi, jak gdyby liczyła na ciąg dalszy.

A więc to jest psychoanaliza, pomyślała Carla.

– Zaczniemy od leków na ustabilizowanie mózgu – wyjaśniła Mona, notując na karcie Carli długą listę antydepresantów. – Później rozpiszemy terapię.

Carla poczuła znużenie na myśl o kolejnych rozmowach, poradach i ekspertyzach.

– Specjalista będzie przychodził do pani do domu. Prześlemy także grafik wizyt ambulatoryjnych.

Wreszcie Mona wyszła, poskrzypując butami o gładkie linoleum korytarza.

Po południu wpadli Geoffrey i Mildred z bukietem białych goździków i paczką prażonych migdałów w czekoladzie. Carla nie znosiła goździków.

Wizyta przebiegła w niezręcznej atmosferze. Mildred przez dziesięć minut szukała wazonu na kwiaty, a jej mąż na wszystkie sposoby próbował ominąć fakt, że Carla leży w szpitalu z przekrwionymi oczami i siną obręczą na szyi. Ciągłe pokasływał i powtarzał w kółko „no widzisz” i „bardzo dobrze”, podczas gdy Mildred trajkotała o niczym, jakby spotkali się przy herbacie w Cornwall Parku.

– Geoff, na nas już pora – powiedziała po pewnym czasie, wybałuszając teatralnie oczy na widok zegarka.

– Tak, tak, musimy uciekać. Jesteśmy umówieni – rzekł Geoff przepraszająco i nachylił się, aby musnąć twarz Carli policzkiem.

– Trzymaj się, dziewczyno! Dasz radę, tak? Przyjedź pomieszkać trochę u nas, odpocząć od tego wszystkiego.

Pani Doering, dziewięćdziesięcioletnia dama z sąsiedniego łóżka była zachwycona goździkami. Miała rozedmnę płuc i syn nie pozwalał jej palić.

Mrugnęła do Carli w drodze „do toalety” po raz szósty tego dnia.

O piątej, przy wtórze metalicznego brzęku stołówkowego sprzętu, rozwieszono kolację. Okazało się, że napis „dieta płynna” umieszczony nad łóżkiem Carli oznaczał mus jabłkowy i jogurt zamiast mięsno-grzybowej zapiekanki.

– A niech to! Przegapiłem kolację – zachnął się doktor Jovovich, który wszedł na salę.

– Co pan powie na jogurt z owoców leśnych? – zaoferowała Carla, unosząc opróżniony do połowy kubeczek. Sama była zdziwiona swoim lekkim tonem. Nie minęła jeszcze nawet doba, odkąd próbowała się zabić, a ona już przyjmowała zwykłe, życiowe zachowania.

– Najlepiej zrobiłby pani rosół mojej babci – stwierdził Jovovich, spoglądając na zawartość jej tacy. – Słowo daję, lekarstwo dla ciała i duszy.

Carla uśmiechnęła się w odpowiedzi.

– No więc – powiedział lekarz i przysiadł na skraju jej łóżka – ciało możemy naprawić, ale co będzie z duszą?

Miał w sobie coś wyjątkowo ujmującego, jakieś życzliwe ciepło.

– Pani Reid, byłem u pani w mieszkaniu – rzekł z nagłą powagą.

Carla popatrzyła na niego, na jego wgniecioną wargę, przez którą od małego musiał uchodzić za odmieńca.

– Sześć lat temu w Kosowie zabito moją żonę i córkę, kiedy byłem w pracy. Karetka przywiozła je do szpitala, w którym miałem dyżur. Nie zdołałem ich uratować. Jednego dnia byłem głową rodziny, a następnego stałem się pojedynczą wyspą pośrodku rozbujanego oceanu, do której nikt nie mógł dotrzeć. Przypuszczam, że zna pani to uczucie.

Carla spojrzała w jego brązowe oczy.

– Kiedy każda minuta jest pusta, wlecze się w nieskończoność i do niczego nie zmierza – ciągnął.

Poczuła mrowienie na twarzy.

– Jak się w tym odnaleźć? Jak dalej trwać, gdy wszystko nagle traci sens? Jak przeżyć ten ból, który rozdziera człowieka tak głęboko, że w żadnym języku nie ma słów, aby to opisać? Próbowali już to robić poeci, pisarze, artyści, nawet lekarze. Ale nic tego nie oddaje, prawda?

Przytaknęła głową. Ten człowiek ją rozumiał.

– Mogę tylko powiedzieć, że któregoś ranka obudzi się pani, a słońce będzie odrobinę jaśniejsze niż poprzedniego dnia. I usłyszy pani dawno zapomniane dźwięki, takie jak śpiew ptaków na drzewach czy brzęczenie pszczoł wokół ula. Poczujecie pani zapach pieczonego chleba i zachce się pani jeść. Rozbawią panią małe, codzienne głupotki, a śmiech zrodzi się tutaj. – Przyłożył sobie rękę do serca. – Nie tu – dorzucił, dotykając ust. – Kiedyś w pani pamięci zatrą się obrazy okaleczonych ciał, a zastąpią je wspomnienia uśmiechniętych twarzy i szczęśliwych oczu. I poczuje pani, że dalej coś jeszcze jest.



BEN

– Co żeś znowu odwalił? – krzyknął ktoś.

– To na pewno pomyłka. Toroa jest przecież niewinny!

Ben pokazał im środkowy palec i ruszył do wyjścia, gdzie czekała na niego Shirley. Wystawił ręce przez kratę po kajdanki i zrobił krok do tyłu, by mogła otworzyć drzwi.

Kiedy szli korytarzem, słychać było jedynie rytmiczne postukiwanie ich butów o beton, niczym bas i perkusja. Odkąd stracił mamę, nic go już nie obchodziło, poza tym jak skołować kolejnego jointa albo napój, który zamulał mu umysł i rozrzedzał ból. Wszystko, byle tylko nic nie czuć.

Minęli korytarz wiodący na salę widzeń. Dokąd prowadziła go Shirley?

Strażniczka jakby czytała w jego myślach. Ben mógłby się założyć, że była telepatką. Potrafiła bezbłędnie odgadnąć, co mu chodzi po głowie.

– Wezwał cię pan Ngata. Nie wiem, w jakiej sprawie. Zaraz sam się przekonasz.

Wyszli za bramę główną. Ben już drugi raz znalazł się na zewnątrz, w drodze do budynku administracyjnego. Za pierwszym razem naczelnik powiadomił go o śmierci mamy.

Twardy supeł w żołądku Bena zacisnął się jeszcze bardziej. Może Ryan się bachnął? To byłaby dobra wiadomość. Z tego, co Ben wiedział, Ryan ciągle przebywał w areszcie tymczasowym niedaleko, na końcu ulicy. Gdyby się kiedyś zdarzyło, że trafiłby na Kopiec, Ben sam by go sprzątnął.

W budynku było ciepło i jasno. Powietrze pachniało kawą. Kawa! I żadnych wrzasków. Zza drzwi dolatywał tylko cichy pomruk rozmów, jednostajny jak szum silnika w holdenie. Benowi zdawało się, że został wycięty ze starej, mętnej i surowej czarno-białej fotografii, i wklejony w łagodne tło współczesnego świata kolorów.

Shirley zapukała w panelowe drzwi biura naczelnika.

– Proszę – dobiegło z głębi.

Pan Ngata siedział przy biurku. Za jego plecami wisiał obraz, który Ben pamiętał z poprzedniej wizyty – namalowany przez jednego z więźniów pejzaż porośniętej ostrą trawą plaży, morza i nieba. Ostatnim razem błękit tego morza poraził go w tym samym czasie, co słowa naczelnika: „Przykro mi, Ben. Twoja mama nie żyje”.

Teraz Ben nie czekał, aż pan Ngata coś powie. Z miejsca zapatrzył się w szafirową toń, chłonąc kolor przed doznaniem kolejnego szoku.

Malują z mamą murek przed domem – niską barykadę z kratówek i pokruszonych słupków. Razem z Lily urządzali na niej zawody w utrzymywaniu równowagi. Mama zawsze marzyła o białym parkanie od ulicy. Postanowili więc odmalować popękaną ściankę.

– *Po cholere malujesz ten syf? – piekli się któryś facet (nie Ryan, być może ojciec Bena). – Nie spodziewaj się podziękowań od urzędu miasta!*

Ben wychodzi z domu w żółtym, pasiastym szaliku, który mama dziergała przez całą zimę. Gdy dociera do końca ulicy, ściąga go i ukrywa za drzewem.

Po szkole szalika nie ma. W domu dostaje lanie kablem od czajnika. Mama zapowiada, że nigdy więcej nic dla niego nie zrobi. Dotrzymuje słowa.

Idą na basen. Zakradają się przez ogrodzenie od tyłu, bo mama nie ma pieniędzy na bilety. Uczy jego i Lily pływać w brodziku dla dzieci, ale ratownik przychodzi i każe im się wynosić, bo ktoś widział, jak przechodzą przez płot. W drodze powrotnej zaśmiewają się oboje z mamy, która przedrzeźnia ratownika.

– Jak się miewasz, Ben? – We wspomnienia wdarł się głos pana Ngaty, ani za donośny, ani specjalnie cichy, a jednak skupiający uwagę.

– W porządku.

– To dobrze. Cieszę się – rzekł naczelnik i ściągnął usta w bok nerwowym tikiem. Nastąpiła długa chwila ciszy. – Ben, przejdę od razu do rzeczy. – Ngata kręcił ołówkiem w palcach. – Otrzymałem z zarządu prośbę. To dość nietypowe, ale... – Zakasłał lekko. – Pani Reid poprosiła o zgodę na spotkanie z tobą.

Przez otwarte okno dobiegał szum samochodów z wiaduktu nad Grafton Road. To okno go rozpraszało. Udawało, że wszystko jest normalnie. Otwarte okno bez krat.

– Pani Reid chce się z tobą spotkać, Ben.

– Kto?

– Dobrze wiesz kto – odparł naczelnik niecierpliwie. – Ofiara zbrodni, za którą tutaj siedzisz.

Ben poczuł zimno na całym ciele. Język zeszywniał mu w ustach. Pokój się zakołysał.

– A dlaczego nie z Tate'em? – wybełkotał. – Niech Tate się z nią spotyka.

To on ją...

Ngata potrząsnął głową.

– Przenieśli go do Christchurch.

– Nie. Nie mam jej nic do powiedzenia. Chcę się zobaczyć z moim obrońcą.

Ngata wstał i wyszedł z za biurka.

– Nie masz takiego obowiązku – rzekł łagodnie, przysiadając na skraju blatu przed Benem. Chłopak skupił wzrok na rzędki czarnych kropek na nosie naczelnika. – Ale jej lekarz napisał do szefa Departamentu Więziennictwa. – Sięgnął po teczkę Bena i przerzucał akta. – Twierdzi, że to mogłoby jej pomóc się otrząsnąć i odzyskać spokój. Na tym polega coś, co nazywamy sprawiedliwością naprawczą.

Ben pokręcił głową.

– Nie sądzisz, że jesteś jej winien chociaż tyle?

– Odsiaduję swoje – wymamrotał ze spuszczoną głową.

– Coś takiego na pewno by się spodobało komisji do spraw zwolnień warunkowych – wtrąciła Shirley stojąca przy drzwiach.

Ngata przytaknął skinieniem.

– Myślę, że to mogłoby wyjść ci na dobre pod wieloma względami, Ben – powiedział. Podniósł się i włączył wiatrak znajdujący się na metalowej szafce w narożniku. Po pokoju przemknął delikatny podmuch przypominający powiew wolności.

Ben obejrzał się przez ramię na Shirley.

– Nie ma szans, żeby mnie zwolnili w najbliższym czasie. Dopiero

zacząłem odsiadkę. – Zwrócił się znów ku Ngacie. – Nie chcę.

– Nie musisz odpowiadać od razu. Prześpij się z tym – nalegał naczelnik.
– Według mnie nadarza ci się okazja, żeby naprawić część krzywd, które wyrządziłeś. Spójrz na to jak na dobry uczynek.

Shirley odprowadziła go z powrotem na podwórze. Szli w całkowitym milczeniu. Dopiero przy przekroczeniu ostatniej z serii bramek powiedziała:

– Zobacz, gdzie jesteś, Ben. Spadłeś na samo dno. I nikt się od niego za ciebie nie odbije.

Krata zatrasnęła się z hukiem.

– Patrzcie, kto do nas wrócił – zapiał Afi. – Czyli jednak zdecydowali potrzymać cię tu jeszcze trochę.

Ben zdzielił Afię w twarz, łamiąc mu kość oczodołu. Shirley wszystko widziała i następnych czternaście dni Ben spędził na dechach.

Trzy dni to było nic. Po siedmiu zaczęło go nosić. Po dziesięciu nie panował już nad swoim umysłem. Z pomalowanych na cytrynowo ścian wyłaniały się pokraczne twarze, a we śnie gnębiły go koszmary. Najbardziej dokuczało mu jednak to, co powiedziała Shirley: „Zawiodłam się na tobie. Co by powiedziała twoja mama?”.

Przez dwa tygodnie nie mógł wyrzucić z pamięci tych słów. Shirley była dla niego nikim, jednym z wielu klawiszy, osobą bez znaczenia! Ale ten jej wyrzut nie dawał mu spokoju, prześladował i dręczył, aż do kompletnego wyczerpania.

– Hej! Hej! – zawołał, wysuwając przez kraty krążek z nierdzewnej stali imitujący lustro, aby dojrzeć strażnika w końcu korytarza.

– Co?

– Muszę porozmawiać z panem Ngatą.

– Jasne. Załatwić ci też audiencję u królowej?

– Słuchaj, dupku... To jest, proszę pana. Niech pan spyta Shirley. Pan Ngata kazał mi się zastanowić nad czymś bardzo ważnym. Już podjąłem decyzję.

– Powiesz mu to, jak odkiblujesz swoje. Masz jeszcze sześć dni w krainie Shangri-La i lepiej uważaj na słowa, bo dowalę ci tydzień bonusu.

Ben wyrznął bosą stopą w ścianę z taką siłą, że u nasady palców ukazało się zygzakowate pęknięcie.

– Pomocy! Potrzebuję lekarza. Jestem ranny!

Strażnik zaklął, założył gumowe rękawiczki i zbliżył się niespiesznie.

– Same kłopoty z tobą. Jeden jeden do trójki.

Na oddziale szpitalnym lekarz założył mu szwy, ale zanim zabrano go z powrotem do podziemi, zdążył poprosić pielęgniarkę o przekazanie naczelnikowi wiadomości.

Przez kolejnych pięć dni nic się nie zdarzyło, lecz szóstego, gdy wrócił na blok, nadeszło wezwanie z góry.

W GŁĘBI

Same kłopoty z tobą! To fakt. Zakradam się w twoje myśli, lecz nie znajduję nic, co mogłoby cię ocalić. Mimo to nie przestaję szukać nikłej iskry światła, odrobiny ulgi w rozpacz. Nie poczuwasz się do przestrzegania utu, obowiązku naprawy wyrządzonego zła. Twoja ofiara nie domaga się od ciebie skruchy ani zadośćuczynienia. Chce jedynie, żebyś ją zauważył i pozwolił jej zaistnieć w swoim życiu, tak jak ty zaistniałeś w jej. Wartość takiego gestu wykroczyłaby daleko poza ciebie.

Nie ty jeden odmawiasz posłuszeństwa. Co dzień wiatr przynosi mi wiadomość o kolejnych podobnych do ciebie. Moje ziemie zamieszkuje rzesza bezdomnych sierot, młodych ludzi, którzy zbłądzili na bezdroża. Jak do tego doszło?

Znowu wracam do mojej opowieści. Pamiętasz, co mówiłam o Te Tiriti o Waitangi, tej umowie między dwiema cywilizacjami? Na jej mocy Anglicy spodziewali się uzyskać autonomię przy zakupie i podziale ziemi. Māori zaś liczyli na konsultacje i prawo do współdecydowania.

Język to piękna rzecz, Benjaminie. Słowa kryją w sobie znaczenie, intencje i specyfikę kultury. To ich dobór kształtuje rzeczywistość i na tym polega ich siła. Ale także słabość! Bo każda niedoskonałość przekładu powoduje zanik znaczenia albo intencji. Błędy w tłumaczeniu Traktatu Waitangi doprowadziły do zguby całej społeczności.

Rozbieżności w oczekiwaniach wywołały cykle wrogości, wojny, porażki i konfiskaty. Wrogość, wojna, porażka i konfiskata. Oczywiście przewaga leżała po stronie tych, którzy mieli muszkiety. Twoi przodkowie szybko zostali pozbawieni większości swoich terenów.

Czy wiesz, że gdy brytyjscy żołnierze dotarli do zacisznej osady Parihaka,

położonej u stóp góry Taranaki, dzieci wybiegły witać przyjezdnych piosenką, tańcem i poczęstunkiem? A oni w odpowiedzi wygnali mieszkańców z domów, pojmali ich proroków, rozpruwając i depreczując ich kulturowy kosz.

Słowo „waitangi” oznacza „wody żałobnej pieśni”^{}. Być może natura jako jedyna przeczuwała, co miało potem nastąpić.*

^{*} Z ang. *the waters of lamentation*, za: M. King, *The Penguin History of New Zealand*, Nowa Zelandia 2003, s. 156 (przyp. aut.).



CARLA

Carla umówiła się z Lorraine z ośrodka pomocy na parking dla odwiedzających przed bramą Mount Eden. Wprawdzie obie dojeżdżały z North Shore, lecz wolała odbyć drogę sama. Oszczędziła sobie w ten sposób pół godziny grzecznościowej rozmowy.

Lorraine była ciepła i troskliwa. Jej puszysta postać i głęboki głos dawały poczucie stabilności, a rzeczowe usposobienie pomagało skupić uwagę. Carla jednak otrzymała już tyle współczucia i sympatii, że starczyłoby jej ich do końca życia. Miała dość ciągłego doglądania, wsparcia, opieki i nadzoru. Próba samobójcza dodatkowo pogorszyła sprawę, bo teraz gdziekolwiek nie poszła, traktowano ją, jak gdyby nosiła na czole napis: „Jestem dla siebie zagrożeniem. Trzeba mnie pilnować”.

W rzeczywistości odkąd przyjmowała antydepresanty, miała się znacznie lepiej. Jej umysł wychynął z mgły obojętności i dni nie wydawały się już tak przerażająco puste. Zaczęła też lepiej sypiać. Gdy skręciła w Normanby Road czuła się opanowana i silna.

Znała tę część miasta. Kilka przecznic dalej znajdowały się jej kiedyś ulubione delikatesy. W swoim „poprzednim” życiu często podejmowała czterdziestominutową podróż na drugą stronę zatoki, aby uzupełnić zapasy makaronu, niepasteryzowanego sera, salami i czekolady. Mały Jack też

uwielbiał te kulinarne wyprawy. Namiętnie próbował wszystkich rozdawanych przekąsek, odkrywając uroki swojego włoskiego pochodzenia. Mrożone kawałki panierowanego kurczaka i kiełbaski z paczki, które jadał u swoich przyjaciół, miały się nijak do kompozycji cienkich plastrów szynki parmeńskiej, czarnych fig, mięsistych, zielonych oliwek i rozkosznie miękkich kawałków gorgonzoli serwowanych przez jego mamę.

Z Normanby Road Carla skręciła w Lauder. Mury więzienia Mount Eden wyrosły przed nią jak gmach z dickensowskiej powieści. Jej nowo odzyskany spokój z miejsca się ulotnił. Zaciśnęła dłonie na kierownicy. „Warto spróbować, jeżeli to może pomóc” – zadźwięczały jej w uszach słowa Jovovicha. „Musi się pani z tym zmierzyć, wyrzucić z siebie złość i uwolnić się od upiorów”.

To był niezwykły wieczór, kiedy doktor przyszedł do niej na oddział. Rozmawiali do późnej nocy, stojąc ramię w ramię przy oknie w sali odwiedzin z widokiem na srebrne wody jeziora Pupuke. Nikola ujawnił bardzo głęboką znajomość zawiłości ludzkiej natury. Przede wszystkim nie okazywał jej litości, a wyłącznie współczucie. Miała wrażenie, że zna go od zawsze – ciemne włosy, senne, brązowe oczy, naciągniętą wargę. Tak bardzo przypominał jej Jacka.

Niebo zaczynało już topnieć w grafitowym brzasku, kiedy się wreszcie rozstali, a Carla uwierzyła, że może dalej żyć.

BEN

Adwokat uściśnął mu dłoń, jakby Ben był kimś ważnym. Taki prawniczy trik. Facet pachniał czystością. Kolejny prawniczy trik.

– Pamiętaj, Ben, nie musisz odpowiadać na żadne pytania, jeżeli nie masz ochoty. W każdej chwili możesz zakończyć rozmowę, wystarczy, że dasz mi

znać. – Przeniósł wzrok na pana Ngatę. – Będę mógł się przysłuchiwać, prawda?

Ngata skinął głową. Strażnik otworzył drzwi i wpuścił Bena do sali. Znał już to pomieszczenie z poprzednich odwiedzin, ale po raz pierwszy nie było w nim nikogo. Ścianę w głębi pokrywał wielki mural przedstawiający blisko dwumetrowego, niebieskiego delfina wynurzającego się z morza. Obok niego stał półnagi Neptun w złotej koronie i z trójzębem w ręce. Autorem był pewnie ten sam więzień, który namalował pejzaż w biurze Ngaty. Miejscami spod obrazu wyzierał nagi mur, tam, gdzie od ściany odpadł fragment tynku albo ktoś wyrył na pamiątkę swoje imię.

Bez wszędobylskich dzieci, pomarańczowych drelichów, uszczęśliwionych partnerek i szlochających żon regularne ustawienie krzeseł – dwa niebieskie, jedno pomarańczowe, dwa niebieskie, jedno pomarańczowe – bardziej rzucało się w oczy.

Ben zakołysał głową w rytm bitu dźwięczącego mu w uszach i wydłubał sobie brud zza paznokci. Biały gołąb uwięziony w sali co rusz podlatywał do wysokich okien i bił skrzydłami o szyby. Cyk, cyk, bum. Cyk, cyk, bum.

Z przodu znajdował się otoczony krzesłami stół. Ngata zaburzył równomierną kompozycję, podsuwając jedno Benowi. Strażnik przewlókł łańcuch przez jego kajdanki i umocował go pod blatem.

– Nie zdążę na obiad, odłożą mi go w kuchni, prawda? – odezwał się Ben, przebierając kciukami, by opanować drżenie. Zanim jednak ktokolwiek odpowiedział, w głębi sali otworzyły się drzwi. Ben wbił oczy we własne buty.

– Dziękuję. Tak będzie dobrze. – Kobięcy głos zakłuł go jak żądło osy i Ben przygryzł policzki od środka. – Czy mogliby panowie stanąć nieco

dalej? Byłabym wdzięczna za trochę prywatności.

– Musimy trzymać się przepisów, pani Reid. Najważniejsze jest pani bezpieczeństwo.

– Rozumiem. Dziękuję panu.

Ben nie podniósł głowy. Dobrze pamiętał ten głos. Tak wtedy krzyczała, że na stałe wyrył mu się w mózgu. Rzucił szybkie spojrzenie w stronę drzwi. Dwie kobiety. Żadna z nich nie wyglądała znajomo.

Adwokat podszedł i klepnął Bena w ramię. Ben nie wiedział, czy to miało znaczyć „dasz radę” czy raczej „zachowuj się”.

Kobiety zajęły miejsca naprzeciwko, a obok usiadł ten sam psychiatra, który wsadził go w kaftan bezpieczeństwa pierwszej nocy w mamrze – chuderlawy facet z przezroczystą skórą i kitką siwych włosów opadającą na plecy.

Ben wiedział, że jedna z nich musiała być tą Reid. Głos, który wcześniej słyszał należał z pewnością do niej, zmyliła go jednak jej fryzura. Pamiętał długie, ciemne włosy. Powracały do niego w koszmarach, wijąc się bez końca. Podniósł wzrok i napotkał oczy, które co noc patrzyły na niego w snach. Oddech mu przyspieszył. Miał wrażenie, że znalazł się na środku oceanu bez najmniejszego skrawka ziemi dookoła. Przycisnął do siebie wilgotne od potu dłonie. To był głupi pomysł.

– Zacznijmy od *karakia* – zagał pan Ngata. Po maorysku. Ben nie rozumiał, co to znaczy, ale przynajmniej ręce przestały mu się trząść.

Potem odezwał się chrapliwy głos psychiatry:

– Ben, pani Reid przyszła tu dzisiaj, żeby usłyszeć twoje wyjaśnienie i opowiedzieć ci, jaki wpływ miało na nią i na jej najbliższych to, co zrobiłeś.

– Facet niemal co słowo potakiwał głową, jakby musiał uchylać się przed ostrzałem. – To bardzo ważny krok dla was obojga. Może pomóc jej wrócić do równowagi, a tobie świadomie odbyć karę. Dziękujemy, że się zgodziłeś.

Ben poczuł jego przedśniadaniowy oddech. Rozstawił nogi szeroko i schylił się ponad stołem. Ręce znowu mu drżały, więc musiał je rozdzielić, żeby nie dzwonić łańcuchem. Ngata powiedział do kobiety coś, czego Ben nie dosłyszał. Skinęła głową i uniosła ramiona. Nagle zaczęła mówić, a jej słowa rozbiegły się swobodnie po pustym pomieszczeniu.

– Ben. Mogę tak cię nazywać? – Przez użycie jego imienia już go sobie podporządkowała. – Chciałam się z tobą dziś spotkać...

Z początku mówiła wolno i z namysłem, jej słowa były dokładnie wyważone, ale szybko zaczęły się plątać i urywać. Po krótkiej pauzie kontynuowała:

– Dziękuję, że zgodziłeś się na spotkanie ze mną.

Ngata kichnął. Adwokat powiedział „na zdrowie”. Uwięziony gołąb zatoczył koło pod sufitem. Cyk, cyk, bum.

– Przyszłam zadać ci jedno pytanie. Tylko jedno.

Gołąb wreszcie się poddał i przysiadł na parapecie z pulsującą piersią.

– Dlaczego?

Po ścianie z tyłu ściekła struga białych ptasich odchodów.

– Dlaczego musiałeś skrzywdzić moją rodzinę, kiedy wystarczyło wziąć wszystko, co chciałeś, i uciec? Możesz mi na to odpowiedzieć? – mówiła coraz szybciej. – Dlaczego odebrałeś mi syna? Okaleczyłeś męża? Dlaczego my? Dlaczego musiałeś nas skrzywdzić?

Te „dlaczego” spadały na Bena jak kule z karabinu. Dlaczego, Ben?

Dlaczego? Dlaczego? Sporo jak na jedno pytanie!

Psychiatra przechylił się i szepnął coś Reid do ucha. Zamilkła i wpatrywała się w Bena. Nie osłaniała już oczu. Teraz mało nie wyskoczyły jej z orbit.

Ben wzruszył ramionami. Co miał niby powiedzieć?

– Czy ty wiesz, ile bólu wyrządziłeś? Bólu, który jest tak... taki... Który już nigdy nie zniknie. Nigdy! Ukradłeś mi męża i syna. Odebrałeś wszystko, co było dla mnie ważne, i teraz nie mam już nic! Po co? Dla kilku dolarów. Telewizora. Radia. Pieniądze pewnie dawno przepuściłeś, a... – Zawahała się, po czym dokończyła gwałtownie: – Satysfakcja z tego... tego, co mi zrobiłeś musiała ci już minąć.

Ngata podszedł bliżej. Nachylił się i szepnął coś do psychiatry.

– Czy chociaż przez chwilę o nas pomyślałeś? Zdajesz sobie sprawę, jak wygląda bez nich moje życie? – rozkręcała się coraz bardziej i nie wyglądało na to, żeby miała niebawem skończyć. – Pomyślałeś...?

– Pani Reid – przerwał psychiatra o nieświeżym oddechu, składając błagalnie ręce. – Spróbujmy nie ulegać emocjom w miarę możliwości. Wiem, że to trudne, ale...

– Nie ulegać emocjom? – krzyknęła, posyłając krople śliny na stół. – Ja mam nie ulegać emocjom! – Roześmiała się. – Może pan mi powie, jak mam nie ulegać emocjom po tym, jak ktoś zabił mi syna i skatował męża. Proszę bardzo, słucham. – Twarz jej poczerwieniała, a oczy pałały dziko jak u wściekłego psa.

Ben czuł się, jakby ktoś wcisnął klawisz szybkiego przewijania. Jej słowa wirowały po sali i przewiercały mu mózg. To było nie do zniesienia. Zacisnął zęby, przybrał znudzoną minę i skupił się na rytmie, który znów zabrzmiał

mu w uszach.

– Wyobraź sobie – napadła na niego raz jeszcze – że pragniesz czegoś najbardziej na świecie. Nie ma szans, żebyś to otrzymał, ale pragniesz tego tak bardzo, że aż boli.

To, czego Ben pragnął najbardziej w tej chwili, to być sam i spalić blanta na podwórzu.

– I pewnego dnia nagle, ni stąd, ni zowąd, to dostajesz. Nie masz pojęcia, jakie to uczucie. Nie możesz sobie tego wyobrazić.

Naprawdę byłoby dobrze dorwać trochę zioła.

– Nie wierzyłam, że kiedykolwiek będę miała dziecko. – Wsunęła rękę do kieszeni. Strażnik za jej plecami drgnął czujnie. – Masz szesnaście lat, tak?

Cisza.

Mógł słuchać jej uzalania, ale nie zamierzał wdawać się w żadne dyskusje.

– Tak wyglądał Jack, gdy miał szesnaście lat. – Bez ostrzeżenia podetknęła mu pod nos czarno-białe zdjęcie chłopaka, którego skosili z Tate'em łopata tamtej nocy. Ciemnowłosego gościa o pękniętej wardze i zaskoczonych oczach.

Sporo wcześniej zjarali. Światła w domu były zapalone, a zasłony niezaciągnięte, co ułatwiało sprawę. Dziabnęli w krzakach jeszcze kilka piw, podkrecając dodatkowo ogień już buzujący im w żyłach, i czekali na właściwy moment. Dla Bena to była pierwsza prawdziwa robota, ale Tate też miał w tym interes. Planował wkręcić ich do prawdziwego gangu. Ben dał się przekonać, że czas zostawić gówniarzy i wstąpić do poważnej organizacji. Nie chodziło mu jednak tylko o sławę na dzielnicy. Chciał udowodnić

wszystkim... Ryanowi... że był kimś, z kim trzeba się liczyć.

Kiedy w końcu ruszyli do akcji, to zdawało się niemal zbyt proste. Drzwi do garażu były otwarte na oścież. Przemknęli po ciemku obok kosiarki, łopaty, piły łańcuchowej i traktora, minęli peugeota z kluczykami w stacyjce i stos puszek farby... I nagle niespodziewanie w drzwiach pojawiła się postać.

Zastygli ukryci w cieniu, ale tylko przez chwilę. Zaraz potem na ziemię padła smuga błękitnego światła i zatrzymała się tuż przed butami Bena. Wtedy właśnie Tate sięgnął po łopatę...

W sumie to Tate odwalił główną część roboty. Okazało się, że nie tak łatwo było uciszyć przeciwnika. Cały czas charczał na podłodze. Ben musiał pomóc kumplowi.

Odwrócił głowę. Nie da tej kobiecie satysfakcji z tego, że pokazała mu zdjęcie.

– Chcę wyjść – powiedział, odsuwając krzesło.

Stół przemieścił się w ślad za nim z ostrym zgrzytem.

– Mój klient jest zmęczony – rzekł natychmiast adwokat.

Kobieta, widząc, że szansa wymyka jej się z rąk, podskoczyła i zawołała:

– A jak ty się czujesz, kiedy zabili ci matkę?

Cios trafił prosto w serce.

– Pierdol się, głupia dziwko! – Jego głos odbił się od ścian.

Pokój zaroił się ludźmi i w tumultie głosów i ciał kobietę zabrano do wyjścia. Kiedy była przy drzwiach, Ben krzyknął za nią:

– Czego pani ode mnie chce?!

Ale ona zniknęła.

Na dziedzińcu ciągle świeciło słońce i po krótkiej chwili mrok w jego wnętrzu zaczął się roztopiać. Nie zdążył na obiad, ale mógł zostać na dworze jeszcze dwie godziny, zanim zapędzą go z powrotem do celi i zamkną w towarzystwie jedynie własnych myśli – myśli, które ściągały go coraz głębiej w ciemność.

W GŁĘBI

Co noc słyszę rozpaczliwe łkanie kobiety Pākehā. Jej łzy są ciche i jednostajne jak deszcz na zachodnim wybrzeżu. Czuję bezmiar jej bólu i pustkę jej istnienia. Ty ją na to skazałeś. Ty, Benjaminie! Jest mi tak wstyd za to, co zrobiłeś, jak gdybyś pochodził z mojego własnego łona. Rozumiem cierpienie tej matki. Pomimo wszelkich różnic między nami. Wykarmić dziecko to wykarmić dziecko.

Wracam do mojej opowieści, ale nie po to, aby cię usprawiedliwiać. Bynajmniej. Bo choć każdy człowiek rodzi się obarczony ciężarem historii, to, co ostatecznie zrobi z własnym życiem, jest wyłącznie jego odpowiedzialnością. Nie, opowiadam dalej, żeby ci pokazać, kiedy moim zdaniem doszło do upadku, z nadzieją, że moje słowa cię dotrą. Gdyby tak się stało, mogłabym jeszcze cię podnieść i sprowadzić do domu.

Biały człowiek zachwyił się Aotearoa, a jego apetyt był nienasycony. Rok po roku Māori tracili kolejne ziemie, aż zostały im tylko nędzne skrawki, z których nie byli w stanie wyżywić swoich whānau. Biały człowiek osuszył rozlewiska, w których od wieków łowiliśmy węgorze, wyciął lasy, w których polowaliśmy, i zbudował drogi oraz autostrady, rozwijając tylko swoje tereny, a naszych już nie. Zagarnął bogactwo dla siebie i nie chciał użyć kapitału swoim „rdzennym” sąsiadom, żeby wspomóc ich w uprawie tych poletek, jakie im zostały.

Aby przeżyć, nasze kobiety i mężczyźni zmuszeni byli szukać pracy z dala od domu. Przeważnie były to dorywcze, marnie płatne zajęcia – strzyżenie owiec, wydobywanie gumy, budowa płotów. I w ten sposób nasi niegdyś dumni przodkowie popadali w coraz większą biedę.

Dzieci przestały chodzić do szkoły. Albo towarzyszyły rodzicom w

poszukiwaniu pracy, albo zajmowały się domem – liczyła się każda pomoc. Gospodarstwa niszczały. Domy nie były w stanie chronić ludzi przed surową zimą i upalnym latem. Zbiory więdły. Zwierzęta wymierały. Ludzie również. Niemowlęta i dzieci, młodzi i starzy. A wraz z nimi zanikało twoje dziedzictwo. Bo widzisz, Benjaminie, nędza odbiera wszystko. Boga, kulturę, społeczność i nadzieję.



CARLA

Jin, córeczka Mingyu, posapywała z przejęcia i machała drobnymi rączkami, próbując dosięgnąć dyndającej nad sobą papugi. Musiała wysilić się wiele razy, zanim jej pełne irytacji pomruki przerodziły się w zadowolone gulgotanie, gdy wreszcie zanurzyła paluszki w miękkim futerku ptaka. Jej radość nie trwała jednak długo, bo zaraz potem sprężysta zabawka wyrwała się na nowo z pulchnych rączek.

– Lulu się z tobą droczy? – zapytała Carla, odkładając książkę i wyjmując zawodzące dziecko z łóżeczka.

Jin urwała na moment, z trudem łapiąc oddech, ale rozżalenie przeważyło i dziewczynka podjęła rozpaczliwy lament.

– Jesteś głodna, pchełko – stwierdziła Carla i pobiegła do kuchni. – Rany! Zobacz, która godzina! Prawie jedenasta. Nic dziwnego, że się denerwujesz. Niedobra, niedobra Carla!

Wyjęła z lodówki butelkę mleka i słoiczek musu dyniowego, po czym wstawiła wszystko do mikrofalówki.

Jin nie okazała najmniejszego zainteresowania dynią, z miejsca wyciągając rączki po butelkę. Carla wycisnęła kroplę mleka na nadgarstek, by sprawdzić jego temperaturę, po czym podała naczynie małej. Chwilę

potem niemowlę rozluźniło się jej w ramionach w stanie błogiej sytości.

Carla spędziła następną godzinę na kanapie, tuląc do siebie miękkie zawiniątko. Kiedy Mingyu pierwszy raz poprosiła ją o przypilnowanie małej, Carla spanikowała. Bardzo się z sąsiadką do siebie zbliżyły i Carla ubóstwiała Jin. Korzystała z każdej okazji, aby wpaść z wizytą i popieścić dziecko, lecz podjęcie się opieki nad niemowlęciem, to był zupełnie inny rodzaj odpowiedzialności. Mingyu jednak w charakterystyczny dla siebie sposób zbyła jej obawy szerokim uśmiechem i lekceważącym potrząsaniem głowy, i tak oto Carla została dorywczą nianią. Z „kilku godzin raz na jakiś czas” szybko zrobiły się trzy poranki w tygodniu, co pozwoliło Mingyu wrócić do pracy w kwiaciarni na pół etatu. Nie tylko ona na tym korzystała. Dla Carli zaczął się wreszcie długi proces zdrowienia.

Najbardziej spragniona była dotyku. Od tak dawna w jej życiu brakowało czegoś, co mogłoby zaspokoić tę podstawową potrzebę. W wieku czterdziestu pięciu lat znalazła się nagle pod niewidzialnym kloszem, skazana na ograniczoną dawkę okazjonalnych gestów – pobieżnego klepania po plecach, przelotnego cmoknięcia w policzek, przypadkowego kontaktu w autobusie. Dzięki Jin Carla znów poczuła namacalną łączność z życiem.

– Zostaniesz na herbaty? – zaproponowała Mingyu jak zawsze po powrocie z pracy. – Albo kawy. Wiem, że ty wolisz. Dzisiaj próbuję parzyć. Nawet kupię świeżo mielone siana.

Carla się roześmiała.

– Ziarna, Ming. Nie „siana”!

Zrobił się już z tego nawyk i Carla bardzo lubiła pogaduszki przy stole w kuchni przyjaciółki nad parującym kubkiem.

– Zobacz, oni mają tylko trzy lata – powiedziała Mingyu, wskazując

nagłówek w gazecie: „Trzy lata za napad na mleczarnię. Mogą wyjść po roku”.

Carla wzruszyła ramionami. Jaka to różnica, czy dostaną trzy czy trzynaście. To i tak nie zmieni tego, co zrobili. I próżno oczekiwać, że wyjdą z więzienia odnowieni. O ile nie jeszcze bardziej zdeprawowani.

Teraz umiała już myśleć o tych sprawach z dystansem. Nikola Jovovich miał rację. Mimo że spotkanie z Toroą nie przebiegło tak, jak powinno, to jednak uwolniło ją od upiorów i dało nową siłę, tłumiąc desperację i nienawiść, które wcześniej trawiły jej duszę.

– Hej, Carla, wiesz co? W Chinach nie trzymamy złe ludzie – powiedziała Mingyu, przesuwając sobie palcem po szyi z przesadnym dramatyzmem.

Carla zaśmiała się. Uwielbiała odświeżającą bezpośredniość Mingyu.

Mingyu odłożyła gazetę i przejrzała pocztę, którą Carla zostawiła na ladzie.

– Oho! – zawołała, wyłuskując błękitną kopertę ze stosu broszurek reklamowych. – W końcu list od mamy.

Carla zwróciła uwagę na oryginalny znaczek, opróżniając skrzynkę tego ranka.

– Pewnie bardzo za wami tęskni.

Mingyu skinęła głową, rozdzierając kopertę wzdłuż brzegów, i zachłannie przebiegła tekst wzrokiem.

– Ale za rok ma Jin u siebie.

– Jak to? – spytała Carla z nagłym uciskiem w piersi.

– Za osiem miesiące wyślemy Jin do Chin na kilka lat, żeby nauczy chińskie tradycje i język. A ja mogę pracować na cały etat. A potem wraca do szkoły w Nowej Zelandii.

– Ale... Ty... Jak możesz ją odesłać? Jesteś przecież jej matką! – W Carli już obudziła się tęsknota.

Mingyu podniosła wzrok, wyraźnie zaskoczona jej tonem.

– Carla, my tak decydujemy – powiedziała miękko, lecz stanowczo.

BEN

W sny Bena wdarł się dzwonek. Mężczyzna zasnął przez zioło, które załatwił od Pioruna. Zmiana czasu na letni także nie pomogła.

Zwłókł się z pryczy i naciągnął dresowe spodnie, po czym potarł zaspane oczy. Poszedł się wysikać. Jego mocz był ciemny i miał ostry zapach.

W miarę jak strażnicy otwierali kolejno poszczególne cele, zgrzyt metalu docierał do głębiej położonych części korytarza. W zamku Bena przekreślił się klucz. Mężczyzna odczekał, aż klawisz pójdzie dalej, po czym otworzył drzwi i wyszedł na poranny przegląd. Na lewo od niego słał się Piorun. Na prawo... Nie było nikogo. Pakistańczyk pewnie jeszcze kimał.

Piorun też zauważył jego nieobecność.

– Pobudka, Osama! – zarechotał.

Benowi wyskoczyła nagle przed oczami makabryczna wizja. Zielsko musiało już całkiem wywietrzeć mu z głowy, skoro scena była tak dokładna i wyrazista – chudy, ciapaty chłopak leżący dzień wcześniej na podłodze pod prysznicem ze spodniami ściągniętymi do kostek.

Ben zacisnął powieki, ale obraz nie zniknął.

– Osadzony jeden siedem dziewięć siedem... Osadzony jeden siedem dziewięć siedem.

– Nie wychodzi! – krzyknął Ben do Shirley.

– Idź go obudzić, Toroa. Ja musiałam być dziś w pracy na czas. Chyba może wyświadczyć mi tę samą grzeczność.

Ben szarpnął zamknięte drzwi.

Nerwowy chłopak z Pakistanu siedział pierwszy raz. Ciągłe miał czystą skórę – żadnych tatuaży. Nawet jednej małej czaszki, serduszka czy zaciśniętej pięści. Zero. Był ponoć bardzo zdolny i planował studia, kiedy po maturze urznął się jak szpadel. Pierwszy raz pił na poważnie. Władował się bryką ojca w przystanek autobusowy, wysyłając dwoje ludzi do szpitala. Kiedy gliny wyciągnęły go z wraku samochodu, miał we krwi trzy razy więcej alkoholu, niż było to dozwolone. Jakiś sędzia postanowił dać silny sygnał ostrzegawczy i skazał go na trzy miesiące więzienia.

– Nagrabisz sobie, stary, jeżeli będziesz zgrywał innego od reszty. Modlił się do... do czego tam się modlisz i żarł tylko królika ... – uprzedził chłopaka Ben jego pierwszego dnia. Ale potem skrzętnie unikał cuwaksa. Dla bezpieczeństwa. I nie trzeba było długo czekać, aż Piorun i jego kumple dorwali małego.

Ben znieruchomiał w progu celi sąsiada. Drobne, brązowe ciało zwisało z okiennych krat na pasku prześcieradła, a patykowate nogi były ugięte jak u martwego owada.

– Jezu!

– Co tam, Toroa?

Ben odwrócił się. Shirley stała za jego plecami.

– Centrum Alarmowe, kod jeden, blok wschodni! Powtarzam, Centrum Alarmowe, kod jeden, blok wschodni – krzyknęła do krótkofalówki.

Ben podniósł chłopca na ramionach, a Shirley odcięła prześcieradło. Był nadzwyczaj lekki, skóra i powietrze. Z martwych ust dobyło się ciche gulgotanie.

– Ja pierdolę, stary – wyszeptał Ben. – Wszystko by się ułożyło. Trzeba było tylko zacisnąć zęby.

Po zapadnięciu wyroku Ben miał być przewieziony do Paremoremo lub, jak określano go potocznie, „Pari” – zakładu o zaostrowym rygorze na północy Auckland, który uchodził za najgorszy kibel w całej Aotearoa.

Brylant z sadystyczną wręcz przyjemnością odmalował przed Benem przerażający obraz tego, co się tam dzieje, a Ben wiedział, że jego słów lepiej nie lekceważyć. Brylant był w końcu stuprocentowym produktem penitencjarnego systemu. Wychował się w poprawczaku, a potem garował w każdym pierdlu w kraju.

Poradził Benowi, żeby zawsze jeść plecami do ściany i oglądać się za siebie przynajmniej dwa razy. Ben jednak wcale nie czuł się dzięki temu różnie. Od dawna już źle sypiał, a teraz jego sny stały się jeszcze straszniejsze i bardziej pokręcone. Martwe oczy pakistańskiego chłopaka. Poplątane, długie włosy Reid. Delfiny i nadzy królowie. Jaskrawoczerwone morze. Krwawe fale sięgające mu do szyi, tak gęste, że nie mógł płynąć. Po przebudzeniu okazywało się, że wrażenie wilgoci brało się z jego własnego potu, a sztywnymi falami był koc skotłowany na piersi. Leżał potem do rana, bojąc się znowu zasnąć, by krew nie powróciła.

Eric, jego oficer prowadzący, który zdawał się teraz poświęcać mu więcej uwagi, szczególnie po tym, jak odkrył system pułapkowy, który Ben

zainstalował wokół pryczy, wysłał go na rozmowę z pielęgniarką psychiatryczną. Kobieta miała jasny puszek nad górną wargą i czarny pędzel włosków sterczący z narośli na brodzie. Posadziła Bena w gabinecie bez okien i zasypała go gradem pytań. Jak się czuł w związku ze śmiercią matki? A po tym, jak jego sąsiad się powiesił? Jakie emocje wzbudza w nim wizja przeniesienia do Pary?

Ben odpowiadał zdawkowo. Nie umiał wyrazić tego, co czuł. Brakowało mu słów, by opisać swoje wewnętrzne rozdarcie.

Pielęgniarka stwierdziła, że jego „psychoza” wynika z depresji i zwróciła się do lekarza więziennego o przepisanie leków. Potem w odrażających szczegółach uprzedziła Bena o możliwych efektach ubocznych – zmęczenie, biegunka, opóźniona ejakulacja... Ben roześmiał się. W najbliższej przyszłości nie groziło mu uprawianie seksu, a do masturbacji czasu miał, ile dusza zapagnie. Dokładniej: czternaście lat. Tak czy siak nie wziął żadnej z zaleconych pigułek, ale nie z obawy przed efektami ubocznymi. Podejrzewał, że personel próbuje go otruć.

Tabletki nie nadawały się nawet na wymianę. Za lekarstwa na grypę i przeziębienie można było jeszcze coś kupić, ale nikt w więzieniu nie potrzebował dziesięciu listków cipramilu.



BEN

– Pari zbudowali w latach sześćdziesiątych, kiedy ciebie, młody, jeszcze na świecie nie było – powiedział Benowi Brylant. – Nawet nie pływałeś w jajach swojego starego – zarżał nisko.

Brylant często pieprzył o byle czym, ale dzisiaj Ben słuchał go z uwagą.

Furgonetka, w której siedzieli, przechyliła się na zakręcie, wciskając Bena w kolebę.

– Projekt wzięli z Ameryki – ciągnął Brylant, strząsając z siebie Bena ramieniem – Z czworokątnym placem do e-gze-ku-cji. – Przesylabizował słowo dla silniejszego efektu. – Przez powieszenie – sparodiował amerykański akcent. – Chociaż to się nigdy nie zdarzyło – dodał, z żalem wyginając usta. – Przy dziedzińcu są trzy osobne cele dla tych w kolejce po krawat. Kapujesz, człowieku? Pieprzony korytarz śmierci!

Brylant nie przestawał nadawać, odkąd wyjechali z Mount Eden. Znowu się złożyło, że przenosili ich razem. Przynajmniej dzięki temu Ben mógł dowiedzieć się więcej o swoim przyszłym domu.

Zamknął oczy i wyobraził sobie, jak wchodzi na podest szubienicy. Poczuł nagłą ciemność po zarzuceniu na głowę czarnego kaptura i ucisk liny na szyi.

Wytrzeszczył szeroko oczy, jakby chciał wsunąć powieki za gałki.

– Co się tak gapisz? – warknął Brylant.

– Nie, nic.

Brylant siedział plecami do kwadratowego okna, zasłaniając Benowi widok, więc kiedy ciężarówka niespodziewanie stanęła, Ben ze zdziwieniem zobaczył dziedziniec Paremoremo – przepisowo ogrodzony plac, do jakich się już przyzwyczaił. Na tym podobieństwa się kończyły. Ben bardzo szybko zatęsknił za długimi, zimnymi korytarzami na Kopcu. Gmach Paremoremo był inny. Większy. Bardziej ponury. Groźniejszy.

To tu, pomyślał Ben. To miał być jego dom na najbliższe trzynaście lat. Miejsce, gdzie umiera nadzieja.

Na rejestrację czekali z Brylantem w tymczasowej celi. Wnętrze było puste, tylko nad drzwiami wisiała mosiężna tablica. Brylant przeczytał tekst, popisując się znajomością liter i języka maoryskiego. *Kotahi ano te kaupapa; ko te oranga o te iwi* – naszej pracy przyświeca tylko jeden cel: dobro i szczęście ludu*.

Benowi podobało się brzmienie obcych słów. Były pełne i zaokrąglone, tworząc swoisty rytm.

W biurze przyjęć przydzielono mu kwaterę. Parter. Cella numer 3. Blok B. Zachodnie skrzydło. Kolor niebieski. Nie mógł w to uwierzyć. W kiciu barwy gangów były zakazane, a jednak wręczono mu niebieski kombinezon. Jeden z oddziałów Pari oficjalnie używał niebieskiego! Chłopaki z Crips i Black Power mieliby ubaw po pachy.

Ustawił się do obowiązkowej rewizji osobistej. Przeszedł już przez to po przyjeździe do Mount Eden i drugi raz, kiedy psy wyczuły zioło w jego celi, ale, jak twierdził Brylant, w Pari rewizje przeprowadzano na chybił trafił

przynajmniej dwa razy dziennie.

Pod okiem dwóch klawiszy Ben ściągnął koszulkę i wolno uniósł ramiona. Nic. Założył T-shirt z powrotem, po czym spuścił spodnie i rozstawił nogi. Pochylił się. Nic. Wiedział, że nie mogą mu spenetrować odbytu – wyłącznie policja miała takie prawo – więc nie znaleźli foliowego zawiniątka, które ukrył wcześniej. Pozwoli mu to przetrwać przez jakiś czas.

Nowa klatka była mniejsza od poprzedniej. W jednostkach o zaostrzonym rygorze każdy mieszkał osobno. Wcześniej myślał, że to wielki luksus, ale długie godziny spędzone w samotności po wyjeździe Jocko sprawiły, że zmienił zdanie.

Wlazł na pryczę i wyjrzał przez okno. W zasięgu wzroku nie było skrawka zieleni. Żadnej trawy, drzew ani liści. Niebo przecinały jedynie obręcze drutu kolczastego, który ponoć zaczynał brzęczeć i wibrować na całej długości w reakcji na dotyk. Według Brylanta człowiek, który ugrzązł w jego ostrych szponach, wykrwawiał się po czterech minutach.

– Nie ma sensu iść na podwórze – stwierdził oficer prowadzący. – Jest już po trzeciej. *Kai* podają o czwartej, a o piątej wracacie do cel.

Ben wiedział, co będzie na kolację. Pieczony kurczak. Wypadał tego dnia w Mount Eden, jak i każdym innym zakładzie w całej Nowej Zelandii. Wyżywienie więźniów było planowane na szczeblu krajowym, wszyscy jedli to samo i o jednej porze.

Wyciągnął się na burym kocu, który w dotyku przypominał ścierkę do szorowania i tak też załatywał. W tym momencie uświadomił sobie, jak bardzo brakowało mu zapachów. Zwyczajnych zapachów. Więzienie było wyprane z jakichkolwiek bodźców zewnętrznego świata. Jako dziecko uwielbiał zapach mamy – słodką, cierpką woń wyczuwalną spod oparów

papierosowego dymu i środków czyszczących.

Ben wciągnął głęboko powietrze, zatrzymał je w płucach i wypuścił z urywanym szlochem. Przycisnął palce do oczu, aż pod powiekami zawirowały mu zielone i białe wężyki rozplływające się w mroku. Wydmuchał nos w podkoszulkę i spojrzał na sufit. W poprzek celi sunął długi korowód mrówek. Ciąg czarnych punkcików spełzał po ścianie i urywał się nagle w miejscu.

Wstał i podszedł to sprawdzić. Na końcu kolumny żyjątko kłębiły się na zaschniętym placku gumy do żucia. Ben zeszkrobał ją ze ściany i wsadził sobie do ust. Była twarda i kompletnie bez smaku, ale kiedy chwilę ją pożuł, zmiękła i zrobiła się bardziej rozciągliwa. Wypluł papkę, podzielił na cztery części i przyczepił do ściany swój jedyny plakat, znaleziony na podwórzu w Mount Eden. Przedstawiał drużynę The Blues zaraz po tym, jak w Perth pokonali The Force i zakwalifikowali się do półfinału przeciwko The Sharks w Durbanie. Plakat był zniszczony, ale Ben lubił patrzeć na gromadę potężnych, triumfalnie uśmiechniętych facetów. Czasami wyobrażał sobie, że jest jednym z nich i przy wtórze wrzawy szalejących widzów przechwytuje piłkę, zręcznie wymija kolejnych przeciwników, pędzi przez boisko i rzuca się na trawę w polu przyłożenia. I przez moment, gdy po wiwatujących trybunach przepływa meksykańska fala, czuje się z siebie dumny.

Jako dzieciak grał trochę w rugby, ale pod koniec podstawówki wszyscy koledzy niespodziewanie wystrzelili w górę i nabrali masy, a on został drobny i chudy. Dlatego odszedł z drużyny. Zresztą wtedy rzadko już pojawiał się w szkole.

Na podłogę celi padł cień. Ben podniósł oczy. Drzwi wypełniał sobą zwalisty mężczyzna o świecącej skórze. Miał płaską jak talerz twarz i porządnie wyszczerbione prawe ucho.

Gość uniósł głowę i pociągnął nosem.

– Zaleciało psem, ale widzę, że to tylko szczeniak.

Nie tracili czasu. Ben spędził w nowej dziupli najwyżej pół godziny, lecz znajomi Ryana już go przydybali.

Brylant uprzedzał, że znajdzie się w mieszaninie gangów. Nie tak, jak w Mount Eden, gdzie trzymano poszczególne grupy na dystans. Tutaj panowała zasada „dziel i rządź”.

„Nie daj się sprowokować – radził Lewis. – Jak cię będą zaczepiać, udawaj, że nie słyszysz”.

– Wiesz, co dziś na kolację? – zagrzemiał olbrzym. – Kurczak. Pieczony. To lubię najbardziej.

– Nazywam się Toroa – zdołał wykrztusić Ben, a wnętrzności skręciły mu się w środku przed spodziewanym atakiem.

– Ale takie chuchro jak ty nie musi przecież jeść, co?

Ben patrzył na niego bez słowa.

– Mój szef ma spory apetyt i nie lubi, kiedy żarcie marnuje się na wymoczków. Powiem ci, co zrobimy: co wieczór będę przychodził po twoją kolację. Tylko mięso. Jeździec nie lubi zieleniny.

– Za dwadzieścia minut zakaz wychodzenia – krzyknął klawisz.

Facet w drzwiach obojętnie rzucił za siebie okiem.

– Zostaw kurczaka na talerzu i przykryj kawałkiem srajtaśmy, a ja go sobie skubnę przy zbieraniu naczyń. Lepiej, żebym nie musiał psuć ci tej słodkiej bużki.

W jakiś czas potem Ben wpatrywał się w udko na talerzu. Skórka była

zrumieniona na złoto, a mięso wyglądało smakowicie. Kolesie z kuchni nieźle się spisali.

Umoczył palec w kałuży sosu. Słony. Ben wgniół w niego purée i pochłonął dwoma ruchami łyżki. Potem długo bawił się kurczakiem, przesuając go po talerzu z jednej strony na drugą. Wreszcie przykrył pieczeń skrawkiem papieru toaletowego.

Miało minąć wiele miesięcy, zanim znów wziął do ust mięso.

W GŁĘBI

Benjaminie, czuję ożywienie w piersi. Zareagowałeś na te reo Māori – język twoich przodków – choć nie rozumiesz sensu usłyszanych słów. To dobrze. To bardzo dobrze. Te słowa należą do ciebie. Ich moc nie wypływa z twojej świadomości czy przyswojonej wiedzy, ale ma źródła znacznie głębiej, u zarania dziejów.

Dzieje... Muszę dalej snuć moją opowieść.

Biały człowiek postanowił zasymilować maoryską ludność i czynił wszelkie starania, aby rozbić nasze plemiona i zniszczyć styl życia. Nawet nasz piękny język mu przeszkadzał. Dzieci Maorysów odbierały naukę po angielsku przy aktywnym wypieraniu te reo.

A my daliśmy się uwieść tej nowoczesnej wizji. Uwierzyliśmy w angielski sen. Ubrania, obyczaje, sporty, popołudniowe herbatki. Wielu z naszych rodaków wtopiło się w tę białość w ciepłe miejskich światła, spychając swoją Māoritanga w cień minionej historii. Nowe życie kusilo obietnicą kariery, rozrywki, angielskości. Ach, Anglia... Rugby, tenis, orkiestry dęte, poranne naleśniki, kruche ciasteczka z rodzynekami i kostki jaskrawopomarańczowego sera.

Czego to byśmy nie zrobili, aby stać się obywatelami tego „lepszego” świata! Na dowód dobrych intencji, zgodziliśmy się nawet walczyć za Koronę u boku naszych bladokórych braci. Ale ani nasza ofiarność, ani hojnie przyznawane nam medale nie zmieniały faktu, że byliśmy brązowi. Zbyt brązowi.

** Napis na tablicy w zakładzie Paremoro wykorzystany jako myśl przewodnia w raporcie M. Robson, *About Time. Turning people away from a life of crime and reducing re-offending. Report from the Department of Corrections to the Minister of Corrections,**

Nowa Zelandia 2001,

www.corrections.govt.nz/_data/assets/pdf_file/0011/666218/abouttime.pdf (przyp.
aut.).



CARLA

Carla naciągnęła poduszkę na głowę. Sama nie umiała wytłumaczyć, dlaczego co wieczór nastawiała budzik. Nigdzie nie musiała się przecież śpieszyć i w ogóle rzadko wychodziła z domu. Ale to nadawało jej życiu stały rytm i odróżniało weekendy od pozostałych dni. W weekendy nie używała budzika.

Po pięciu minutach drzemki znowu rozległ się dzwonek. Usiadła i spuściła nogi obok łóżka, muskając stopami szorstkie włosie dywanu. Podniosła się powoli. Pilnowała, żeby niczego nie przyśpieszać. Musiała wypełnić sobie cały dzień.

Wsunęła na stopy kaptcie kupione niedawno w sklepie „wszystko za dwa dolary” – stare, z futra oposa, całkiem się już rozpadły – i sięgnęła po szlafrok. Kiedy stojąc przed lustrem, starannie zawiązywała pasek na kokardę, uważała, aby skupić się wyłącznie na tej czynności i nie pozwolić oczom uciec w stronę własnego odbicia.

W kuchni kran parsknął wodą do pustego czajnika – rury, tak jak i dzień, działały jeszcze niemrawo. Włożyła zużytą torebkę herbaty do kubka i zajęła się rozsuwaniem zasłon i podnoszeniem rolet. Czajnik zaczął gwizdać akurat, gdy kończyła odsłaniać ostatnie okno.

Ujęła parujący imbryk i napełniła kubek. Saszetka wypłynęła na

powierzchnię, puszczając brunatne smugi. Carla dodała odrobinę mleka i łyżeczkę cukru, po czym zamieszała. Trzy pełne obroty.

Z herbatą w dłoni usiadła na krześle pod oknem i obserwowała budzącą się do życia Oteha Valley Road, ku której, jak spłoszone prosionki, ciągnęły wypełzające nie wiedzieć skąd samochody.

O dziewiątej wstała i przyrządziła grzanekę z chleba z rodzynkami posmarowaną masłem. Gdy zjadła, wyjęła z lodówki dwie mrożone kiełbaski i odstawiła na ladę, po czym poszła się ubrać. Obiad – kanapka z szynką – przypadał o dwunastej. Zwykle potem ucinała sobie popołudniową drzemkę, a następnie jechała do Browns Bay odwiedzić Kevina. Po powrocie w okolicach piątej zasiadała przed telewizorem z lampką taniej sherry. O szóstej zjadała kiełbaski z purée, a potem dzień już samoczynnie pogrążał się w długiej nocy. Ten sztywny harmonogram był jej absolutnie niezbędny. Trzymał wszystko w ryzach.

Właśnie drzemała po obiedzie, kiedy zadzwonił telefon. Mlasnęła, hamując stróżkę śliny, która wymknęła się z kącika jej otwartych ust, po czym podniosła słuchawkę.

– Halo?

– Pani Reid? – Silny, australijski akcent.

– Tak.

– Bryce Deacon, zakład karny w Auckland.

Carla usiadła, odpędzając od siebie resztki snu.

– Mam obowiązek poinformować panią, że pod koniec miesiąca odbędzie się pierwsze przesłuchanie w sprawie przedterminowego zwolnienia Bena Toroi. Może pani wziąć w nim udział osobiście lub też wyrazić swój

sprzeciw albo poparcie wobec wypuszczenia osadzonego w formie pisemnej. To zależy od pani. Jeżeli zrezygnuje pani z obecności, decyzja podjęta w wyniku przesłuchania zostanie dostarczona za pośrednictwem poczty.

– Och. – Umysł Carli z trudem nadążał. Nazwisko „Toroa” z początku zabrzmiało obco. Minęło już ponad pięć lat. – Ja... Ekhm... Muszę się zastanowić. W sensie, nie jestem pewna, czy...

– Rozumiem. Gdyby zechciała pani uczestniczyć, przysługuje pani prawo do towarzystwa bliskiej osoby w trakcie przesłuchania. Wysłaliśmy na pani adres urzędowe zawiadomienie i broszurę informującą o przebiegu całej procedury, ale podam jeszcze numer telefonu na wypadek dalszych wątpliwości.

Carla wymacała długopis i zanotowała numer na odwrocie kartki urodzinowej od Geoffreya i Mildred z przystrojonym w okulary przeciwsłoneczne pawianem zdmuchującym świeczki ułożone na kształt liczby pięćdziesiąt.

– Nieoficjalnie dodam, że według wszelkiego prawdopodobieństwa wniosek zostanie odrzucony, więc nie ma się co niepokoić. To tylko czysta formalność.

– Rozumiem... Tak. Dziękuję.

Połączenie zostało zakończone.

Carla odgryzła kawałek paznokcia i przeżuwała go w zębach. Zwolnienie. Tak szybko? Nie odsiedział jeszcze nawet jednej trzeciej wyroku.

Wszyscy ją zapewniali, że czas leczy rany, poniekąd słusznie. Z biegiem lat jej rozpacz okrzepła, a cierpienie stało się w miarę znośne ale teraz, jakby na skutek perfidnego żartu, cały ból powrócił ze zdwojoną siłą i znalazła się znów na początku drogi.

Przekręciła zegarek na przegubie, odmykając i zatrzasnąjąc sprzączkę. Dochodziła druga. Porządek jej dnia został zaburzony i nie wiedziała, co począć z dodatkowym czasem. O tej porze Kevin jeszcze spał i nie było szans, aby wpuścili ją wcześniej niż o trzeciej.

Sala przesłuchań miała surowy wystrój. Zarówno ściany, jak i biała tablica, a nawet kosz na śmieci, ziały zupełną pustką. Wnętrze przypominało Carli szkolne laboratorium o sterylnym zapachu, z rzędami pośliskich ławek i samotnym biurkiem pośrodku.

Kobieta skierowała się na tył sali i usiadła na krześle w kącie. Położyła torebkę pod stopami i skrzyżowała nogi, by zaraz znowu je rozpleść i podnieść torebkę z ziemi. Pogrzebała w niej, szukając miętusów, ale bezskutecznie. Przesiadła się o dwa rzędy, a potem jeszcze bliżej.

Mężczyzna w zielonym mundurze służby więziennej wystawił głowę zza drzwi.

– *Kia ora* – powiedział z życzliwym uśmiechem. – Już niedługo.

Carla skinęła głową.

Ledwie zniknął, drzwi rozwarły się i na salę, z dostojnością orszaku pogrzebowego, wkroczyła kolumna złożona z czterech mężczyzn w ciemnych garniturach i kobiety w wiśniowym kostiumie. Spoczęli za głównym stołem, a jeden z nich rozlał wszystkim wodę do szklanek. Następnie weszła policjantka z telefonem przy uchu i zajęła miejsce w przednim rzędzie, a zaraz po niej zasapana kobieta o obfitych kształtach, która wybrała krzesło tuż na wprost Carli, przesłaniając sobą cały widok. Jej oprószona łupieżem bluzka nadymała się przy każdym świszczącym oddechu.

Zupełnie jak w kinie, pomyślała Carla z rozdrażnieniem. Ludzie zawsze

muszą usiąść zaraz obok, choćby na całej sali nie było nikogo innego. Wstała i wróciła na swoje pierwotne miejsce z tyłu.

Minęło dziesięć minut. Członkowie komisji do spraw zwolnień rozkładali z powagą dokumenty i wymieniali uwagi ściszonymi głosami. W międzyczasie przyszli jeszcze jacyś ludzie. Gwar w małym pomieszczeniu narastał. Rozmowy. Pokasływania. Wycieranie nosów. Szuranie krzesłami.

Carla nerwowo skubała strupek na wierzchu dłoni, aż pokazała się krew. Przycisnęła kawałek chusteczki do rozdrapanej rany. Gdy podniosła wzrok, powietrze boleśnie utkwilo jej w gardle. On tu był. Na tej sali. Ciemna, złowroga postać odwrócona do niej plecami.

Wydał jej się wyższy, niż zapamiętała. Czarne włosy były teraz dłuższe i bardziej kędzierzawe, z tłustym połyskiem widocznym w świetle lamp. Spodnie zwisały luźno na zapadłym ciele, a skulone ramiona odgradzały go od niej.

Funkcjonariusz w zielonym mundurze wstał, by otworzyć sesję. Carla próbowała skupić się na jego słowach, lecz jej wzrok nieustannie uciekał w stronę zabójcy Jacka.

– Uczestniczył także w licznych incydentach z udziałem przemocy – wymieniał urzędnik beznamiętnym tonem, zaglądając do swoich notatek. – Z raportów służby więziennej wynika, że w ciągu dwóch lat pobytu w zakładzie zachowanie osadzonego uległo pogorszeniu. Skazany nie przejawiał jak dotąd oznak chęci poprawy i nie zgłosił się na żadne zalecane zajęcia resocjalizacyjne. Ponadto wielokrotnie znaleziono przy nim zakazane substancje...

Potem nadeszła kolej na opinię psychologa, tej zadyszanej kobiety. Ciasny stanik uwydatniał jej bulwiaste kształty.

– Mam poważne wątpliwości co do powrotu skazanego Toroi do życia w społeczeństwie na obecnym etapie. Jak już państwo słyszeli, osadzony często dopuszczał się wrogich i agresywnych zachowań wobec personelu więziennego, a, o czym wspomniał przed chwilą mój poprzednik, w ciągu ostatnich osiemnastu miesięcy jego skłonność do stosowania przemocy widocznie się nasiliła. Rozpoznano u niego cechy osobowości manipulacyjnej i dlatego w moim przekonaniu...

Wszyscy przemawiali w kierunku komisji, stojąc do Carli plecami. To do niej powinni się zwracać, a nie do pięciorga przypadkowych ludzi! Czy to kobiecie w wiśniowym kostiumie Toroa kneblował usta dłonią? Czy facet ze srebrną spinką na krawacie czuł jego cierpki oddech na twarzy? A ten z cienkim jak dłuto nosem i wklęsłym podbródkiem? Czy kiedykolwiek słyszał nad sobą jego wściekłe porykiwanie? U każdego z nich ściany ugiwały się pewnie od dyplomów i certyfikatów poświadczających ich wiedzę i kwalifikacje, ale gdzie w tym realne życie? Mogłaby im niejedno wyjaśnić. To ona miała z nich wszystkich najwyższe uprawnienia.

Nie mogła nie wziąć udziału w przesłuchaniu. Potrzebowała czegoś od wymiaru sprawiedliwości. Być może potwierdzenia, że Toroa cierpiał. Poczucia bezpieczeństwa na widok swojego oprawcy zakutego w łańcuchy. Może miała nadzieję zobaczyć oznaki skruchy. Usłyszeć przeprosiny. Lub przynajmniej uznanie ogromu wyrządzonej krzywdy i bolesnej pustki, na jaką została skazana – jeżeli nie od niego, to choćby od innych. W oczach prawa ona i jej rodzina przestali się już liczyć. Przesłanie pisemnego oświadczenia byłoby zbyt abstrakcyjne, zbyt akademickie. Przyszła więc osobiście jako przedstawicielka Jacka i Kevina. Jej obecność miała przypomnieć komisji, że rozpatrywane sprawy dotyczą losów ludzi, a nie tylko serii wydarzeń i zakrwawionych dowodów, które zdążyły z czasem wyblaknąć.

Panujący w pomieszczeniu zamęt stał się nagle nie do zniesienia. Dźwięki były za głośne, powietrze zbyt gorące. Poczowała, że odpływa myślami gdzie indziej – umiejętność, którą doprowadziła do perfekcji. Czy nie zapomniała wyjąć pulpetów z zamrażalnika, gdy śpieszyła się rano na autobus? Wracając, musi wpaść do warzywniaka po winogrona dla Kevina – te ciemne bez pestek, które najbardziej lubi. I koniecznie trzeba zajrzeć na pocztę zapłacić rachunek za prąd. Termin minął już dawno i w końcu jej go odłączą.

Toroa mówił wolno i niewyraźnie – jego słowa wpadały na siebie, a głos brzmiał nisko i groźnie. Mężczyzna stał przed komisją zgarbiony, odpowiadając na pytania mrukliwie i na odczepnego. Carla zawrzała z gniewu. Całą swoją postacią wyrażał pogardę i obojętność. Jego zachowanie urągało powadze sytuacji. Nie widziała nawet jego profilu, twarz została skryta pod rozczochraną grzywą. Miała prawo na niego patrzeć.

Fala jadu zapiekła ją w ustach. Chłopak prosił o warunkowe zwolnienie.

Na dźwięk tego słowa do Carli nagle dotarło z krystaliczną jasnością, co się tak naprawdę działo na sali. Dotąd nie dopuszczała nawet myśli, że faktycznie mógłby wcześniej wyjść. Coś takiego nie mieściło jej się w głowie. Urzędnik, który zadzwonił, powiedział, że to czysta formalność. A jednak ludzie za stołem zdawali się słuchać Toroi. Rozważać jego słowa. Brać taką możliwość pod uwagę.

Zachwiała się na krześle.

I nagle było po wszystkim. Ot tak.

Krótkie uzasadnienie. Żadnego budowania napięcia. Komisja od razu ogłosiła swoją decyzję. Wniosek Toroi został odrzucony.

Carla pierwsza opuściła salę, ale wychodząc w pośpiechu, wcale nie

czuła, że wygrała.



BEN

– Jebać ich wszystkich!

– Wyluzuj, Bennie. Spróbujesz znowu za rok.

– Odwal się, Randy. Ty i tak zostaniesz w tym zasranym syfie dłużej niż ja. Zanim wyjdiesz, ręka ci zdąży odpaść od walenia gruchy.

– Myślałem, że ci się nie śpieszy? Pamiętasz, co wczoraj mówiłeś? „Wszystko jedno, nic tam na mnie nie czeka”. Twoje słowa, stary, nie moje.

– Wiem, co powiedziałem. I o to mi chodziło. Niech te kutasy nie myślą, że mi zależy czy coś. Im się wydaje, że mają nade mną władzę. Gówna prawda.

– Ale ty jesteś pokręcony, człowieku.

Ben puścił ten wątpliwy komplement mimo uszu. Cały kipiał ze złości, bo po fakcie uświadomił sobie, że był o krok od czegoś, czego pragnął najbardziej. Nie poczynił najmniejszych wysiłków, żeby sprawić dobre wrażenie. Nie zapisał się przed przesłuchaniem na żadne zajęcia. Nawet nie zadał sobie trudu, żeby się uczesać. Sądził, że ma to gdzieś, lecz na widok tych napuszonych ludzi nagle przejrzał na oczy. Jego wolność zależała od jednego podpisu. Teraz nie mógł pogodzić się z utraconą szansą. W myślach był już na zewnątrz i paradował po dzielnicy.

– Dałbym wszystko za porządną imprezę. Z mnóstwem piwa, skrzydełek kurczaka od żółtków i fajek. I całym tłumem lasek. Ile tylko mógłbym obskoczyć.

Stali w rogu dziedzińca niewidocznym z mostka wartowników. Randy zerknął przez ramię i wysunął przed siebie zaciśniętą pięść.

– Stawiam.

– Ja pierdolę! To jest to, co myślę? – Ben skoczył, przejmując pakunek. – Skąd to wytrzasnąłeś?

Jego towarzysz postukał się w bok nosa.

– Specjalna dostawa.

– Rządzisz, stary – zapiał Ben, a na twarz wypłynął mu szeroki uśmiech.

– Trzymaj się mnie, brachu – odparł Randy z zadowoleniem i klepnął go w plecy, po czym dał nura za ścianę, żeby się sztachnąć.

– Wiesz co? – zawołał za nim Ben.

– Co?

– Na następnym przesłuchaniu wychodzę z tego szamba.

– Skoro tak mówisz, brachu.

– Mam pomysł, jak to zrobić.

Randy podniósł na niego już lekko szklane oczy.

– Spotkam się z tą babą. Dokonam po-pra-wy. Powiem jej, że żałuję tego, co zrobiłem. Typom z tej komisji zmięknie rura i niedługo Ben Toroa będzie balował, kiedy mu przyjdzie ochota, a nie tylko, jak jego ziomal coś załatwi!

Szanowna Pani, zwracam się do Pani w imieniu Bena Toroi,

który, jak Pani wiadomo, odbywa wyrok czternastu lat pozbawienia wolności w aucklandzkim zakładzie karnym o zaostrzonym rygorze. Zapewne pamięta Pani, jak niechętnie uczestniczył w spotkaniu naprawczym przed kilkoma laty. To powszechne w takich przypadkach. Często musi upłynąć dosyć dużo czasu, zanim sprawca ostatecznie uzna swoje przewinienie.

Niedawno osadzony Toroa wyraził skruchę z powodu popełnionych czynów i poprosił o możliwość kolejnego spotkania z Panią. Czujemy się tym gestem zbudowani i mamy nadzieję, że stanowi on zapowiedź zmian w nastawieniu więźnia – pierwszy krok do jego resocjalizacji. Skazany dopuścił się zbrodni w bardzo młodym wieku i nie można wykluczyć, że w ciągu pięciu lat pobytu w jednostce penitencjarnej dojrzał do przemiany.

Zrozumiemy rzecz jasna, jeżeli nie życzy sobie Pani mieć z nim więcej kontaktu. Mamy nadzieję, że czas, który minął od tragedii, której padła Pani ofiarą, pomógł Pani odzyskać utracony spokój. Gdyby jednak zechciała Pani wziąć udział w spotkaniu, zapewnimy wszelkie możliwe wsparcie. Bardzo proszę o rozważenie mojej prośby. Chcąc wykształcić zdrowe społeczeństwo, nie możemy skupiać się wyłącznie na karze, lecz przede wszystkim dążyć do naprawy.

Spotkanie odbyłoby się pod ścisłym nadzorem, a nasz doradca służący Pani pomocą przed i po widzeniu, według Pani woli.

Z góry dziękuję za odpowiedź.

Z poważaniem Jim Haslop dyrektor Zakładu Karnego w Auckland



CARLA

Poranek wstał rześki. Niebo było lodowatobłękitne, a powietrze ostre i siarczyste. Carla z ulgą czekała na nadchodzące chłody. Zima bardziej sprzyjała jej trybowi życia. Ukrywanie się w domu nabierało sensu, gdy na dworze panował ziąb, a zdawało się dziwnie żałosne w świetle letniego słońca.

Jej citroen, niezadowolony z tak wczesnej pobudki, krztusił się i gasł, pełznąc w górę po The Avenue. Nastawiła radio i spośród szumów i trzasków wyłowiała stację. Po chwili wewnątrz samochodu wypełniła lekka muzyka.

Droga wiała się pod stromym kątem, aby dalej przejść w Paremoro Road. Carla kiedyś często tu bywała. Co tydzień przyjeżdżała po zakupy na farmę „Groch z kapustą”, chlubiącą się sprzedażą najświeższych warzyw w mieście. Dobry, stary Roy z płomienną czupryną i jedną nogą krótszą po przebytych polio zawsze dorzucał coś ekstra do jej zamówienia i sprowadzał dla niej rzadko spotykane składniki kuchni śródziemnomorskiej. „Włoska odmiana pietruszki ma delikatniejszy smak i jest mniej szorstka od tej karbowanej” – mówiła. „Wierzę pani na słowo, pani Reid” – odpowiadał ze śmiechem, a na jego rumianych policzkach pojawiały się głębokie bruzdy. W końcu kupił nasiona i uprawiał ją specjalnie dla niej w zamian za słoiczek robionej przez Carlę salsa verde.

Do ust nabiegła jej ślinka na myśl o pikantnym sosie z siekanej pietruszki, *anchois*, ugotowanych żółtek, czosnku i oliwy z oliwek, podawanym jako dodatek do gotowanego kurczaka lub innych rodzajów mięs. Roy zajadał się nim całymi łyżkami!

Na zboczu, tam, gdzie kiedyś pleniły się dziko krzaczki dyni, stały teraz rzędy brązowo-szarych bloków – efekt wysiłków miasta włożonych w rozwój niedrogiego mieszkalnictwa, w ramach których kolejne połacie zieleni zanikały pod skupiskami smętnych, kanciastych brył. Urbanizacja postępowała szybko i bez planu, wyciągając coraz dalej swoje betonowe macki.

Z upływem drogi pejzaż stawał się jednak bardziej naturalny i bliższy wspomnieniom Carli – kępy drzew kordyliny, pomarańczowe gleby gliniaste, szaro-zielone krzewy manuki.

Wjechała na grzbiet wzgórza i zwolniła. W dolinie poniżej zalegały ciemne, posępne budynki więzienia Paremoremo.

– Żadnej elektroniki – rzekł strażnik w najczystszej cockney. Stał za ladą ubrany w przepisową zieleń, spod której wyzierały ostatnie litery wytatuowanego imienia.

Carla próbowała nie patrzeć na jego nos w koszmarnej odcieniu fioletu, ziejący rozwartymi porami.

– Może pani zostawić torbę w szafce. Pan też.

Carla podniosła wzrok na młodego mężczyznę za sobą. Miał uczciwe oczy i jasną, kręconą czuprynę. Uśmiechnął się w odpowiedzi. Na brązowym swetrze dyndała mu plakietka z napisem „Pracownik opieki społecznej”. Doskonale mogła go sobie wyobrazić w takiej właśnie roli. Jego przyjazna twarz pasowała do tego jak ulał.

– To muszę wziąć ze sobą – zwrócił się do strażnika, wskazując mały, czerwony plecak. – Mam tu wszystkie potrzebne dokumenty.

Drugi, chudy jak szczapa strażnik przepuścił Carlę przez metalową bramkę. Miał niesamowicie wystające kości policzkowe i osadzone blisko siebie oczy.

– Proszę usiąść. – Wskazał jej drewnianą ławkę. – Pan Haslop kończy spotkanie i zaraz do pani przyjdzie. – Skinął głową w kierunku drzwi z napisem „Dyrektor”.

– Czy jest tu gdzieś toaleta? – zapytała Carla ze ściśniętym z nerwów żołądkiem.

– Tu obok. Koedukacyjna.

Zamknęła się w kabinie bez okien. Ktoś zbyt hojnie rozpylił odświeżacz powietrza i w małym wnętrzu zalegał ciężki zapach plumerii. Bładożółte ściany były wyszorowane na błysk, aż odbijał się w nich zarys jej postaci. Na odwrocie drzwi wisiała odręcznie napisana notatka: „Proszę nie zostawiać włosów łonowych na desce. Z góry dziękuję. Anita”. Carla, na co dzień ukryta w bezpiecznym kokonie swojej prostej rutyny, doznała szoku tym, jaka rzeczywistość na zewnątrz potrafiła być brutalna i obcesowa.

Wróciła na korytarz i usiadła tam, gdzie wcześniej polecił jej strażnik. Ławka była twarda i gniotła ją w pośladki. Poprawiła się, szukając wygodniejszej pozycji. W pomieszczeniu panował chłód, a ona miała na sobie tylko cienki sweter. Trzeba było wziąć płaszcz. Zdarła z piersi nalepkę z napisem „Gość” i przykleiła znowu. Powtórzyła tę czynność tyle razy, że klej w końcu stracił przyczepność.

– Ja nie mogę, Bob. I co teraz? – dobiegł ją szept „Cockneya”.

– ...oficera z psem... u nas? – rozległ się głos drugiego strażnika. – ...

dzisiaj rano.

Carla nadstawiała ucha.

– Zadzwoń do Anity i zapytam.

– Ale dureń. Co mu strzeliło do głowy?

– Wszystko jedno. Trzeba to tylko zgłosić, a dalej niech kto inny się martwi.

– Siema, Anita, tu Ross. W porządku, no. Słuchaj, mamy mały wypadek przy wejściu. Czy ten psi inspektor ciągle jest u ciebie? Tak? Świetnie. Możesz nam go tu podesłać jak najszybciej?

Carla z zapartym tchem przysłuchiwała się rozmowie strażników, gdy nagle drzwi po lewej otworzyły się i na korytarz wyległa grupa ludzi. Jeden z nich, bardzo wysoki mężczyzna o rzadkich, siwych włosach i czarnych, krzaczastych brwiach ruszył w jej kierunku z wyciągniętą ręką.

– Pani Reid? Przepraszam, że musiała pani czekać. Jim Haslop. Proszę wejść.

Dyrektor więzienia miał serdeczny uśmiech i krzepki uścisk dłoni. Jego gabinet był przytulny, chociaż oszczędnie urządzony, z szerokim, drewnianym biurkiem po jednej stronie i granatową skórzaną kanapą po drugiej. Pod oknem stała donica z fikusem o przykurzonych liściach, a obok akwarium, w którym niemrawo poruszały się dwie złote rybki.

Carla przycupnęła na kanapie. Ktoś najwyraźniej siedział tam przed chwilą, bo poduchy były jeszcze ciepłe.

Haslop przedstawił jej planowany przebieg spotkania w równie rzeczowy, co uprzejmy sposób. W niczym nie przypominał hollywoodzkiego typu naczelnika więzienia, jakiego się spodziewała. Daleko mu było do Karla

Maldena z Alcatraz.

Kiedy wyjaśnił wszystko, odpowiednie dyspozycje zostały wydane przez krótkofalówki, a wszelkim procedurom stało się zadość, Haslop i Carla zapuścili się w głąb budynku. Podążali szybko zawiłym labiryntem korytarzy pod czujnym okiem kamer, co jakiś czas przystając w oczekiwaniu na szcęk kolejnych, zabezpieczonych alarmem drzwi. Carla z trudem dotrzymywała kroku długonogiemu Haslopowi.

W pokoju przeznaczonym na spotkanie znajdowało się jedynie sześć niebieskich krzeseł rozmieszczonych w równych odstępach w formie półokręgu. Naprzeciwko w ten sam sposób ustawiono krzesła z czerwonego plastiku. *Déjà vu*. Jakby te wszystkie lata wcale nie minęły.

Jeden za drugim nadciągnęło czworo innych uczestników: przełożony oddziału Toroi, pracownica opieki społecznej, więzienny psycholog i przedstawicielka ośrodka pomocy, ale nie Lorraine, która jakiś czas temu przeniosła się do Nelson.

Zaczął się od drobiazgowego ustalania zasad. Wyrażono taktownie sformułowane obawy i wydano ostrzegawcze zalecenia. Carla zdjęła sweter. Mimo że w pomieszczeniu znajdowało się tylko kilka osób, akustyka wnętrza powielala hałas, tworząc wrażenie przeludnienia. Natłok słów odbijał się od ścian i mącił jej w myślach.

Z ulgą usłyszała wreszcie szcęk otwieranych drzwi z prawej strony. Wstrzymała nierówny oddech. Tym razem mogła dobrze mu się przyjrzeć. Zamiast dawnego wyrostka w progu stał mężczyzna. Jego skóra straciła młodzieńczą delikatność, patykowata sylwetka nabrała masy i proporcji, a jabłko Adama zanikło w krzepkiej szyi.

Zbliżył się do czerwonego krzesła zdecydowanym krokiem bez

dziecięcego kolebania.

Nawet gdy pracownica socjalna już powitała wszystkich uprzejmym „karakia”, Carla wciąż nie mogła oderwać od niego wzroku. Chłoneła trzydniowy zarost, poszarpaną szramę na gładkim, brązowym policzku, tatuaż oplatający mu palce jak pajęczyna. Długie, smukłe palce – jedyna pozostałość z jego dawnego wcielenia. Te palce. Ten nadgarstek. Ta pięść.

– Ben przygotował oświadczenie skruchy. – Głos Haslopa przywołał Carlę do rzeczywistości. – Stacey je nam odczyta.

Pracownica opieki społecznej otworzyła tekturową teczkę na kolanach, odgarnęła z twarzy niesforny kosmyk włosów i zaczęła czytać:

– „Sześć lat temu skrzywdziłem Pani rodzinę. W tamtym czasie nie miałem świadomości swoich czynów. Bardzo tego żałuję. Zrozumiałem zło mojego postępowania. Podczas pobytu w więzieniu odnalazłem Boga. On teraz wskazuje mi drogę. Mam nadzieję, że kiedyś będzie Pani mogła mi wybaczyć”.

– Dziękujemy, Ben – rzekł Haslop. – To obiecujący początek. Aby prosić o wybaczenie, trzeba najpierw uznać swoją winę i to właśnie dzisiaj zrobiłeś. Bardzo dobrze.

W Carli nie drgnęły żadne emocje. Nic w tym „przełomowym wydarzeniu” nie brzmiało autentycznie. Słowa Toroi były tylko pustym tekstem na papierze. Nawet nie on je wymówił. I nie dostrzegła potwierdzenia w jego oczach. Nic w jego zachowaniu, nawet ta przesadna powaga, nie wyglądało szczerze.

– Pani Reid?

Grupa ludzi patrzyła na nią w napięciu. Toroa pstrykał kciukami o palce wskazujące.

Haslop nachylił się ku niej, by zachęcić ją do udziału.

– Pani Reid, czy chciałaby pani coś na to odpowiedzieć?

– Tak – odezwała się Carla po długiej chwili milczenia.

Haslop rozluźnił się, a Toroa zeszywniał.

Carla podniosła torebkę leżącą na ziemi. Bez pośpiechu odsunęła zatrząsk.

– Ja również mam ze sobą tekst do odczytania – powiedziała.

Twarcz Haslopa rozpułgodził uśmiech.

– A skoro czytamy sobie nawzajem swoje słowa – ciągnęła Carla – to może pan Toroa zechciałby to zrobić?

Dyrektor uniósł niespokojnie głowę, niepewny, czy słusznie wychwycił w jej głosie nutę sarkazmu. Spojrzał na przetartą, liliową kopertę w dłoni Carli. Kobieta wyciągnęła ją w stronę swojego oprawcy. Toroa podniósł i opuścił wzrok, ale nie sięgnął po list. Przejął go zaś Haslop, a następnie odkaszlnął.

– Czy to jest pani oświadczenie jako osoby pokrzywdzonej?

– W pewnym sensie – odparła Carla. – To kartka, którą mój syn Jack podarował mnie i mojemu mężowi w dniu, kiedy wyprowadzał się z domu do miasta. Myślę, że to może lepiej nakreślić panu Toroi obraz tego, jak jego uczynki wpłynęły na moją rodzinę.

Haslop spuścił oczy na kwiecistą okładkę.

– Mogę? – upewnił się, a na jej skinienie otworzył kartkę i przebiegł tekst wzrokiem, po czym podał więźniowi. – Ben.

Toroa łypnął, ale się nie poruszył.

– Ben?

Stacey z opieki społecznej dotknęła ramienia Haslopa.

– Jim – wyszeptała – Ben nie umie czytać.

Carla sądziła, że się przesłyszała.

Haslop poczerwieniał.

– No tak. Oczywiście. Zapomniałem. – Szybko zwrócił list Carli. – Pani Reid, Ben nie umie czytać. Więc może będzie pani tak uprzejma...

– Nie umie czytać? – wyjąkała Carla z niedowierzaniem. Każdy umiał czytać! Toroa był dorosłym człowiekiem. A może to jego kolejny podstęp, by zachować panowanie nad sytuacją i kierować nią po swojemu?

Ignorując wyciągniętą dłoń Haslopa, Carla spojrzała bezpośrednio na skazanego i na chwilę zaniemówiła. W jego krnąbrnych oczach malowało się teraz przygnębienie, a całe ciało jakby zwinęło się w pół. Z przygarbionej sylwetki nie biła już obojętność, raczej upokorzenie. Zawahała się, zbita z tropu, nie wiedząc, jak dalej postąpić.

Wszyscy czekali, co zrobi.

Zdenerwowana, zostawiając kartkę w dłoni Haslopa, zaczęła recytować z pamięci:

– „Kochani mamó i tato...” – Głos jej lekko drgnął. Zaciśnęła zęby. – „Kochani mamó i tato! Zawsze wierzyliście we mnie i wiele dla mnie poświęciliście. Bardzo wam za to dziękuję! Wyjeżdżam dzisiaj z domu z plecakiem pełnym waszej miłości. Nic więcej mi nie potrzeba. Postaram się przynieść wam dumę. Ucałowania, Jack. PS Nie martw się, mamó. Wrócę”.

Po długiej chwili ciszy Carla powiodła wzrokiem po twarzach sześciorga zebranych.

– To właśnie straciłam.

Wzrok Toroi znów stwardniał, a postura przybrała dawną arogancję, lecz przez moment Carla dostrzegła coś innego i pierwszy raz jej wrogość do niego osłabła.

Wyszła z więzienia parę godzin później. Gdy mijała bramkę do wykrywania metalu i brytyjskich strażników, ujrzała mężczyznę, który za nią wchodził – pracownika opieki społecznej w brązowym swetrze. Siedział przybity na ławce obok policjanta. Jego czerwony plecak leżał otwarty na ladzie obok plastikowej torebki wypchanej czymś, co przypominało uschłe, zielone liście.



CARLA

Wizyta w więzieniu zburzyła spokój Carli i zakłóciła jej skrupulatnie wyćwiczony rytm. W głowie miała mętlik sprzecznych uczuć, odgrzebanych wspomnień i bezładnych myśli.

Przez resztę tygodnia co rano pokonywała trasę w górę The Avenue i zjeżdżała na dno doliny, aż do posepnych, najeżonych kolczastym drutem murów, gdzie zawracała samochód w kierunku domu.

Któregoś dnia po tej bezsensownej pielgrzymce postanowiła zajrzeć do Kevina. Odwiedzała go zawsze po południu, ale tym razem wjechała na teren ośrodka ledwie po dziesiątej, z nadzieją, że pozwolą jej wejść.

Kevin przebywał teraz w skrzydle ze specjalistyczną opieką. W ciągu ostatnich miesięcy jedna za drugą dopadały go rozmaite choroby: powracające zapalenie płuc, zakrzepica żył, a niedawno infekcja pęcherza, która zaatakowała też nerki i wciąż nie chciała odpuścić.

Bez względu na to, w jakim stanie Carla go znajdowała – czy był agresywny, otepiały od leków, czy też po prostu słaby i skołowany – jej wizyta nigdy nie trwała krócej niż trzy godziny, a więc tyle, na ile maksymalnie pozwalał regulamin oddziału medycznego.

Najczęściej spędzała ten czas, siedząc przy łóżku męża i dziergając

robótki dla hospicjum. Czasami brała ze sobą jakiś magazyn do czytania, ale nigdy książki. Dawno przestała sięgać po powieści, niezdolna wczuć się w stan ducha fikcyjnych postaci.

– O, pani Reid. Nie spodziewaliśmy się pani tak wcześnie – powiedziała Lisi z kuchni, pchając przed sobą klekoczący wózek z herbatą. W czarnych, sprężystych loczkach zatknięty miała łososiowy kwiat hibiskusa.

Carla uśmiechnęła się do niej.

– Nie znacie dnia ani godziny. Mogę do niego zajrzeć? – Sama nie była pewna, po co przyjechała o tej porze. Wszystko stanęło na głowie.

Lisi błysnęła w uśmiechu śnieżnobiałymi zębami.

– Oczywiście. Trafiła pani akurat na herbatę.

– Napiję się z przyjemnością.

– Dobrze dziś pani wygląda. Coś się stało?

Carla wzruszyła ramionami.

– Umyłam włosy.

Lisi zachichotała.

– Nie, to coś innego. Biała, z jedną kostką cukru, prawda?

– Że też może pani spamiętać, jaką każdy lubi!

– Nie każdy. Tylko niektórzy – odparła Lisi i puściła oko, podając Carli fajansowy kubek z grubymi brzegami.

Gdy Carla wślizgnęła się do pokoju, Kevin głośno chrapał, a z każdym wydechem wokół lewego nozdrza nadymała mu się bańka śluzu. Delikatnie wytarła mu nos, uważając, by go nie obudzić, i pocałowała męża w czoło. Czuć było od niego zapach mydła hipoalergicznego leżącego na małej

umywalce. Przystawiła krzesło do łóżka.

Całe skrzydło zostało niedawno odnowione. Wystrój w tonacji spłowiałego różu zastąpiły beżowe ściany i ciemnobrązowe sprzęty. W porannym świetle Kevin wyglądał dziwnie blado. A może to wcale nie przez światło?

Na powierzchni letniej herbaty unosiły się plamki tłuszczu. Lisi dodała także świeżo upieczone ciasteczko. Było jeszcze ciepłe, a na wierzchu połyskiwała złota polewa z masła.

Carla otworzyła przyniesioną płócienną torbę i zakłęta pod nosem. Wzięła nie tę, co trzeba. Oczami wyobraźni ujrzała napoczętą robótkę porzuconą na podłodze pod kanapą, gdzie zasnęła poprzedniego wieczoru przy programie informacyjnym *Campbell Live*, by obudzić się dopiero na dźwięk śniadaniowego pasma *Firstline*.

Miała przed sobą trzy długie godziny, a tego dnia jak nigdy potrzebne jej było zajęcie.

Uporządkowała przybory toaletowe Kevina, wsunęła jego kapcie pod łóżko i przetrła nawilżaną chusteczką powierzchnię umywalki, usuwając z brzegów szare grudki zaschniętej pasty do zębów. Włączyła radio i natychmiast ściszyła głos. Znów ten rockowy łomot! Codziennie wyszukiwała stację muzyki klasycznej i codziennie ktoś ją przestawiał.

Rozejrzała się dookoła. W małej, standardowej przestrzeni niewiele już należało do Kevina. W trakcie ostatnich przenosin stracił kilka kolejnych drobiazgów, jego prywatny dobytek zbliżał się stopniowo do zera.

Przysunęła twarz do dzbanka na wodę z masywnego szkła i, zmrużywszy oczy, przez chwilę zabawiała się wybrzuszonym obrazem stojącej za nim fotografii. Następnie sięgnęła po oprawione zdjęcie trzech jasnych sylwetek.

Pod szkło zakradła się wilgoć i już lekko spłowiała od słońca rodzinę przesłaniała teraz mętna plama pary. Pośrodku stał rolnik – czerstwy, opalony, o wyrobionych mięśniach i wesołych oczach – z jedną ręką na ramieniu młodziutkiego syna, a drugą obejmując smukłą talię żony.

Carla opuściła fotografię i spojrzała na mizerną postać leżącą na łóżku przed sobą – nad zwiędłymi powiekami ciążyły fałdy przezroczystej skóry, a kruche ciało tonęło w miękkim materacu... Odchyliła się na oparcie krzesła i zamknęła oczy.

– Carla?

Podniosła głowę. W pokoju nie było nikogo.

– Carly.

To przecież nie mógł być... Nie nazwał jej tak od wieków.

W otwartych oczach Kevina migotało światło, jak gdyby ktoś ściągnął z nich mgliste bielmo.

– Kev!

– Co słyszać? – zachrypiał i spróbował się podnieść.

– Czekał, pomogę ci. – Podskoczyła, wsuwając jedno ramię w zagięcie jego łokcia, a drugim podtrzymując mu plecy. Był taki lekki. Przygarnęła do piersi jego wychudłe ciało, wstrząsnęła spłaszczone poduszki, po czym delikatnie ułożyła go z powrotem.

Westchnął i zamknął oczy.

– Jak się czujesz?

– Ja? Eee... W porządku.

– To dobrze, sardynko.

Sardynko! Chyba straciła rozum. Może jednak w końcu wpadła w szpony obłądu nieustannie czające się w pobliżu?

– No, może nie do końca – usłyszała swój własny głos.

Kevin zaniósł się kaszlem, bo w gardle zalegała mu gęsta flegma.

– Nie do końca – powtórzył.

W jednej chwili wszystko wróciło na miejsce i znów siedzieli razem na tarasie, popijając wino i dzieląc się przeżyciami minionego dnia.

– ...a kiedy dałam mu kartkę od Jacka, nie umiał jej nawet przeczytać. On nie potrafi czytać, Kev! Jest jak dziecko w ciele dorosłego. Boże, prawie mi było go żal. Wyobrażasz sobie? Musiałam zupełnie zwariować.

Kevin wyciągnął rękę pooraną siatką wystających, fioletowych żył i głębokich bruzd. Nie mogła się nasycić jego świadomym dotykiem.

– Jesteś nauczycielką – rzekł wolno.

– Byłam nauczycielką.

Mocniej zacisnął palce.

– Jesteś nauczycielką – powtórzył. W jego zimnej, kościstej dłoni pulsowało nierówne tętno.

Carli łzy spłynęły po policzkach. Czują niezmierną ulgę, zwierzywszy się wreszcie z trosk noszonych w sobie tak długo.

Wsunęła mu rękę pod plecy i znów przytuliła do siebie wiotkie jak piórko ciało, spragniona jego bliskości.

– Dziękuję ci, kochany. Dziękuję.

Wtedy wąła postać skurczyła się w jej ramionach, a lekki powiew oddechu zanikł jej na twarzy. Ułożyła go na poduszkach. W kącikach

spierzchniętych ust czał się słaby uśmiech.

Czekała, aż wokół nosa urośnie mu bańka wydzieliny. Nie doczekała się.

Prochy Jacka zostały złożone razem z trumną Kevina. Carla nie poddała ciała męża kremacji, tak jak zrobiła to z synem. Postanowiła pochować go w pięknym miejscu, w otoczeniu starych, dostojnych drzew i falujących traw. Chciała, by zostało po nim coś trwałego – prostokąt trawy odzwierciedlający jego potężną sylwetkę, skrawek ziemi skąpany w słońcu, który mogłaby odwiedzać i pielęgnować. Który by jej wysłuchał.



BEN

Jest coraz wyżej. Podchodzi mu do szyi. A on nie umie pływać i tylko rozpaczliwie próbuje utrzymać się na powierzchni ciepłej, czerwonej fali. Utonie. Ciecz wdiera mu się do ust. Nie pozwala oddychać. Zalewa uszy z głośnym jak grzmot hukiem. Chciałby krzyczeć, ale krew pochłania wszystkie dźwięki.

– Jezu! – Ben usiadł gwałtownie na pryczy. Pokryte pajęczyną drobnych pęknięć ściany z wolna się wyostrzyły.

Otarł twarz i obejrzał swoją dygoczącą dłoń. Żadnej krwi. Jedynie łyzy. Ten sam sen. To samo uczucie duszenia, jakie miał, kiedy jako dziecko skoczył na wariata z urwiska w Orewa, nie chcąc przyznać się przed kolegami, że nie umie pływać. Spadał coraz niżej, młóćąc w powietrzu rękami i nogami. Uratował go jakiś duży facet, strażak z zawodu.

Zanadto przerażony, by ponownie zasnąć, Ben oparł się o ścianę. Był na skraju wyczerpania. I nie tylko z braku odpoczynku. Ostatnia wizyta tej kobiety odebrała mu jedyny sposób na zabicie czternastu godzin pustki. Przyniosła ze sobą duchy, które doprowadzały go teraz do szaleństwa.

W snach zaczęła pojawiać się jego mama z krwią spływającą z uszu jak wtedy, gdy Ryan przebił jej bębenek. Zawsze kiedy mama i Ryan się kłócili, Ben i Lily chowali się pod łóżkiem, dopóki wrzaski nie ucichły. Pamiętał, jak

tulili się do siebie w tym ciasnym zakamarku przesiąkniętym strachem. Nic im nie groziło, dopóki Ryan zajmował się czymś innym, ale nigdy nie było wiadomo, co ich czeka po wyjściu z kryjówki.

Ben wydmuchał nos w bluzę. W Pari się nie płacze. Oby tylko nikt nie usłyszał. Już sobie to wyobrażał: „Toroa niby taki bojowy, a maże się w łóżku jak gówniarz!”.

Cel nie otwierano do ósmej. Ben szybko policzył w myślach. Jeszcze mnóstwo czasu. Nie miał już fajek ani dragów. Przez chwilę rozważał, czy nie zastukać w metalową rurę biegnącą wzdłuż tylnej ściany do sąsiedniej celi. Mógłby poprosić o przysługę. Zdobyć skręta albo coś innego, byle tylko dociągnąć do porannego obchodu. Przyszło mu jednak do głowy, że obudziłby cały blok i zrobiłaby się wielka chryja. Nie miał na to siły.

Wodząc oczami po celi, zawiesił wzrok na jednym ze swoich plakatów i wsunął rękę do spodni. Po dłuższym czasie dał jednak za wygraną. Laska z gołymi cyckami przestała na niego działać. Zszedł z pryczy, przywarł twarzą do ziemi i zaczął trenować.

– Jeden, dwa, trzy, cztery...

– Który kutas napierdala pompki w środku nocy? – zagrzmiął głos Srebrnego w korytarzu.

Nikt, komu życie miłe, nie zadzierał z szefem grupy Pari. Srebrny miał dojścia, żeby wykończyć ludzi zarówno w środku, jak i na zewnątrz. Krążyły słuchy, że ostatnio ściągął jakiegoś kabla, który uciekł do Australii.

Cisza.

– Słuchaj, ciulu, kimkolwiek jesteś, jak jeszcze usłyszę od ciebie choćby pierdnięcie, to rozjebię ci łeb na kawałki.

Pozostali zaczęli się budzić i chrobotać po swoich celach jak szczury na strychu. Ben wślizgnął się pod koc i zacisnął oczy. Z odrętwienia wyrwał go dopiero sygnał pierwszego przeglądu.

– Toroa.

– Tutaj.

– Toroa!

– Powiedziałem tutaj!

– Na widzenie.

– Co?

– Na widzenie – powtórzył strażnik niecierpliwie.

Bena przebiegł dreszcz podekscytowania, jak zawsze gdy coś zaburzało zwykłą monotonię. Nikogo się nie spodziewał, ale nawet gdyby w administracji zaszła jakaś pomyłka, już sam spacer do sali widzeń i z powrotem stanowił ożywczą odmianę od codziennej nudy. A jeżeli fuksem ktoś rzeczywiście postanowił go odwiedzić, to w grę wchodziły fajki, zioło, czekolada, a nawet jakieś porno. Pod warunkiem, że to nie jego świętobliwa siostra.

Ostatnia rodzina zastępcza, do której trafiła Lily – jej trzeci „stały” dom po śmierci mamy – okazała się lepsza od poprzednich. Wcześniej było raczej nieciekawie. Kiedy pierwszy raz pozwolono jej na wizytę, Ben przeżył prawdziwy szok. Wyglądała strasznie, wcale nie jak ich śliczna Lil, którą zapamiętał. Cerę miała podziobaną wściekle czerwonymi krostami, a kiedyś piękne włosy – utlenione na zielonkawą żółć. Fizyczne zmiany nie martwiły jednak Bena tak bardzo jak fakt, że straciła swój wewnętrzny blask. Ewidentnie działo się coś, o czym nie mogła rozmawiać. Nawet z nim.

Po tym, jak uciekła setny raz, umieszczono ją w tej nowej rodzinie, oby już ostatniej do pełnoletności. Przez jakiś czas wszystko wydawało się układać. W trakcie kolejnych wizyt trochę bardziej przypominała dawną siebie. Potem kompletnie jej odbiło. Wyglądało na to, że jej nowi rodzice byli jakimiś fanatykami religijnymi i Lily szybko też dała się wkręcić. Obrąła sobie za cel wyrwać Bena z mocy szatana. Kiedy przychodziła, w pewnym momencie aż nazbyt często, cały czas próbowała go nawrócić na ścieżki Pana.

Reszta jego rodzeństwa została rozproszona po całej Wyspie Północnej jak piegi na twarzy *Pākehā*. Ben stracił z nimi kontakt. Ktoś powiedział mu, że Anika popełniła samobójstwo, ale nie miał na to potwierdzenia. Zdobywanie informacji w kiciu było jak zabawa w głuchy telefon. Nigdy nie wiadomo, przez ile ust coś przeszło, zanim do człowieka dotarło.

Na szczycie schodów stał Haslop.

– Ben.

Personel Pari nigdy nie zwracał się do niego po imieniu. Ten dźwięk przeniósł go w inny czas i miejsce, do już dawno zapomnianego świata.

Szybko pojął, że nie chodziło o spontaniczną wizytę. To tylko Haslop. Nikt inny nie przyszedł.

– Ben, ponieważ spotkanie z panią Reid w zeszły miesiąc przebiegło dość pozytywnie, dostałem z zarządu prośbę o kolejne widzenie, tym razem na jej osobisty wniosek.

Ben zdębiał. Nie przypuszczał, że jeszcze kiedykolwiek ją zobaczy. Sądził, że taka naprawcza konfrontacja odbędzie się tylko raz i że to wystarczy, by na następnym przesłuchaniu zbajerować komisję do spraw zwolnień.

Haslop wsunął ręce w kieszenie i zakołysał się w przód i w tył.

– Chyba udało nam się uruchomić jakiś pożyteczny proces.

Ben wcale nie był tego pewien.

– Czy zgadzasz się, żebyśmy wyznaczyli kolejne spotkanie?

Ben wbił oczy w ziemię i kopnął nieistniejącego psa, po czym poderwał głowę i spojrzał wprost na Haslopa. Może bawić się dalej, jeżeli dzięki temu zdoła wcześniej stąd wyjść.

W GŁĘBI

Czasami wydaje mi się, Benjaminie Toroa, jakbyś był teraz jeszcze dalej niż tamtej marcowej nocy, gdy wiatr przywiał wiadomość o tobie. Obserwuję, jak twoje serce twardnieje coraz bardziej, i widzę, w którym zmierzasz kierunku. Postanowiłeś dbać wyłącznie o siebie.

Wcale mnie to nie dziwi. Nie ty jeden wybierasz taką drogę. I po części rozumiem, dlaczego się tu znalazłeś i jak działa na ciebie więzienie.

To przypomina mi wielu z naszych ludzi, którzy puścili się w pogoń za złudnym marzeniem Pākehā. Nasz wspólnotowy tryb życia z wolna się rozpadał. Iwi i hapu zostały rozczłonkowane na małe, pojedyncze rodziny. Kobiety i mężczyźni stali się odrębnymi jednostkami, a plemienna tożsamość straciła wszelkie znaczenie w betonowej nowoczesności. I jako odrębne jednostki, bez wsparcia, porady i odpowiedzialności, próbowali budować swoje życie w tym wymarzonym świecie.

Ale na co mogło się przydać doświadczenie pasterskie, łowieckie, stolarskie czy tkackie? Miejskie życie wymagało innych umiejętności i wielu z naszych uznano za „niewykwalifikowanych”, przez co znów musieli szukać słabo płatnej pracy, marząc na budowach, w fabrykach lub na łowiskach. I to oni pierwsi tracili zatrudnienie, gdy gospodarka osłabła. Inni, którzy nie mieli nawet tyle szczęścia, zasilali rosnące grono bezrobotnych.

Widzisz więc, jaka przyszłość rysowała się przed Māori. To wręcz modelowa historia masowego wysiedlania i szerzenia zarazy ubóstwa w całej okazałości.

A włókna twojego kulturowego kosza strzępiły się dalej, aż w końcu jego najważniejszy budulec – whānau – także się załamał. Urodziłeś się pośród tych zrzyneków, Benjaminie Toroa, bez niczego, co wskazywałoby ci drogę po

przecięciu pępowiny.

Czy rozumiesz, co staram się powiedzieć? Widzisz zależność, chłopcze?



CARLA

Ta sama sala i krzesła. Carla już znała ich system. Tyle że tym razem w pomieszczeniu roilo się od ludzi. Był to zwyczajny dzień widzeń.

Pomarańczowe drelichy na czerwonych krzesłach, cywilne ubrania na niebieskich, a dookoła czujne mundury khaki. Płakało dziecko, jakaś kobieta też. Automat ze słodyczami stał nieczynny w kącie z pojedynczą paczką chipsów o smaku śmietankowego serka ze szczypiorkiem zaklinowaną przy szybie. Mały chłopiec biegał dookoła rodziców, podczas gdy jego ojciec głaskał matkę po ręce i gapił się na jej piersi. Nad głowami rozmawiających przeleciała brunatna majna.

Było coś dziwnego w obecności ptaków w więzieniu. Carla zauważała je za każdym razem. Pomyślała, że musiały grać osadzonym na nerwach, swobodnie cyrkulując pomiędzy wolnością a zamknięciem. Niektóre nawet wybierały szczeliny w murach gmachu na uwicie gniazda.

W głębi sali z trzaskiem rozwarły się drzwi. Carla poczuła ostrą cierpkość w ustach. Pierwsze wrażenie zawsze było takie dojmujące.

Znowu stanął w progu. Ta sama twarz, palce, te same czarne oczy. „Twoja kolej, Ben”. „Spoko, Tate, nie chcę. Zostaw ją i spływajmy stąd”. „Co z tobą, stary? Wymiękasz?”.

Dzisiaj jednak te oczy zdawały się zmęczone.

Chłopczyk przy stole obok podskakiwał teraz na kolanie taty, a matka siedząca na niebieskim krześle śmiała się serdecznie. Carla zagryzła usta. Musiała zachować koncentrację.

Przygotowania do drugiej wizyty zajęły już mniej formalności. Widać poprawne zachowanie ich obojga uspiło obawy służb. Carla wiedziała, dlaczego Toroa przystał na te spotkania, ale on chyba nie domyślał się, co nią kierowało.

– Pewnie nie sądziłeś, że mnie tak szybko zobaczysz? – powiedziała, gdy zajął miejsce.

Strażnik cofnął się, a przestrzeń między nimi wypełnił gwar cudzych rozmów.

– Niech pani zrozumie. Przykro mi, że tak namieszałem, ale teraz nic na to nie poradzę – rzekł, skupiając wzrok na jej czole. – Ja znalazłem pocieszenie w Bogu, może pani powinna zrobić to sa...

– Ostatnio sporo o tobie myślałam – przerwała mu Carla, nie pozwalając się zdominować. – I o tym, czego od ciebie chcę. – Wbiła w niego twarde spojrzenie. – Odebrałeś mi wiele rzeczy siłą – mówiła zniżonym głosem tak, aby strażnik nie słyszał. – Ale ja trzymam się zasad. Zanim odbiorę sobie to, co moje, musimy wyrównać szanse.

Toroa odchylił się na krześle z dłońmi na szeroko rozstawionych udach i zadartą głową. Carla nie dała się nabrać na ten jego pokaz nonszalancji. Nie spuszczał z niej wzroku.

– Są między nami pewne dysproporcje, które trzeba najpierw zniwelować.

– Może pani mówić po angielsku?

Zagryzła usta.

– Chodzi mi o to, że walka musi być równa.

– Kto mówi o walce? Myślałem, że mieliśmy się pogodzić.

– Sześć lat temu wypowiedziałeś mi wojnę na twoich zasadach. Teraz przejdziemy na moje. – Nachyliła się. – Nie umiesz czytać.

– Wal się! – syknął cicho.

– Nauczę cię.

– Co...? – Na jego twarzy odbiła się mieszanina zdumienia i podebranej złości.

– Nauczę cię czytać. A wtedy porozmawiamy o tym, co to jest ból.

Ben przesunął językiem po przednich zębach.

– Nie potrzebuję litości. Popełniłem przestępstwo i odsiaduję wyrok.

– Łatwo ci to powtarzać, co? W każdym razie, nie robię tego dla ciebie...

Ben. – Zdołała nawet wymówić jego imię. Kiedyś już to zrobiła, w czasie ich pierwszego spotkania, ale wtedy to brzmiało niewłaściwie. Za bardzo ich do siebie zbliżało. Łatwiej było myśleć o nim w trzeciej osobie. Jak wiele zależało od języka! Wybór jednego słowa zamiast innego mógł całkiem odmienić rzeczywistość. – Robię to dla kogoś innego.

Zapędziła go w kozi róg. Wiedziała, na co on liczył dzięki tym spotkaniom, choć personel zakładu wydawał się tego nie dostrzegać. Grał o przepustkę na wolność przy okazji następnego przesłuchania. Cóż, będzie musiał mocno się postarać. To Carla miała w ręce jego bilet i ta świadomość dawała jej poczucie siły.

– Jak pani chce, pani Reid – powiedział wymawiając jej nazwisko z podlaną szyderstwem przesadą. – Niech mnie pani uczy.

Druga runda dla niej.

Kuchnia tonęła w mące. Lekki pył zalegał na wszystkim. Nawet migające na ekranie telewizora obrazy Nowego Jorku pod wodą przesłaniał biały szron, choć wcale nie łagodził dramatu szkód wyrządzonych przez huragan Sandy. Carla szybko zmieniła kanał, zostawiając ślady ciasta na pilocie.

Ogarnęła wzrokiem swoje dzieło. Nie do wiary, ile bałaganu może narobić jeden człowiek. Podrapała się w nos, a na policzku osiadła jej biała smuga. Wyjęła z miski resztę ciasta i rzuciła na umączoną ladę. Jeszcze jedna partia i można będzie gotować.

Ukręciła z ciasta długi, wąski wałek i posiekała go na kostki dwucentymetrowej grubości, a następnie, podważając widelcem każdą kształtną kluskę, wprawnym pstryknięciem kciuka przerzuciła je kolejno na bok.

Wsypała pierwszą turę do garnka z buzującym, osolonym wrzątkiem i czekała, aż blade ziemniaczane klocki ukażą się na powierzchni. Wówczas wydobyła je cedzakową łyżką i przełożyła do naczynia z dużą porcją oliwy z oliwek. Powtórzyła cały proces wiele razy, aż wszystkich sto jedenaście parujących *gnocchi* było gotowych.

Gdy skończyła, otworzyła okno, wpuszczając do wnętrza świeży podmuch wiatru. Wykonanie ulubionej potrawy Jacka zajęło jej pół dnia! Efekt – stos złotych, połyskliwych kluseczek polany bogatym sosem *bolognese* przyrządzonym wcześniej. Prezentował się imponująco, nawet jeżeli tylko ona sama mogła to stwierdzić.

Długotrwałe przygotowanie nie zabiło jej apetytu, nałożyła więc pokąsną

porcję do miseczki. Już zapomniała, z jaką niecierpliwością, mieszaniną gwałtownej potrzeby i podekscytowania, siadało się do stołu, kiedy człowiek był naprawdę głodny. Przez długi czas jedzenie stanowiło dla niej tylko zwykłą konieczność.

A wszystko przez to, że poprzedniej nocy śniło jej się, jak robi *gnocchi* na farmie. To był cudowny sen – pierwszy od bardzo dawna. Obudziła się jednak, zanim zdążyła włożyć do ust pierwszy kęs. Co za rozczarowanie! Następnego dnia od samego ranka warowała więc pod sklepem sieci Four Square, niecierpliwie czekając na otwarcie. Kupiła ziemniaki, jajka, mąkę, puszkę pomidorów, główkę czosnku, mięso mielone, kosmicznie drogą oliwę z oliwek oraz smukłą butelkę *shirazu*, w dziesięć minut wydając więcej pieniędzy niż zwykle przez cały tydzień. W drodze powrotnej zwędziła także pęczek świeżego rozmarynu z ogrodu obok parku.

Nie uwzględniła tylko czasu przygotowania, lecz mimo długiej pracy nie czuła się zmęczona. Wręcz przeciwnie, po raz pierwszy od lat miała wrażenie, że żyje. Przyrządzenie wymagającej wyobraźni i koncentracji potrawy wpłynęło na nią lepiej niż jakakolwiek terapia i pozwoliło jej wyrwać się z ciasnoty swojej schematycznej egzystencji. Zupełnie jakby wraz z ciastem wyrobiła i uformowała na nowo własny umysł.

Gnocchi były rewelacyjne. Każda pękata kluseczka rozpływała się w ustach. Ziemniaczana masa zawierała dokładnie tyle mąki, ile było trzeba do uzyskania idealnie miękkiej konsystencji. Uśmiechnęła się na wspomnienie wieczoru, kiedy Jack przyprowadził do domu kolegów, żeby nauczyła ich robić to słynne włoskie danie. Chłopcy dodali do ciasta o wiele za dużo mąki i wyszły im potem twarde, niezjadliwe cegiełki.

Wyjęła serwetkę zza dekoltu, rozpięła guzik w spodniach i wyciągnęła się na kanapie z głębokim, zadowolonym westchnieniem.

Zostało jeszcze ponad dwie trzecie. Co, na Boga, pocznie z całą resztą? Mingyu wyjechała na dwa tygodnie do Chin, a poza nią nie było nikogo. Nawet gdyby Carla podzieliła jedzenie na porcje, to i tak nie miała dość miejsca w zamrażalniku. Przepis obejmował osiem osób. W jej poprzednim życiu dziwnym trafem jakoś nigdy nie brakowało chętnych do jedzenia. Gromada nastoletnich chłopców potrafiła pochłonąć każdą ilość.

Nagle coś jej przyszło do głowy. Dziesięć minut później umieściła koszyk z dostawą pod przednim fotelem w citroenie. Mimo że trzykrotnie owinęła pudełko folią aluminiową, a potem jeszcze gazetą, żeby nie oziębło, to wewnątrz samochodu wypełnił smakowity aromat czosnku i rozmarynu. Na czerwonym świetle nachyliła się i ostrożnie uniosła serwetkę, jakby doglądała niemowlęcia. Chyba nic nie wyciekło.

Pogoda była piękna, zimowe powietrze iskrzyło krystaliczną świeżością. Zjechała z autostrady i zagłębiła się w uliczki Albany, mijając puby, kawiarnie, parkingi samochodowe oraz park, a następnie pokonała most i skręciła w lewo w The Avenue.

W chwili, gdy ruszyła pod górę, w lusterku wstecznym błysnął czerwono-niebieski kogut i nagły skowyt syreny zburzył jej błogi spokój. Zjechała na pobocze, aby przepuścić radiowóz. Widok policji ciągle napawał ją lękiem i budził bolesne skojarzenia.

Ku swemu zaskoczeniu, zobaczyła jednak, że radiowóz także przystanął. Carla zaklęła cicho. Miała zamiar oddać citroena do przeglądu. Pewnie któryś ze stopów przestał działać albo kierunkowskaz nie zaskoczył. Zgasiła silnik i czekała. Oby tylko nie trwało to długo. Bała się, że *gnocchi* wystygną.

Policjant bez pośpiechu włożył czapkę, po czym wolno i z namaszczeniem wysiadł z samochodu. Carla spuściła szybę.

– Dzień dobry, panie władzo – powiedziała, nadal wesoła po swoich kuchennych dokonaniach. – Czy coś jest nie tak?

– Czy coś jest nie tak? – powtórzył funkcjonariusz z przesadnym niedowierzaniem. – Właśnie straciła pani prawo jazdy. To jest właśnie nie tak.

Carlę oblała fala zimnego potu, a język zdrętwiał jej w ustach.

– Straciłam prawo jazdy? – wyjąkała zdumiona. – Ale...

Policjanci mieli być jej przyjaciółmi, jej sprzymierzeńcami. Stała przecież po dobrej stronie prawa.

– Jakie ograniczenie obowiązuje przy wyjeździe z Albany? – zapytał policjant.

– Pięćdziesiąt.

– Tak jest. A pani jechała dziewięćdziesiąt pięć. Dziewięćdziesiąt pięć! To będzie sześćset dolarów mandatu i zawieszenie w prawach kierowcy na okres dwudziestu ośmiu dni. Mogę prosić pani prawo jazdy?

W stanie kompletnego oszołomienia Carla pogrzebała w torebce. Ręce jej drżały, a palce błędziły nieskładnie, gdy wyłuskiwała dokument z plastikowej obwoluty. Wzrok przesłoniła jej mętna błona łez. Podała mu kartę z uśmiechniętym zdjęciem – pamiątką dobrych czasów.

– Tak mi przykro – zaczęła. – Nie wierzę, że jechałam tak szybko. Zawsze prowadzę ostrożnie. Nie jestem piratem drogowym. Po prostu chciałam jak najszybciej dostarczyć ten obiad do więzienia i... – Łzy spłynęły jej po policzkach, pochłaniając dalsze wyjaśnienia.

Funkcjonariusz zawahał się, lekko zbity z tropu, po czym wziął prawo jazdy i wrócił do radiowozu, aby potwierdzić jej dane. Oczekiwanie dłużyło

się Carli w nieskończoność, w miarę jak narastało w niej uczucie strachu i zawstydzenia. W jednej chwili z praworządnej obywatelki stała się potencjalnym zagrożeniem. Przekroczyła tę granicę nieświadomie.

– Nie chcę robić pani kłopotów. – Policjant znów stał przy jej oknie. – Nie mogę patrzeć, jak kobieta płacze. – Zaśmiał się z przymusem. – Tu na wzgórzu łapiemy głównie smarkatych wyścigowców.

– Nie, ja to rozumiem – wykrztusiła, znowu zalewając się łzami. – Panowie wykonują swoją pracę.

– Dobrze, umawiamy się na osiemdziesiąt dolarów mandatu i dwadzieścia punktów karnych*.

– Czyli nie stracę prawa jazdy?

– Nie. Ale proszę potraktować to jako ostrzeżenie. Chyba woli pani dotrzeć do celu w jednym kawałku, prawda?

Carla przytaknęła gorliwie, po czym jej wzrok padł na koszyk z jedzeniem na podłodze.

– Panie władzo, co pan powie na porcyjkę *gnocchi*?

– Proszę?

– Takich włoskich kluseczek.

Funkcjonariusz wpatrywał się w nią oniemiały.

Carla spłonęła rumieńcem.

– No tak... To ja już pojedę – powiedziała pośpiesznie i uruchomiła samochód. Resztę drogi przebyła z prędkością czterdziestu kilometrów na godzinę, wlokąc za sobą sznur zniecierpliwionych kierowców. Gdy dotarła do bram więzienia, *gnocchi* były już zupełnie zimne.

* W Nowej Zelandii prawo jazdy zostaje zawieszane na okres trzech miesięcy po uzbieraniu przez kierowcę 100 punktów karnych w ciągu dwóch lat (przyp. tłum.).



CARLA

Przez wiele dni Carla łamała sobie głowę, jak podejść do nauki Toroi. Wiedziała, że wszystko zależeć będzie od pierwszej lekcji. W ciągu jednej godziny będzie musiała zdobyć jego zaufanie, pobudzić ciekawość i nawiązać kontakt w zrozumiały dla niego sposób. Zaufanie. Ciekawość. Kontakt. Wszystko, co oznaczały te słowa, było jak najdalsze od tego, co wobec niego czuła. Musiała odsunąć na bok pamięć o krzywdzie, którą jej wyrządził, i skupić się tylko na tym, aby nauczyć go czytać. Motywy własnego działania nadal nie były dla niej całkowicie jasne. Może chciała dowieść, że potrafi zmienić tak straszliwe zło w coś pozytywnego, a tym samym nadać własnej egzystencji jakiś głębszy sens? Po części brało się to też pewnie z prymitywniejszej potrzeby, aby odzyskać kontrolę i nie pozwolić mu „wygrać”. Jej bronią były słowa. Kevin dał jej swoje przyzwolenie. Swoje błogosławieństwo. Samo to stanowiło wystarczający powód.

Przygotowania pochłonęły ją bez reszty, wypełniały każdą wolną chwilę i nadawały cel dniom. Życie Carli nabrało nowego kształtu i treści, jak stara poduszka po wymianie pierza. Wypożyczyła z biblioteki masę książek z zakresu innowacyjnych metod nauki czytania dla dorosłych, wypytała Haslopa o historię rodziny Toroi i przekopła prasowe archiwa w poszukiwaniu artykułów na temat młodzieży z trudnych środowisk.

Przeczytała powieść *Once Were Warriors* Alana Duffa o dramacie przemocy domowej w maoryskich rodzinach miejskich oraz pamiętnik czarnego Amerykanina George'a Dawsona pod tytułem *Life Is So Good* opisujący historię jego dziadka – niewolnika, który nauczył się czytać w wieku dziewięćdziesięciu ośmiu lat. Kupiła kolorowy papier do wykonania plansz, czekoladki na nagrody i segregator, który opatrzyła napisem „TOROA”. Zasyiała z książkami na kolanach i śniła o klockach z literkami, gigantycznych batonach milkybar i poliniowanych kartkach. Próbowwała rozmaitych technik na Mingyu, która okazała się posłusznym i cierpliwym królikiem doświadczalnym, a w kąpielni ćwiczyła recytację wierszy, aż tafelę lustra przesłaniał obłok pary, a woda robiła się zimna.

W końcu nadszedł czas na ich pierwszą lekcję.

BEN

Siedział naprzeciwko tej kobiety w małej salce przylegającej do więziennej kaplicy. Władze wstawiły do pomieszczenia grzejnik elektryczny, co było główną zaletą całej sytuacji. Przynajmniej posiedzi przez godzinę w cieple. W więzieniu chłód przenikał człowiekowi do kości.

Pani Reid zaskoczyła go, gdy poprosiła strażników, aby zdjęli mu kajdanki. Trzeba było najpierw uzyskać zgodę z góry, ale ostatecznie oswobodzono mu dłonie. Reid zaczęła wyciągać różne przedmioty z olbrzymiego kosza. Ben łypnął na niego podejrzliwie.

– Dostałeś jedzenie, które podrzuciłam ci w zeszłym miesiącu? – zapytała, kładąc przed nim wyszczerbioną, niebieską miseczkę i łyżkę.

Co ona znowu knuje?

– Tak czy nie? – Nie dawała się łatwo zbyć, to musiał jej oddać.

Owszem, dostał pudełko małych, zimnych klusek, ale nawet ich nie tknął. Pachniały niczego sobie, jednak Ben nie był na tyle, głupi, żeby dać się otruć. Kiwnął głową.

– Zarobiłam mandat za nadmierną prędkość, kiedy je tu wiozłam.

Ben uniósł brwi.

– Osiemdziesiąt dolarów.

Ma do niego pretensje?

Uśmiechnęła się. Ciasny drut ściskający Benowi wnętrzości zelżał odrobinę.

– Nadal nie mogę w to uwierzyć. Mało brakowało, a straciłabym prawo jazdy – ciągnęła, wciąż rozpakowując wiklinowy koszyk. – Przekroczyłam dozwoloną prędkość o czterdzieści kilometrów na godzinę. Właściwie czterdzieści pięć. Powiem ci, że to średnia przyjemność zobaczyć w lusterku miganie policyjnego koguta.

Benowi drgnęły usta od powstrzymanego uśmiechu.

– Mam nadzieję, że chociaż było warto. Kiedyś... – Przełknęła ślinę. – Mój syn uwielbiał to danie.

Ben odwrócił głowę, ale w ciasnym pokoju nie było o co zaczepić wzroku.

Kobieta wydobyła z kosza cztery kubeczki po lodach. Ben całkiem się pogubił. To miała być lekcja czytania?

Ustawiła je przed nim w rzędzie. Wanilia. Wanilia. Wanilia. Wanilia. Rozpoznał po obrazku na wieczkach – identycznej gałce białego kremu na każdym. Od wieków nie jadł lodów. Brakowało mu tego. Nawet nie tyle słodczy, co gładkiej konsystencji i wrażenia zimna na języku. W więzieniu

każde danie miało tę samą postać – wodnistą i lekko ciepłą.

– Pan Haslop powiedział, że teraz pracujesz w kuchni.

Rany, czy ona go śledziła? „Jestem pod wrażeniem twoich ostatnich postępów – pochwalił Bena Haslop. – Ten twój lewy sierpowy wreszcie się uspokoił. Zauważyłem też, że od kilku miesięcy nie wmieszałeś się w żadne wysoki”. Ben ziewnął. „Więc postanowiliśmy dać ci szansę w kuchni”.

Praca w kuchni łączyła się ze specjalnymi względami. Kucharze mieli osobną siłownię i mogli przez cały dzień przebywać poza celą. W dodatku dostawało się pierwszeństwo przy wyborze *kai*. Największa korzyść polegała jednak na tym, że w pracy czas szybciej płynął.

„Jak wiesz, to wielki przywilej, ale i odpowiedzialność – ciągnął Haslop. – Chcę powiedzieć, że okazujemy ci w ten sposób zaufanie, Ben. Mam nadzieję, że nas nie zawiedziesz. To może być dla ciebie kolejny krok w stronę wyjścia i powrotu do normalnego życia”.

Ben spojrzał na Reid. Siedziała pod światło, a drobne, sterczące włoski błękitnego swetra tworzyły wokół niej kosmatą aureolę. Nie wiadomo dlaczego przypomniał mu się luźny, musztardowy golf, który mama wkładała w zimne, deszczowe dni. Gdy Ben był mały, uwielbiał się wtedy do niej przytulać i tonąć w miękkich wełnianych fałdach. Poprawił się na krześle.

– Podobno praca w kuchni to najlepsza fucha.

– Tak – odparł Ben głośno, żeby ją przestraszyć, lecz jej twarz pozostała bez zmian. Obejrzał się na zegar. Chciał, żeby ta godzina już minęła.

Położyła na stole prostokątną kartkę.

– Wiesz, co to jest?

Ben wiedział. Nie mógł przeczytać tego, co było tam napisane, ale z

miejsca rozpoznał notatkę, którą przypinano do ściany w kuchni na początku każdego tygodnia. Więzienny jadłospis.

– Umiesz przeczytać którekolwiek z tych słów?

Nagle znalazł się znowu w klasie pana Roberta, a wszyscy się z niego śmiali.

– Ben?

Zmarszczył brwi i zacisnął szczęki.

– To musi być okropne uczucie nie umieć czytać – powiedziała Reid. – Zawsze czekać, aż inni objaśnią ci, o co chodzi.

– Nikt nie musi mi niczego objaśniać – warknął gniewnie.

Wyjęła żółtą książkę z jakimś starym facetem na okładce.

– Widzisz tego człowieka? – Wyciągnęła książkę w jego stronę.

Ben zrobił unik do tyłu. Wchodziła w jego przestrzeń.

Nie cofnęła ręki. Miała długie palce, tak jak mama.

– Ten mężczyzna nauczył się czytać, kiedy miał dziewięćdziesiąt osiem lat – rzekła. – Dziewięćdziesiąt osiem. Wyobrażasz sobie?

Ben wziął od niej książkę, żeby się odczepiła. Dziwnie leżała mu w dłoni. Była znacznie cięższa, niż się na oko zdawało. Spojrzał na śliską okładkę.

W niezrozumiały sposób nagle poczuł się ważny, jakby był jednym z tych bufonów w garniturach, którzy zawsze tak czysto pachnieli. Nigdy wcześniej nie miał książki w rękach. To znaczy prawdziwej książki. Pewnie, trzymał już ćwiczeniówki A4 w szkole, ale nie taką grubą, z mnóstwem stron zadrukowanych równymi, czarnymi literkami.

Przyjrzał się jej uważnie. Na moment zafrapowały go oczy starego typa

na okładce – błyszczące, skierowane śmiało przed siebie.

– Ty też możesz się nauczyć, Ben. Jesteś na to wystarczająco mądry, co do tego nie ma wątpliwości.

Z całej siły wbił stopy w ziemię, żeby nie dać się tej kobiecie wciągnąć do jej świata. Słowa takie jak „mądry” i „objaśniać” działały na niego jak magnes.

– Pomyślałam, że dzisiaj zaczniemy od sałatki owocowej.

Ale jazda! Ta baba ma nierówno pod sufitem.

– Od przepisu na sałatkę owocową. Takiego, który możesz potem wykorzystać w kuchni. – Zdjęła pokrywki z kubeczków.

Ben zajął do środka. Nie lody.

– Niestety nie wpuściliby mnie z nożem – stwierdziła, przekrzywiając głowę – więc musiałam pokroić je wcześniej.

Ben prychnął śmiechem. To by dopiero było, gdyby przyniosła tu nóż. Szybko znowu spowaźniał.

Podawała mu łyżkę.

– Znajdź proszę ananasa i wrzuć do dużej miski.

Nachylił się i rozpoznał pojemnik z kostkami ananasa. Były miękkie i pomarszczone. Przesypał je do miski. W tym czasie kobieta podniosła w górę planszę.

– Ananas. Zobacz, jak się to pisze. A-N-A-N-A-S. Patrz na mój palec, kiedy wymawiam litery.

Czy jej się wydaje, że on ma pięć lat?

Z ostentacyjną niechęcią zerknął przelotnie na tablicę.

– Teraz banan.

Nie pamiętał już, kiedy ostatni raz jadł twardego, słodkiego banana. W więzieniu nie dawano bananów. Raz na miesiąc zdarzało się, że dostawali na śniadanie miseczkę „sałatki owocowej”, ale to były tylko kawałki brzoskwini z puszki z kilkoma cząstkami zwietrzałego jabłka.

– B-A-N-A-N.

Ben zwrócił oczy do sufitu.

– Sałatka, twoja mać – wymruczał cicho zaciśniętymi ustami.

– Dobrze. Dalej jabłka i gruszki.

Jabłka i gruszki. Zaczynał robić się głodny. Poza tym nigdy nie próbował świeżego jabłka czy gruszki.

Niefrasobliwie przerzucił zawartość dwóch pozostałych kubeczków. Pachniały jak inny świat – świat zielonej trawy, niebieskiego nieba i słońca.

– Widzisz, że w jabłku i bananie powtarza się ta sama litera? – spytała, pokazując. – Ale wymawiamy ją nieco inaczej. – Powtórzyła słowa, do przesady rozciągając usta. – Wiem, że to dziwne, lecz angielski już taki jest. Zawsze nam coś utrudnia.

Nam. Ben poczuł mrowienie na skórze.

Kobieta rozwinęła duży rulon papieru. Gdy wygładziła brzegi, Ben ujrzał mnóstwo zabawnych rysunczków rozrzuconych beładnie po powierzchni. Niektóre były tak małe, że ledwo mógł je rozpoznać. Trudno było patrzeć na tę pstrokaciznę, obrazki skakały mu przed oczami.

– Użyj lupy – powiedziała, podając mu grube, okrągłe szkło z rączką.

Ben westchnął i wziął od niej lupę. Mogła mu się przydać w więzieniu.

Spróbuj ją zakosić, gdy Reid nie będzie patrzeć.

– Trzymaj ją nad plakatem.

Z udawaną przesadą przyłożył szkło do papieru. I nagle, jak gdyby pod działaniem czarów, rysunki się powiększyły. Zobaczył psa w pomarańczowej budzie. Różowy domek w chmurach. Mnóstwo symboli *koru*. Piłkę do rugby. Jakieś czarne, prostokątne napisy.

– Postaraj się odszukać słowa z sałatki.

Domyślał się, że to podstęp. Wredna baba próbowała go tylko upokorzyć. Opuścił lupę na stół.

– Gdzieś na tym obrazku ukryte są owoce – powiedziała, nie zwracając uwagi na jego opór.

Krew zaszumiała mu w żyłach. Reid chciała go zmanipulować, ale on nie będzie bawić się w kotka i myszkę.

Wtedy to zobaczył, tuż pod SpongeBobem Kanciastoportym.

– Banan! – wykrzyknął, podskakując w miejscu.

Reid się roześmiała. Wyglądała jakoś inaczej. Miała najbielsze zęby, jakie w życiu widział, ułożone w dwa równe rzędy niczym klawisze pianina.

Usiadł i znów się nachmurzył.

– Postaraj się znaleźć ananasa – podsunęła, także poważniejąc. – A na koniec spróbujemy sałatki. Zjesz swoje własne słowa – dodała z uśmiechem.

W GŁĘBI

„Skup się!” – krzyczę. To ważny moment, Benjaminie Toroa. Nadal mnie nie słyszysz, więc po co podnoszę głos? Staram się na wszelkie sposoby dotrzeć do ciebie w nocy, ale twoje sny mnie nie dopuszczają. Chociaż, jak zgaduję, trudno jest śnić o rzeczach, o których się nie ma pojęcia. A ty nie wiesz jeszcze, od jak wielkich ludzi pochodzisz. Nie zdajesz sobie sprawy, że w twoich żyłach buzuje ich krew, a w twojej duszy drzemią ich dążenia – nasiona czekające, aby wykiełkować.

W życiu naszego ludu tyle się zmieniło. Czasem nawet ja mam wrażenie, że filary mojej historii chwieją się pod naciskiem tych zmian. Nasi ludzie zostali tak dalece wtłoczeni w tę nową rzeczywistość, że w chwilach największego zwątpienia zastanawiam się, czy jest jeszcze droga powrotu. Gdybyś teraz, Benjaminie, obejrzał się przez ramię, trudno by ci było dostrzec ślady twojej przeszłości.

Żyjesz w świecie, gdzie umiera zbyt wiele dzieci. I nie tylko z powodu ospy. Zbyt wiele kobiet kryje się po kątach i nie protestuje. Są takie, które piją po to, aby zapomnieć, inne przytępiają zmysły oparami ze szklanej lufki, a bierność i odurzenie czynią z nich inne osoby. Nie zawsze tak było. Przemoc łatwo lęgnie się w domach biednych, wypędzonych i osamotnionych. I pęcznieje jak pozostawione bez nadzoru drożdże, przybiera na sile i pochłania wszystko.

Ale czy mam zrezygnować? Nigdy! Jaka matka porzuciłaby swoje dziecko? A ty jesteś moim dzieckiem. Naszym dzieckiem. Dzieckiem wszystkich Māori.

Nie możemy się troszczyć tylko o tych dobrych. Trwam przy tobie, Benjaminie, bo po każdej nocy wschodzi słońce, po każdej zimie następuje

wiosna – tak samo ta kobieta Pākehā zrobiła dziś krok naprzód. Nigdy cię nie opuszczę, bo dostrzegłam w tobie tłące się światełko, które czeka, aż je rozpalisz.



BEN

Sos ściekł Benowi po brodzie. Mężczyzna nabił na widelec kolejny kawałek wołowiny. Muzyka dudniła. Była niedziela. Siedzieli z Owenem i Marvelle'em w dziupli tego ostatniego, pałaszując wspólnie to, co przynieśli każdemu z nich jego odwiedzający. Marvelle wysunął język i zlizął skrawek tłustego makaronu, który przylgnął mu do policzka, wpakował sobie do ust jeszcze jedną łyżkę sosu chop suey i przekazał plastikowe pudełko Owenowi.

Marvelle odsiadywał osiem lat. Ben nie wiedział za co – Marvelle nigdy o tym nie wspominał – ale lubił gościa. Świetnie grał w karty, miał wredne poczucie humoru i fantastyczny głos. Potrafił genialnie naśladować Vanille Ice'a. Ponadto był zbudowany jak czołg. Odkąd Ben został dopuszczony do najbliższego otoczenia Marvelle'a, nikt go już nie zaczepiał.

– Co tam masz, stary? – Marvelle zerknął na paczkę Bena.

– *Ossobuco* – odparł Ben, starannie wymawiając sylaby.

– Ozo co?

– O-ssso-buuu-co, głąbie – powtórzył Ben. – To jest... eee... duszona cielęcina. „Osso” po włosku znaczy „kość”, a „bucu” to „dziura”. „Dziura w kości”, bo najlepszy ze wszystkiego jest szpik, brachu. – I z głośnym siorbaniem wysł galetkę ukrytą w szczelinie kości. – Chcesz trochę? –

Podał koledze pudełko.

– Odkorbiło ci, stary. – Marvelle skrzywił się z niesmakiem. – Całkiem ześwirowałeś, odkąd spotykasz się z tą kobietą. To ona wyssała ci z mózgu cały jebany szpik. – Popukał się w czaszkę.

Leżący na pryczy Owen wybuchnął szyderczym śmiechem, opluwając wszystko dookoła.

– Przy następnym widzeniu poproś o „mokry pokój” – zarechotał. – Dla państwa Ozobuko.

Ben przesadził celę i złapał go za gardło.

– Stul mordę.

Owen stęknął.

– Przestań, Ben! – krzyknął Marvelle. – Udusisz go. – Chwycił Bena za bluzę. Ben nie spuszczał wzroku z pociemniałej twarzy Owena. Marvelle zarzucił mu łokieć na szyję i szarpnął gwałtownie do tyłu, aż obaj zwalili się na podłogę. Owen wstał, kaszląc i z trudem łapiąc oddech. Zatoczył się, lecz po chwili odzyskał równowagę i wyszedł chwiejnym krokiem.

Marvelle wskazał na drzwi.

– Wynocha! – powiedział do Bena. – Spieprzaj z mojej nory. Ja cię nie poznaję, człowieku. Kompletnie odleciałeś.

W swojej celi Ben zaklął, zaciskając pięści i mrużąc gniewnie oczy. Co się z nim działo? Miał wrażenie, że w głowie zagnieździła mu się obca istota. Kim był? Sam już nie wiedział. I czemu tak go wpieniało, gdy chłopaki nabijali się z Reid?

Początkowo to była tylko podpucha, część wielkiego planu mającego wyciągnąć go z ciupy. Musiał się pilnować, żeby jej nie odszczekiwać i z

największym wysiłkiem zgrywał potulnego i uważnego. Później zaczęła przywozić mu jedzenie. Najpierw myślał, że usiłuje go otruć, ale po tym, jak przetestował dostawy na kilku świeżakach, dał się w końcu przekonać. Ekstra *kai* to jednak ekstra *kai*, a w więzieniu nigdy nie było go dosyć. Poza tym pierwszy raz próbował takiego żarcia. Naprawdę solidna szama.

Z czasem udawanie stało się coraz łatwiejsze, a niekiedy musiał wręcz sobie przypominać, że to wszystko lipa. Wcielił się w swoją rolę jak aktor tak głęboko, że powoli stracił rozeznanie, który z nich jest prawdziwym Benem Toroą.

Dziwne rzeczy nastąpiły, kiedy nauczył się czytać. Jego złość przygasła jak wypalona świeczka, z której został jedynie krótki knot w kałuży roztopionej urazy. Bójki już go nie interesowały, bo podniecenie, jakie dawniej czerpał z mordobicia, teraz dawało mu nowo poznane słowo.

– Głupia dziwka! – Trzasnął pięścią w ścianę, miażdżąc sobie palce. Skrzywił się, ale nie tyle z bólu, co z wściekłości. Wszystko przez tę prukwę. Zwabiła go w swoją pajęczynę i omotała lepką nicią, a on, dureń, niczego nie zauważył. Teraz podpadł dwóm najlepszym kumplom. Dosyć tego! Od przyszłego tygodnia koniec z wizytami.



CARLA

W drodze do Paremoremo Carla zatrzymała się w Albany, bo dostała e-mail z informacją, że książka do gramatyki, którą zamówiła za radą bibliotekarki, czeka na odbiór. Znajomość niektórych reguł zatarła się już Carli w pamięci i kobieta potrzebowała odświeżyć sobie pewne rzeczy, zanim zacznie ich uczyć.

Przystawiła dłonie do przeszklonej fasady lśniącej w porannym słońcu i zajrzała do środka. Ktoś kręcił się po sali, zapalając światła i uruchamiając komputery. Do otwarcia zostały cztery minuty.

Budynek i dziedziniec biblioteki wyglądały nowocześnie i schludnie na tle poszarzałego przedmieścia. Korzenie drzew nie zdążyły jeszcze naruszyć płyt chodnika, a spojenia między szerokimi oknami wciąż utrzymywały nieskazitelną biel. Stojący przed wejściem brązowy posąg koguta na przechylonym krześle otaczały równo przycięte krzewy bukszpanu. Carla pogładziła naturalnych rozmiarów ptaka, przesuwając palcami po łuskach misternie wykutych piór składających się na rozpostarte skrzydła, a potem dotknęła otwartego dzioba. Był naturalnie ostry, jego ukłucie sprawiało niemal przyjemność. Niezwykłe, z jaką precyzją twórca tej pięknej rzeźby zdołał uchwycić rzeczywistość.

Dziewiąta. Drzwi biblioteki rozsunęły się z cichym szmerem.

W środku nikła woń perfum bibliotekarki mieszała się ze znajomym, ukochanym przez Carlę zapachem starej skóry, nieruchomego powietrza i wiekowego papieru.

Odebrała zamówioną książkę i wyszła w światło poranka. Do więziennej lekcji została jej jeszcze godzina, więc – zwabiona aromatem świeżo mielonej kawy i ciepłego chleba – przecięła ulicę na skrót w kierunku piekarni.

Zwykle nie pijała kawy na mieście. Za blisko tę samą cenę mogła kupić w supermarkecie słoik rozpuszczalnej, który wystarczał jej na miesiąc. Ostatnio zrobiła się jednak bardziej niefrasobliwa, pozwalając sobie na łamanie zasad, które sama ustanowiła.

– Dzień dobry. – Zza gabloty pełnej lukrowanych drożdżówek, ciastek księżniczki Luizy i morelowych babeczek wyłonił się Chińczyk o pomarszczonej twarzy.

– Proszę *latte* na jednym *espresso* i bułkę z rodzynkami.

Wiele punktów usługowych prowadzili teraz Azjaci. W ciągu ostatnich lat sporo się zmieniło, nie tylko w życiu Carli. Sukno Nowej Zelandii tkąło się na nowo wraz z napływem coraz większej liczby cudzoziemców. Szczególnie chińska imigracja wzbudzała rosnącą niechęć Nowozelandczyków, których drażnił widok drogich samochodów i markowych ubrań w obliczu trudnej sytuacji gospodarczej. Carla również wcześniej żywiła podobne obawy, ale po poznaniu swojej uroczej sąsiadki przekonała się, jak bardzo były na wyrost.

Trzymając w dłoni parujący papierowy kubek, usiadła na ławce w Kell Parku i drugą ręką przekartkowała pożyczoną książkę. To było dokładnie to, czego potrzebowała – proste wyjaśnienia, gruby druk i liczne przykłady. Nie

zamierzała jednak pokazywać jej od razu Benowi. Na dziś przygotowała coś innego. Był już na to czas.

Znikąd przypała się pojedynczy kogut i zaczął grzebać w ziemi u jej stóp. Był stary i zabiedzony, o wyliniałych piórach i przerzedzonym czubie. Pewnie niedobitek po zamieszkującej kiedyś ten park populacji bantamek.

Kilka lat wcześniej przez lokalne gazety przetoczyła się burzliwa dyskusja o „kurzym problemie” Albany. Wybijać je czy nie? Okoliczni mieszkańcy skarżyli się na hałas i brud związane z rosnącą liczbą ptaków, a media donosiły o desperackich działaniach sfrustrowanych brakiem snu ludzi. Makabryczne odkrycie poćwiartowanego kurczaka wzbudziło zgorszenie w kręgach ekologów i nasiliło żądania interwencji władz. W tamtym okresie Carla nie mogła sobie wyobrazić Albany bez kur. Odkąd sięgała pamięcią, były nierozłącznym elementem krajobrazu – kręciły się wokół restauracji, supermarketów, domów, a nawet autostrady. Zresztą to właśnie kogut stanowił symbol miasteczka i widniał na jego herbie od czasów, gdy znajdowały się tu tylko padoki, sady i stara, zapyziała mleczarnia sprzedająca największe gałki waniliowo-karmelowych lodów w całej okolicy.

Carla westchnęła. Wszystko się zmieniało. Żeby przetrwać, człowiek musiał nieustannie się dostosowywać.

Słońce wyjrzało zza chmur i objęło ławkę łagodnym ciepłem poranka. Ostatnie miesiące fundowały Carli ciągłą huśtawkę nastrojów. Lekcje z Benem przebiegały w nierównym i trudnym do przewidzenia tempie. Czasami wracała do domu przepełniona energią i dumą z postępów swojego ucznia. Bywały jednak chwile, kiedy ogarniały ją gniew i zniechęcenie jego wiecznym oporem i arogancją. Aż pewnego dnia samodzielnie zrobił czekoladowy budyń błyskawiczny według wskazówek, które przykleiła na

opakowaniu. To był ogromny sukces. Nikły promień nadziei przebił wreszcie pancerz jego zawziętej pozy. Tego dnia Carlę opuściły cynizm i nienawiść. Po raz pierwszy naprawdę uwierzyła, że jej misja może przynieść owoce.

Jej radość była jednak przedwczesna. W ciągu następnych tygodni Ben znów popadł w zubożenie, a wszystko, co z takim trudem udało jej się osiągnąć, szybko przeciekało przez palce.

Nadal przywoziła mu posiłki – *risotto*, potrawkę z jagnięciny lub zupę *minestrone* w słoiku. Jedzenie przyjmował łatwiej niż nauki. Planowanie i przyrządzanie tych potraw pochłaniało większość wolnego czasu Carli, pozwalało jej zająć myśli i odżywić tak długo zaniedbywane ciało. Każde kolejne danie wzmacniało ją fizycznie i psychicznie.

Po kilku miesiącach temat jedzenia jednak się zużył i musiała znaleźć inne pole i stosowne środki, aby przykuć uwagę swojego teraz już dwudziestojednoletniego wychowanka.

Przypomniawszy jej się czas, kiedy Jack był w szkole i też nie wykazywał chęci do czytania. Z racji ograniczonego wtedy wyboru książek dla dorastających chłopców przeczesywała biblioteki i antykwariaty w poszukiwaniu powieści, które mogłyby konkurować z budowaniem domków na drzewach, bitwami na proce i zabawą w strumieniach. Z taką samą determinacją próbowała teraz dotrzeć do Bena.

W tym celu poświęcała niekiedy całą przydzieloną godzinę na rozmowę o tym, jaka „chryja” zdarzyła się na spacerniaku albo który z więźniów najpewniej „kapował”. Z czasem te luźne pogawędki przestały przypominać przesłuchania, gdzie na każde pytanie padała jednosylabowa odpowiedź, a przerodziły się w bardziej spontaniczne wymiany zdań, dzięki którym Carla zyskała pewien ogląd jego świata. Była to rzeczywistość zupełnie jej obca, a jednak poniekąd znajoma. Miała doświadczenie w wychowaniu syna i

zaczęła sobie uświadamiać, że chłopcy, w więzieniu czy na wolności, biali czy brązowi, w gruncie rzeczy niewiele się różnili. Nadal widziała w Benie dziecko, chociaż był teraz w pełni rozwiniętym mężczyzną. Mimo licznych późniejszych spotkań zachowała w pamięci obraz nastolatka, którego zobaczyła po raz pierwszy w tamten marcowy wieczór – w dniu, kiedy czas się zatrzymał.

O ile Carlę dręczyły czasem wątpliwości co do sensu ich wspólnej nauki, o tyle Haslop był wprost wniebowzięty. Personel więzienia zauważył wyraźne zmiany w zachowaniu Bena. Chłopak stał się mniej agresywny, pokorniejszy i bardziej zmotywowany. I choć dalej udawał, że mało go te lekcje obchodzą, to robił się zły i markotny, kiedy z jakichś względów trzeba je było odwołać.

Carli pozostało wierzyć w te drobne oznaki nadziei, uzbroić się w cierpliwość i studzić własne oczekiwania. Miała jeszcze wiele do zdobycia.

Po czterech miesiącach nauki zaczęła czytać mu na głos książkę *Life Is So Good* – historię George'a Dawsona, człowieka, który nauczył się czytać w wieku dziewięćdziesięciu ośmiu lat. Przeznaczała na to ostatnie dziesięć minut każdej lekcji.

W miarę rozwoju opowieści Carla zauważyła, że sama także czeka na tę końcówkę. Gdy ona czytała, a Ben słuchał, tworzyła się między nimi niespodziewana bliskość. Wybrała tę książkę, aby mu pokazać, że nie tylko on zмага się z wyzwaniem i że nigdy nie jest za późno na naukę. A jednak nie bez wzruszenia przychodziło jej czytanie na głos relacji i przemyśleń autora na temat doznanych nieszczęść. Przykład człowieka, który przez całe życie cierpiał z powodu wszechobecnego rasizmu, a mimo to potrafił zachować tyle wiary w ludzką naturę, sprawił, że coś w niej drgnęło.

Urwała kawałek bułki z rodzynkami i rzuciła na ziemię. Rozległo się

gromadne furkotanie skrzydeł i u jej stóp wzbija się chmura kurzu, gdy z drzew sfrunęły majny i wróble, a kogut wydał urywany skrzek.

Carla podskoczyła, przewracając kawę i upuszczając bułkę, która w okamgnieniu została rozniesiona na strzępy. Z bijącym sercem bezradnie pocierała paskudną, brunatną plamę z przodu bluzki. Nie mogła tak się pokazać w więzieniu. Trzeba było wrócić do domu.

Czterdzieści minut później wpadła zdyszana na pamiętną salę widzeń. Pokój obok kaplicy, który zwykle służył im za klasę, był tego dnia zajęty. Władze odnosiły się już do nich mniej rygorystycznie. Ben dał wystarczające dowody swojej dobrej woli i przestał być traktowany jako zagrożenie.

Carla rozejrzała się wokół, rozpoznając kilka widzianych wcześniej twarzy. Wielki facet z *moko* i jego dziewczyna w zaawansowanej ciąży posłali jej uśmiechy na powitanie.

Dziesiąta czterdzieści. Carla wygładziła płócienną spódnicę, która kilka miesięcy temu wisiała jej luźno na biodrach, ale przy tak intensywnym pieczeniu i gotowaniu... Cóż, zrobiła się wręcz trochę ciasna. Nawet jej zwiędłe piersi odzyskały kształt i wydymały teraz szarą, jedwabną bluzkę.

Za kwadrans jedenasta. Ben się spóźnił.

Zaczęła się niepokoić. Był wtorek. Ta sama pora co zawsze. Może nie powiedziano mu o zmianie sali? A może się rozchorował albo ktoś go pobił? Może...

Nagle dobiegł ją znajomy brzęk łańcuchów. Odetchnęła z ulgą.

Wszedł do pomieszczenia, a Carla stłumiła okrzyk. Miał rękę na temblaku.

Usiadł.

– Co ci się stało?

Ben utkwiał w niej nieruchomy wzrok.

Carla spieszyła się. Było jej dziwnie niezręcznie. Pewnie po prostu coś go zaprzętało. Ale te oczy... Tamte oczy. „Zamknij się, suko”, „pierdol się, głupia dziwko”. Szczere, poważne spojrzenie, które widywała w ciągu ostatniego pół roku zniknęło.

Uśmiechnęła się sztywno, coraz bardziej tracąc pewność siebie. Dopadło ją przykre wrażenie, że jest zbyt wystrojona.

– Ben, co ci się stało w rękę?

Spuścił wzrok, jakby sobie przypomniał. Odchylił bandaż, ukazując fragment zabrudzonego gipsu biegnącego od dłoni do przedramienia.

– To – syknął wściekłym szeptem – to przez panią! – Machnął gwałtownie zgiętym łokciem w jej stronę.

Carla odskoczyła.

– Przez panią! – powtórzył. – Niech pani tu więcej nie przychodzi. Zaczyna mnie to wkurzać!

Carla zastygła w miejscu. W torbie u jej stóp spoczywały książki, pudełko śniadaniowe z tartą cytrynową i coś jeszcze. Ale ona znów była na farmie i bezradnie wierzyła na podłodze.

Z wysiłkiem przemogła się, zebrała pośpiesznie swoje rzeczy i wstała. Musiała jak najszybciej stąd wyjść, wrócić do swojego mieszkania, wyjąć dwie kiełbaski na kolację i pójść spać między pierwszą a wpół do trzeciej.

Poprzedniego wieczoru otworzyła drzwi do pustego pokoju. W smudze światła padającego z korytarza zatańczyły drobinki kurzu. W środku pachniało wieloletnim zamknięciem i stęchłą naftaliną. Po podłodze

przemknął karaluch i zniknął pod drzwiami szafki. Sięgnęła po najbliższe pudełko z równo ustawionego stosu i rozcięła nożem okalającą je taśmę. Ciekawe, na co natrafi.

Albumy ze zdjęciami. W nienaruszonym stanie.

Zaciągnęła pudło do salonu, gdzie wyjęła z niego siedem albumów i rozścieliła je rzędem na podłodze. Niepewnie otworzyła pierwszy z brzegu o spłowiałej, czerwonej okładce z wytłoczonym wzorem. Znieruchomiała na moment, ale zaraz potem, ogarnięta gwałtowną tęsknotą, zaczęła przerzucać strony coraz szybciej, łapczywie wplatając na powrót migawki z dawnych czasów do swojego życia, jak gdyby łapała pogubione oczka... Zimorodek na gałęzi kasztanowca w czasie świątecznego obiadu u Taylorów... Wiosłowa łódka przycumowana na brzegu jeziora. Miała białe burty, a wewnątrz pomalowane na żółto. Carla zawsze sądziła, że była cała biała. Russell próbujący nakarmić kota tortem na siódmym urodzinach Jacka. Mildred upozowana obok gubernatora generalnego. Szwagierka miała na zdjęciu grube, masywne kostki. Carla nigdy wcześniej tego nie zauważyła.

Zgasiła światło dopiero po północy i spała twardo, bez snów. Na szafce przy łóżku został jeden album. Zielony.

Teraz przeszył ją gwałtowny strumień ognia. Czy ona nigdy się nie nauczy? Była przeklęta. Nic dobrego w jej życiu nie mogło trwać długo.

Wyrzuciła z torby pudełko z ciastem na podłogę, po czym objęła dłońmi zielony album i uniosła niczym transparent.

– To ja powiem ci, co mnie wkurza, ty... mały, nic niewart zwyrodnialcu!
– Jej głos poniósł się po sali. Słowa wychodziły z niej jak pociski, w każdej sylabie pobrzmiwała furia. – Siedzisz sobie w tej klatce, zjadając trzy posiłki dziennie, tylko śpisz, ćwiczysz i srasz, a do tego masz czelność stroić

fochy, podczas gdy z mojego syna została kupka prochu, a mój mąż leży w ziemi zamknięty w drewnianym pudle. Ty... bydlaku! Zabrałeś mi ich! Jak śmiesz?!

Gwar rozmów dookoła ucichł. Podeszło dwóch strażników. Carla nie zwróciła na nich najmniejszej uwagi.

– Popatrz! – krzyknęła do Bena. – Powiedziałam popatrz! – Otworzyła album i podetknęła mu pod nos. – Mojej rodziny już nie ma, bo ty i twój chory koleżka musieliście się naćpać i wyżyć jak bestie! Skarżysz się, że złapałeś świerzb z więziennego koca i teraz nie możesz spać, bo cię skóra swędzi? Taki jesteś biedny! Mnie cały czas zżerają od środka zaropiałe syfy, które sprzedał mi twój przyjaciel. Chyba oszalałam, żeby przynosić ci jedzenie i uczyć cię czytać! Stara, głupia baba! Bardzo proszę, radź sobie sam. Obyś zgnił w najgorszych męczarniach, tępaku...

Wstała i ruszyła w kierunku nadchodzących dozorców. Po drodze potknęła się o *Life Is So Good* i rozdarła okładkę.



CARLA

Carla wydobyła z wózka zwrócony tom, sprawdziła sygnaturę na grzbiecie i wsunęła książkę na półkę obok pozostałych dzieł Frame'a.

– Carlo, nie piłaś jeszcze herbaty – zawołała za nią Diana, szefowa biblioteki. – Z okazji urodzin przyniosłam dziś ciasto marchewkowe, może się jeszcze załapiesz.

W jadalni było pusto. Carla włączyła czajnik, ukroiła sobie kawałek pozostałego placka i opadła na jasnozielony, półokrągły fotel.

Od jej ostatniej wizyty w więzieniu minęło siedem miesięcy. Tyle się wydarzyło od chwili, gdy wypadła z szarego gmachu roztrzęsiona i zapłakana z wściekłości. Kiedy w drodze powrotnej zatrzymała się w bibliotece, aby oddać książkę, którą wypożyczyła raptem tego samego dnia rano, za ladą stała Diana. „Tak szybko? Nie przydała się pani?”. Na to Carla wybuchnęła płaczem, wywołując spore zamieszanie, i bibliotekarce nie pozostało nic innego jak zabrać ją na zaplecze, z dala od ostrzału zaciekawionych spojrzeń. Godzinę później, po wysłuchaniu opowieści Carli, Diana zaproponowała jej zastępstwo w bibliotece. „Brakuje nam pracowników – powiedziała, przebiegając palcem tygodniowy grafik dyżurów. – Jedna koleżanka jest na urlopie macierzyńskim, a drugiej przedłużyło się zwolnienie lekarskie. To tylko kilka miesięcy, ale nam by niezwykle pomogło, a pani mogłaby

oderwać się od kłopotów”.

Przydzielono jej dwa poranki w tygodniu, ale Carla przychodziła codziennie. Uwielbiała przebywać w tym przytulnym pomieszczeniu, gdzie sięgające sufitu regały pełne książek spotykały się z widokiem z zewnątrz przez przeszklone ściany. Lubiła ruch i nastrój tego wnętrza, a także jego funkcję.

Jej nowi współpracownicy – Diana, Zoe, Bunty i Paul – okazali się bardzo sympatyczni, dzięki czemu Carla stopniowo wychynęła ze swojej skorupy i nawiązała przyjaźnie.

Postanowiła wyrzucić Bena Toroę z pamięci. Prawda, że wielokrotnie wcześniej składała już takie obietnice, ale tym razem było inaczej. Zaczęła podejrzewać, że między nimi istniało jakieś toksyczne przyciąganie, jakby niewidzialna nić kazała im krążyć wokół siebie przy stałym ryzyku kolizji.

Nie spodziewała się takiego ataku z jego strony. Różni Geoffreje i Very powiedzieliby z pewnością „a nie mówiłem?” albo „ile razy jeszcze musisz się sparzyć?” w przekonaniu, że Ben Toroa był zanadto skażony złem, aby go ocalić. A przecież tak dobrze mu szło. Robił ogromne postępy.



BEN

Ułożone na tackach kotlety jagnięce skwierczały za rozgrzaną, pożółkłą szybą. Kłęby pary wiły się ku górze i znikwały w czeluściach okapu. Na ladzie stały olbrzymie, nierdzewne garnki z posiekaną dynią czekającą na swoją kolej.

Ben oskrobywał ostatni z wielkiej góry ziemniaków. Spod nożyka razem ze skórką spadały grube skrawki miąższu. Gips zdjęto mu już kilka miesięcy temu, ale nadal miał kłopot z wykonywaniem precyzyjnych czynności, bo dwa najmniejsze palce na stałe przyłgnęły mu do wnętrza dłoni. Chirurdzy zalecili codzienną fizjoterapię. Jakby coś takiego mogło zdarzyć się w kiciu.

– Toroa. – Zza kuchennych drzwi wyrżał Lawrence, strażnik, który służył kiedyś w SAS.

Więźniowie wołali na Bena „Byk”, za to klawisze używali nazwiska albo jego numeru. Tak naprawdę tylko Haslop mówił do niego po imieniu. Czasami Ben sam o nim zapominał.

Odłożył nóż.

– Joł, Skunks, gdybym nie wrócił, możesz wstawić ziemniaki do pieca za pięć minut?

Ben bardzo sobie chwalił pracę w kuchni. Co prawda w trakcie

wydawania posiłków robiło się czasem głośno i potwornie gorąco, ale zajęcie to dawało mimo wszystko mnóstwo dodatkowych korzyści. Pracownicy kuchni byli traktowani ulgowo i cieszyli się zaufaniem strażników. Nic dziwnego, skoro na co dzień mieli dostęp do noży i wrzącej wody. Choć do zdobycia broni nie trzeba było dojścia do kuchni. Większość powstawała z najmniej podejrzanych przedmiotów – klamerek, spinaczy do papieru, spłuczek toaletowych. Więźniowie wykazywali w tym względzie nieograniczoną pomysłowość. Zaostrzona szczoteczka do zębów mogła wyrządzić tyle samo szkody co nóż, jeżeli wbiło się ją pod żebra z odpowiednią siłą.

Kucharze dysponowali jednak innym rodzajem broni. Jedzeniem. Przy pustej monotonii wolno płynących dni to, co serwowano, i wielkość danej porcji, było sprawą niemałej wagi. *Kai* stanowiło walutę, najcenniejszą po kontrabandzie, za którą można było kupić wszystko, łącznie z ochroną.

Lawrence wręczył Benowi długą, białą kopertę.

– Twoje przeniesienie.

– Przeniesienie?

– Do Ngawha, w najbliższy piątek.

Ben myślał, że się przesłyszał.

– Jak to? Teraz nagle? Po tylu pieprzonych latach?

– Może chcą, żebyś był bliżej *whānau* czy coś.

– *Whānau*? Tak, jasne! – prychnął Ben. Jakiej niby rodziny? Nawet Lily nie zjawiała się już od miesięcy. Musiała w końcu zrozumieć, że nic z niego nie będzie.

Lawrence wzruszył ramionami.

– Ja tylko przekazuję wiadomość. Powinieneś skakać ze szczęścia. Tam jest jak na wakacjach. Lepiej niż na zewnątrz, człowieku.

– Nie, dzięki – odparł Ben i zawrócił w kierunku kuchni. – Dotrwam do końca już tutaj. To jest moja nora.

– Nie wkurzaj mnie, Toroa – zirytował się strażnik. – Masz się zgłosić do szefa bloku w piątek o dziewiątej. Cela wysprzątana, a ty gotowy do drogi.

Ben przystanął w progu. W obłokach pary ryczała piosenka *Paradise* zespołu Coldplay. Spędził tu siedem lat. Nie mogli tak po prostu go przenieść. Serce zabiło mu szybciej, w głowie narastał sprzeciw. Zakład na północ od Whangarei słynął ze swoich wygod, ale Ben zdobył w Pari kumpli. To oni byli jego *whānau*. Nikogo innego nie miał. Znał Pari i jego zasady. Wiedział, z kim lepiej nie zadzierać...

Jasne, czasem narzekał, ale to tak dla picu, bez wiary w realne zmiany. Jego życie płynęło jednostajnym rytmem, każdy dzień był łatwy do przewidzenia. A teraz, ni stąd, ni zowąd, chcą mu wszystko pomieszać.

Coś jeszcze nie dawało mu spokoju, kiedy stał tak w drzwiach i rozważał nową sytuację, ale odgonił tę myśl, zanim jeszcze zdążyła się rozwinąć.

Wszedł do zamglonej kuchni.

– Miałeś nastawić ziemniaki – warknął na Skunksa.

– Co cię ugryzło? – zdziwił się olbrzym. – Dopiero mija pięć minut.

Ben powiódł oczami dookoła i zatrzymał wzrok na nożu do dyni z szarą, otłuszczoną rączką, który leżał na drewnianej desce, połyskując w świetle stuwatowych żarówek.

Zbliżył się do stołu. To był sposób, aby przedłużyć sobie pobyt. Jego wpływ na zmianę własnego losu.

– Co jest, stary? – Głos towarzysza przebił się przez zamęt w głowie Bena. – W porządku?

Skunks był potężnym facetem – wielka góra mięsa o sympatycznej, misiowatej twarzy i niemal prostopadle odstających uszach. Zanim wylądował w więzieniu, jeździł na śmieciarce w miejskim przedsiębiorstwie. Garował za nieumyślne spowodowanie śmierci, po tym jak uciszył kuzyna w trakcie pijackiej awantury. Nietrudno było sobie wyobrazić, że posłał kogoś do piachu. Nie miał świadomości własnej siły. Mógł człowieka powalić przypadkowym machnięciem ręki.

Skunks bardzo źle znosił rozłąkę z rodziną, szczególnie z piątką swoich dzieci, ale w mamrze „odnalazł Boga”. Bardzo też spodobało mu się gotowanie i po wyjściu zamierzał poszukać pracy jako kucharz.

Był wzorowym więźniem – skruszonym, spolegliwym i chętnym do działania. Dostał nawet pozwolenie na przebywanie w warsztacie po godzinach, żeby zbudować gokart dla swojego najmłodszego syna. I nie była to zwykła kupa złomu, ale maszyna z klasą – na resorach, z solidnym układem kierowniczym, w szalowo fioletowym kolorze. Skunks naprawdę chciał być dobrym ojcem. Z punktu widzenia Bena świetnie sobie radził.

Teraz jednak Ben nie mógł rozczulać się nad kumplem. Skunks był dla niego nikim. W kiciu każdy musiał dbać o siebie. Potrząsnął głową, aby otrzeźwić sobie umysł, lecz tunel jego myśli ciągle się zawężał, aż została już tylko jedna.

Skunks przewracał kotlety, zwrócony tyłem do niego. Ben ujął nóż. Dwa zdrętwiałe palce od razu zakleszczyły się na ręczce, a pozostałe szybko poszły w ich ślady. Zbliżył się do nachylonego nad piekarnikiem niedźwiedzia.

Będą musieli przemyśleć wysłanie go na północ, gdy dostanie jeszcze jeden wyrok.

Zamierzył się, lecz dokładnie wtedy zwałiste ciało Skunksa wykonało nagle płynny obrót w rytm rapu lecącego z głośnika i zastygło w miejscu z wyrazem szoku na twarzy.

– Stary, co ty?

I nagle coś przeskoczyło. Oczy, które Ben miał przed sobą nie należały do Skunksa, lecz do mamy – rozwarte z przerażenia jak wtedy, kiedy Ryan dostawał piany na ustach.

Pstryk.

Teraz to zaskoczone oczy dzieciaka na farmie, kiedy zauważył ich z Tate'em kryjących się w cieniu.

Pstryk.

Oczy Reid.

Ben zacisnął powieki tak mocno, jakby ktoś wypalił mu je rozgrzanym do czerwoności pogrzebaczem. Rzucił nóż i wybiegł z kuchni na podwórze, gdzie zwymiotował pod nogi.

Przez chwilę wisiał tak zgięty wpół, cały roztrzęsiony, ze strugami śliny kapiącymi z ust i ciekącym nosem. Potem osunął się na ziemię pod ścianą i spuścił głowę między kolana.

Po jakimś czasie poczuł dłoń na ramieniu. Ciepłą, silną łapę zdejmującą z niego część jego smutku. To był Skunks.

Olbrzym nic nie powiedział, ale Ben wiedział, że zrozumiał. Jak gdyby sam był Panem, o którym tyle głądził.

Kiedy furgonetka ruszała spod Paremoremo, Ben czuł się tak pusty jak jej wnętrze. Był zmęczony. Miał ochotę zasnąć na sto lat. Ulatniające się dragi wprawiały go w stan niemocy i ośpienia.

Powinien już się nauczyć zachowywać dystans. Kiedy człowiek nie ma na nic wpływu, musi wyrobić w sobie znieczulicę i nie przywiązywać się do miejsc ani ludzi. Więc dlaczego ta przeprowadzka tak go dołowała?

Więzienie oznaczało ciągłą niepewność. Wszystko było niby z góry ustalone – wyrok, plan dnia, przestrzeń, a jednocześnie wszystko stało pod znakiem zapytania – zakład, znajomi, przywileje, bezpieczeństwo, każdy kolejny dzień. Monotonia i stabilizacja trwały w stanie nieustającego zagrożenia. Jak pole minowe albo zabawa w chowanego.

Ben nie obawiał się tego, co mogło go spotkać. Całkiem inaczej niż wtedy, gdy przenosili go z Kopca do Paremoremo. W ogóle nie przerażała go myśl o zaczynaniu wszystkiego od zera na samym dole drabiny: szukaniu nowych znajomości, zapewnieniu sobie ochrony, wyrabianiu nowych nawyków. Tym się niewiele przejmował. Znajdzie grunt i przeżyje. Za to co innego nie dawało mu spokoju. Myśl o tym, co wcześniej utracił, i obawa, że gdy wyjedzie daleko, szanse, że to odzyska, jeszcze bardziej zmaleją.

W Whangarei zrobili postój, żeby zatankować. Jeden strażnik kupił mu paczka. Był tłusty i smakowity. Już sam żółty lukier stanowił miłą odmianę dla oka po latach w monokolorze murów Pari. Ruszyli dalej.

Przez całą drogę Ben kucał przy tylnym okienku i patrzył na przepływający krajobraz. Nawet kiedy nogi mu ścierpły, nie zmienił pozycji i pozostał w miejscu, z którego mógł widzieć zieleni. Zapomniał już, jak wygląda.

– Transfer z Pari – krzyknął jakiś głos.

Ciężarówka stanęła. Ben przywarł twarzą do kraty. Niemożliwe, żeby to było tu. Znajdowali się na jakiejś łące z trawą aż po widnokrąg.

Drzwi otworzyły się.

– Witaj, Ben – powiedział z akcentem wysoki klawisz, nie-Kiwus, i wyciągnął do niego rękę. Ben z zaskoczeniem przyjął silny uścisk dłoni.

Ben... Ben... Ben. Na dźwięk tego imienia coś w nim zaskoczyło.

Wiatr. Powietrze miało zupełnie nowy zapach i całkiem inny smak. Przeniosło go w czasy dzieciństwa.

Jest mały. Ktoś, chyba Debs, uczy go puszczać latawiec na brzegu Bastion Point. Obraz jest zamglony, a jednak bardzo wyraźny. Wieje słodki wiatr. Zieleń trawy przechodzi w błękit wody i nieba. Trójkątna konstrukcja wznosi się w powietrze. Żółty ogon łopocze wesoło, szukając wsparcia podmuchu.

Rejestracja w zakładzie regionu Northland przebiegała tak samo jak wszędzie – rewizja osobista, odbiór wyposażenia, wizyta w punkcie lekarskim. Jedyna różnica polegała na tym, że strażnicy zwracali się do Bena po imieniu. Razem z więziennym zestawem dostał także południowy posiłek, który go ominął – bułkę z mortadela bez chrząstki i karton zimnego, pełnotłustego mleka. Następnie zaprowadzono go do celi.

Z budynku administracji szło się dosyć długo żwirowaną alejką wijącą się przez zielony teren, który wyglądał jak park. Kilku więźniów na klęczkach pielilo trawę z chwastów.

– Dajcie im żyć, do cholery! – rzucił Ben, kiedy przechodzili. Każdą zieleń trzeba było chronić.

Jego cela mieściła się w zamkniętym segmencie budynków okalającym

betonowe podwórze, pośrodku którego, na niewielkim prostokącie trawy, ustawiono słup z obręczą do gry w kosza. Otwarte drzwi wszystkich cel wychodziły na tę wspólną przestrzeń. Więźniowie snuli się w grupkach, słuchali muzyki, wygrzewali w słońcu albo grali w karty. Siwy facet wyciskał hantle.

Pokój był czysty i jasny, ale Ben nie został w nim długo. Szybko ściągnął buty i wyszedł na zewnątrz na niewielki placek trawy *kikuyu*. Zanurzył w niej bose stopy i wydał głębokie westchnienie, gdy chłodne, giętkie źdźbła wślizgnęły się między palce i przeniknęły całe ciało aż do głowy zamroczonej długotrwałym życiem w przytłaczającej szarości. Kilka lat bez trawy mogło człowieka wykończyć.

– Powitajmy dziś w naszej rodzinie nowego brata.

Chudy facet o rzadkich, brązowych włosach związanych w cienką kitkę wysunął się na środek przed siedzącą na ziemi grupę. Każdy widoczny fragment jego ciała zdobiły tatuaże.

Ben rozejrzał się dookoła. Prawie wszyscy byli brązowi i bardzo młodzi. Niektórzy mieli jeszcze dziecięce buźki pierwszaków, z ciągle świeżą cerą i niezahartowanym spojrzeniem.

– Ben przyjechał do nas wczoraj z Pari. Został przypisany do AB i będzie mieszkać na wzgórzu, ale pozwolono mu w ciągu dnia przychodzić do nas do *whare*, dopóki nie znajdzie się tu dla niego wolna dziupla. – Mężczyzna skinął na Bena i uśmiechnął się, ukazując dwa rzędy połamanych zębów. – Każdy dzień zaczynamy od *karakia*. August?

Tyczkowaty chłopak wstał i skłonił głowę. Ben przyglądał mu się z ukosa. Po modlitwie każdy podszedł uścisnąć Benowi rękę. Jeden nawet przymierzał się do *hongu*, ale Ben zrobił unik w tył. Nie będzie się trącał

nosami z jakimś obcym typem. Spotkanie dobiegło końca i wszyscy rozeszli się do wyznaczonych zajęć, zostawiając Bena z przywódcą.

Podłogę sali wyścielała cienka, niebieska wykładzina. Z przodu stały sztalugi, a na nich biała tablica z jakimś czerwonym napisem. Za wysokimi oknami rozciągały się pola trawy poprzecinane kremowymi barakami z prefabrykatów.

Chudzielec trzymał się prosto jak struna, z głową uniesioną nad równą linią ramion. Biła od niego *mana*.

– Jestem Chalkie. Mam dożywocie. Dowodzę na tym bloku, więc kiedy tutaj jesteś, masz słuchać mnie, okej? Poza klawiszami, rzecz jasna.

Ben uniósł brwi ze zdziwienia.

– Stoisz na rozdrożu swojej więziennej kariery. Władze postanowiły dać ci szansę, farciarzu. Zostałeś tu przydzielony w ramach eksperymentu. Cały zarząd się temu przygląda. Przyszłość wielu skazanych zależy od tego, którą drogę wybierzesz.

Ben podniósł na niego oczy.

– Więc co wolisz: kibel czy *marae*?

Ben zmarszczył brwi.

Chalkie sięgnął po czerwony marker i narysował na tablicy dwie pokręcone linie. Jedna zawracała do punktu, z którego wyszła, a druga wybiegała poza ramę.

– Masz dwie drogi, bracie. Jedna z nich zaczyna się na *marae* – powiedział, wskazując flamastrem podłogę – i kończy na zewnątrz. Druga zaczyna się w więzieniu i kończy w więzieniu. Jak drzwi obrotowe. Kumasz?

Ben wbił oczy w rysunek, umykając przed świdrującym wzrokiem

Chalkiego. Czuł się przy nim zupełnie bezbronny.

– Twój wybór. Tutaj robimy wszystko jak na *marae*. Te same zasady, te same zwyczaje, te same wygody. Musiałeś się już zorientować, że w pierdlu wcale nie jest tak fajnie.

Ben przestąpił z nogi na nogę. Czemu wsadzili go do nieletnich? To jak cofanie się w czasie. Chociaż z drugiej strony czuł też pewną ulgę. Jakby zrzucił z barków dorosłość.

– Możesz stwierdzić, że walisz społeczeństwo albo do niego dołączyć – ciągnął Chalkie z coraz większą mocą. – Możesz wrócić tam – skinął w stronę gąsienicowatych budynków w oddali – i dać się zadźgać nożem albo znaleźć swojego kumpla powieszzonego w norze na kłamce. Może ktoś wyrucha cię kiedyś pod prysznicem. Zakładam, że przez... Ile? Sześć, siedem lat niejedno widziałeś. Słabe to jest, nie?

Ben zdał sobie sprawę, że potakuje głową jak zahipnotyzowany.

– Nie ma nic fajnego w tym, że klawisz może zrobić ci rewizję osobistą, kiedy mu się zachce, tylko po to, żeby cię zgnoić. Że mówią ci, kiedy i gdzie możesz srać i łaskawie wydzielają papier. Siedzenie samemu przez czternaście godzin w czterech zimnych ścianach to też żadna frajda. Nuda i złość zżerają człowieka jak wrzody. Garuję już dość długo. Sporo się napatrzyłem. Wiem, o czym mówię.

Chalkie miał żółtawobrazową twarz, wąskie oczy i przekrzywiony nos, a u lewej dłoni brakowało mu końców dwóch palców.

– Możesz dalej trzymać się tej ścieżki – rzekł wskazując zapętloną linię na rysunku – albo zrobić to, co należy. *Tikanga*. – Stuknął palcem kreskę, która uciekała poza ramy tablicy.

Ben nie wiedział, jak zareagować. To była zupełnie inna pogadanka od

tych, z jakimi miał wcześniej do czynienia. Ludzie na północy byli naprawdę dziwni. Nawyk podpowiadał mu, żeby prychnąć drwiąco, wysunąć podbródek do przodu i olać to, co usłyszał. Ale nie mógł. Słowa brązowego faceta przeniknęły do jego umysłu i zmusiły go do uwagi.

– I nie myśl, że próbuję zgrywać przed tobą mądrałę – rzekł Chalkie. – Byłem tam, gdzie ty. Dowodziłem frakcją. Przeżyłem swoje. Ludzie, których zabiłem, wracają do mnie teraz każdej nocy, kiedy śni mi się, że tonę w ich krwi.

Ben przełknął ślinę. Jego sny! Oczy zaczęły go szczypać i wzrok mu się rozmazał. Skąd ten facet wiedział, że co noc Ben nurzał się w morzu czerwieni?

– Mam przed sobą jeszcze przynajmniej osiem lat – ciągnął Chalkie – zanim ktoś w ogóle rzuci okiem na moje podanie o warunek. Ale wiem na pewno, że jeżeli kiedykolwiek mnie wypuszczą, nigdy tu nie wrócę. Mam życie do zaliczenia. – Pokazał linię wiodącą na wolność. – Ja wybrałem tę drogę, bracie.

Słowo „bracie” i sposób, w jaki Chalkie je powiedział, złowiły Bena jak łąso i ciągnęły ku sobie. Zacisnął szczęki, usiłując pohamować łyzy.

– I nie wyżywaj się na tutejszej obsłudze. Oni tylko wykonują swoją pracę – dodał Chalkie – żeby móc zapewnić jedzenie i mieszkanie dla swoich rodzin. Masz na zewnątrz dziewczynę?

Ben potrząsnął głową.

– Okej, matkę? – To było chyba retoryczne pytanie, bo Chalkie nie czekał na odpowiedź: – Wyobraź sobie, że ktoś włamuje się do jej domu i próbuje ją zgwałcić. Do kogo zadzwoni po pomoc? Ty gnijesz tutaj i nic nie możesz zrobić. To policja ją uratuje. Policja! Więc lepiej ich nie lekceważ.

Benowi kręciło się w głowie, buzowały w nim dziwne uczucia.

– Kogo wezwą strażnicy, kiedy ktoś dziabnie cię tu nożem? Ratowników. Którzy przyjadą, bo taką mają pracę. Należy się im za to szacun, nie uważasz?

Ben wytarł nos rękawem.

– Jeszcze kilka podstawowych zasad. – Chalkie odwrócił się ku tablicy. – Żadnych narkotyków, alkoholu i bójek, a będzie ci u nas miło.

W GŁĘBI

Kto by pomyślał, że właśnie w więzieniu, wśród innych buntowników, odnajdziesz tūrangawaewae – swoje bezpieczne miejsce. Cóż, tak zaskakujące bywa czasem życie i tak daleko sięga tikanga Māori. Ale zachowuję ostrożność i nie chcę mówić nic więcej, tylko patrzę i czekam z nadzieją.



CARLA

Nastał grudzień i drzewa *pōhutukawa* obsypały się szkarłatnym kwieciem. Na wystawach sklepów migotały dekoracje świąteczne, a skrzynki pocztowe wypełniały reklamy egzotycznych podróży obiecujące upojne lato po fałszywych cenach.

Z plikiem listów i gazet pod pachą Carla pchnęła drzwi całym ciałem. Oporny zamek niespodziewanie zaskoczył i wleciała do mieszkania jak bomba.

Nie minęło trzydzieści sekund, a w progu stanęła Mingyu.

– Carla, co się stało?

– Już od dawna mam wymienić ten zamek – zamruczała Carla, zbierając pocztę na kolanach.

Mingyu pomogła jej wstać.

– Masz czas na herbaty? – zapytała, kładąc na ladzie paczkę biszkoptów z kremem truskawkowym.

Carla chciała odmówić, ale przyjaciółka już myszkowała po szafkach w poszukiwaniu torebek.

– Gdzie jest herbata, Carla?

– Za słóikami z dżemem. Tak, tam.

Mingyu miała zwyczaj wpadać do Carli co wieczór, gdy tylko usłyszała szcęk zamka w drzwiach sąsiadki.

Carla ukradkiem zerknęła na zegarek. Paul miał przyjść za niecałą godzinę, a chciała jeszcze wcześniej wziąć kąpiel.

– Nie mogę dziś zbyt długo siedzieć – uprzedziła. – Ma przyjść do mnie kolega.

Mingyu uniosła brwi.

– Jaka?

– To jest on. Pracujemy razem w bibliotece. Chce się nauczyć włoskiego.

Na twarz Mingyu wypłynął domyślny uśmiech.

– On – powtórzyła. – Dobrze, Carla. Już czas.

Carla poczuła rumieniec na policzkach.

– Nie, nie. To wcale nie tak.

– Szkoda. Ja myślę, że trzeba.

Carla przygryzła usta, aby ukryć zażenowanie. Uratował ją gwizd czajnika.

– Ach, mam dla ciebie – powiedziała Mingyu, szperając w kieszeni spodni. – Wczoraj przypadkiem znajdę list. Nieotwarty. Szukam w śmietniku, bo mój kolczyk zgubił. Kolczyk nie ma, ale znajdę to. – Rozpostarła wymiętą, niebieską kopertę.

Carla lekką ręką wyrzucała do śmieci tony niechcianych reklamówek, czasami nawet nie przejrzawszy uważnie zawartości skrzynki.

Popatrzyła przez zsunięte okulary na wyblakły stempel i rozpoznała herb. Departament Więziennictwa.

– A! – powiedziała. – Dzięki, Ming.

– Nie lubię ten listonosz – stwierdziła przyjaciółka z oburzeniem. – Może napiszę protest. Wyrzuci pocztę do kosza. Taki leniwy człowiek!

Carla słuchała na wpół rozkojarzona, bo list już zakłócił jej wewnętrzny spokój.

Mingyu sięgnęła po pilota.

– *Milionerzy* już leci. Może oglądamy do herbaty?

– Przepraszam cię, ale dziś naprawdę nie mogę – powiedziała Carla. – Mam jeszcze mnóstwo rzeczy do zrobienia przed przyjściem mojego gościa...

– Aha, dobrze. Dzisiaj bez herbaty. Do zobaczenia jutro – powiedziała Mingyu i ruszyła do drzwi, zostawiając puste kubki na ladzie. W progu odwróciła się jeszcze. – Nie chcesz czytać ten list?

– Później. Przeczytam później, dziękuję – odpowiedziała Carla i wsunęła kopertę do kieszeni swetra.

Niedługo po wyjściu Mingyu w małym mieszkanku Carli rozległ się dźwięk dzwonka. Złorzecząc pod nosem, Carla wyjrzała przez wizjer. Obiektyw wypełniła zniekształcona sylwetka Paula. Dwadzieścia minut przed czasem. Carla nadal była w szlafroku i z niewysuszonymi włosami.

– Już idę! – krzyknęła i pobiegła z powrotem do sypialni założyć sukienkę.

Kiedy otworzyła, Paul stał w progu szeroko uśmiechnięty, trzymając w jednej ręce bukiet srebrników, a w drugiej butelką czerwonego wina.

– Wybacz, Paul. Jestem w niedoczasie – bąknęła. – Przepraszam za mój wygląd.

Paul objął wzrokiem turban na włosach Carli.

– Czarujące nakrycie głowy – powiedział ze swym południowoafrykańskim akcentem. – To ja przepraszam, przyszedłem za wcześnie. Nie byłem pewien, jak długo zajmie mi droga o tej porze.

Carla posłyszała nagle szmer na klatce schodowej. Wyjrzała na korytarz i zauważyła Mingyu przyczajoną w drzwiach swojego mieszkania. Na widok Carli Chinka wystawiła w górę oba kciuki. Carla szybko zaprosiła gościa do środka.

W salonie zapachniało intensywną wonią drzewa sandałowego. Carla nagle zdała sobie sprawę, że pierwszy raz przyjmowała u siebie mężczyznę. Lekko zmieszana, przeprosiła go i poszła dokończyć toaletę.

Gdy z wymodelowaną fryzurą i makijażem wyłoniła się znów z sypialni, zasłony w pokoju były zaciągnięte, kwiaty ustawione w wazonie, a na stole czekały dwa kieliszki wina.

Przystanęła w progu, by uspokoić oddech. Widok tych drobnych zabiegów poczynionych przez kogoś innego całkiem zbił ją z tropu.

– No proszę! Jak ci się udało zrobić z mojej klitki takie urocze gniazdko?
– zażartowała.

– Ty jesteś urocza – odparł Paul ze skrzywionym uśmiechem. Kilka tygodni wcześniej doznał porażenia Bella i mięśnie jego twarzy nie odzyskały jeszcze pełnej sprawności. Jego lewa strona pozostawała dziwnie gładka i nieruchoma.

Carla nie wiedziała, co powiedzieć.

– Srebrniki! – wypaliła, próbując podtrzymać rozmowę. – Od lat ich nie widziałam. Dawniej jeździliśmy na farmę srebrników na północy. To takie wyraziste kwiaty. Próbowałam je kiedyś hodować, ale klimat w Auckland jest dla nich zbyt wilgotny, a ziemia zanadto gliniasta. Są bardzo oryginalne, chociaż nie wszyscy je lubią. Ja tak. To znaczy, ja je lubię – plotła chaotycznie.

„Dawniej jeździliśmy...”. „Dawniej jeździliśmy...”. Ona i Kevin jeździli... Kevin... Wpadła w pułapkę swoich własnych słów. Czuła się jak zdrajczynie.

– Mam nadzieję, że pijesz pino – rzekł Paul, wręczając jej kieliszek. – To odmiana pinotage ze Stellenbosch. Ciągle mam słabość do win z moich rodzinnych stron.

– Piję wszystko.

Och, Carla! Teraz pomyśli, że jesteś alkoholiczką. Zachowywała się jak nastolatka. Spięta, nieporadna i zdeprymowana. A to nawet nie była randka. Co jej nagle odbiło?

Paul pracował z nią w bibliotece. Był cichy, co Carla początkowo wzięła za oziębłość, ale z czasem doszła do wniosku, że to jedynie wyraz jego nieśmiałości, za którą kryło się urocze, cięte poczucie humoru.

Od pozostałych kolegów wiedziała, że prowadził dom wydawniczy w Durbanie, a gdy przeszedł na emeryturę, razem z żoną przenieśli się śladem jedynej córki do Nowej Zelandii. Niedługo po przyjeździe u jego żony stwierdzono guza mózgu, osiem miesięcy później kobieta zmarła. Wkrótce potem jego córka dostała propozycję pracy w Niemczech i po długim wahaniu zdecydowała się na kolejną przeprowadzkę. Tym razem Paul za nią nie pojechał. Nie chciał się znowu przenosić i porzucić żony, której grób był

w Nowej Zelandii.

Teraz, rok po tym wszystkim, wybierał się do córki do Berlina, a przy okazji postanowił zwiedzić także Włochy. Gdy dowiedział się o pochodzeniu Carli, zapytał, czy nie mogłaby pomóc mu opanować podstawowych zwrotów po włosku, w wyniku czego kobieta zaprosiła go ostatecznie do domu.

Był wysokim mężczyzną blisko sześćdziesiątki o siwych, kosmatych brwiach, które nadawały mu lekko srogi wygląd, przysłaniając łobuzerskie oczy otoczone siatką głębokich kurzych łapek. Ubierał się w luźne spodnie i swetry z kaszmiru.

– Mmm. Ale pięknie pachnie – powiedział, przełamując kolejną chwilę ciszy.

Przygotowanie typowo włoskiego posiłku zajęło Carli cały weekend. Na przystawkę melon i szynka parmeńska, potem własnoręcznie zrobione *ravioli* ze szpinakiem, ser *ricotta* z borowikami, a na deser *tiramisù*.

Zacisnęła powieki, próbując odpędzić dokuczliwe myśli o Kevinie. Lubiała pracować z Paulem, ale zaproszenie go do domu nadawało ich relacji całkiem inny wymiar. Wszystko przez Mingyu, która zasiała niepokój wokół czegoś, co miało być zwykłym, koleżeńskim spotkaniem. Niepotrzebnie się na nie zgodziła.

– Za Włochy – rzekł Paul i stuknął w jej kieliszek. – Veronica, moja żona, od zawsze marzyła, żeby tam pojechać. Chyba chcę zrobić to dla niej.

Wzmianka o jego żonie sprawiła Carli ulgę, jednoznacznie definiując charakter ich wspólnego wieczoru.

Carla pociągnęła łyk wina.

– Mmm, *molto buono* – rzekła, kiwając głową. – To znaczy „bardzo dobre”.

– *Molto buono* – powtórzył Paul wolno.

– Widzę, że masz talent. – Napiała się znowu. – Pójdzie nam jak po maśle.

– Lepiej niczego nie przesądzać – powiedział z ciepłym uśmiechem.

Usiedli do kolacji o ósmej. O jedenastej nadal dyskutowali przy stole. Trzy godziny minęły, zanim się obejrzel.

Paul wlał reszkę wina do kieliszka Carli.

– Kiedy Kiwi mówią „do zobaczenia później”, to też może być mylące – powiedział. – Niedługo po przyjeździe do Nowej Zelandii wydaliśmy z Veronicą przyjęcie. Skończyło się koło północy. Wychodząc, jeden facet powiedział „do zobaczenia później”. Myśleliśmy, że ma zamiar wrócić później tego samego wieczoru i baliśmy się pójść spać.

Carla zachichotała.

– Mówisz, jakby w Afryce Południowej nie było śmiesznych wyrażen. Na przykład nazywacie światła drogowe robotami!

– No i?

– Robot to maszyna! No wiesz, *Gwiezdne wojny* i takie tam.

– Może, ale...

– Albo „splatać palce” – dodała, przyglądając się, jak Paul wyskrobuje resztki tiramisù z naczynia – zamiast „trzymać kciuki”. Jedna moja znajoma z RPA powiedziała kiedyś do technika, który reperował jej telefon „splęćmy palce”, a potem nie mogła zrozumieć, czemu facet zaczął z nią flirtować.

Wesołość Paula była zaraźliwa. Carla od tak dawna się nie śmiała, że

zapomniała już, jaka to przyjemność.

Przez cały wieczór nie poruszyli tematu nauki włoskich słówek, aż w końcu Paul wstał, aby się pożegnać.

– Powiedzmy, że to na zachętę – rzekła Carla, odprowadzając go do samochodu. – Wstęp przed prawdziwym kursem. – Nocne powietrze szczypało ją w policzki. – Przyszłym razem bierzemy się do roboty.

– Carla. – Paul przystanął, a jego pogodne oczy nagle spoważniały. – Od dawna się tak dobrze nie bawiłem. – Objął jej rękę dłońmi. Były duże i ciepłe, jak Kevina. – Dziękuję ci. Albo lepiej *grazia*.

– *Grazie* – poprawiła.

Nachylił się i pocałował ją lekko w policzek. Jej ciało zawibrowało, a w głębi odezwała się tęsknota.

Paul wsiadł do swojego saaba cabrio i wycofał w ciemność.



CARLA

Paul złapał ją za pierś i wtulił usta w zagłębienie pod obojczykiem. W uszach jej dzwoniło. Pieścił ją pod kolanami. Ciągłe dzwoniło. Całował po wewnętrznej stronie ud. Okropnie dzwoniło!

Carla poderwała się i pacnęła ręką klawisz drzemki na budziku, po czym opadła znowu na poduszki z nadzieją na powrót snu. Ten już jednak prysnął, na dodatek nie mogła zasnąć pod spojrzeniem Kevina z fotografii na szafce obok łóżka. Położyła ją twarzą do dołu.

Wstała i powlokła się do kuchni zaparzyć mocnej, czarnej kawy, chociaż czuła początki migreny. Zaczęła sprzątać pokój po poprzednim wieczorze. Jej rozpinany sweter wisiał na oparciu krzesła przy stole, a z kieszeni wystawał fragment koperty. List. Ten, który Mingyu wyciągnęła z kosza.

Pomarszczony placek w miejscu, gdzie zaschła jakaś żółta plama przypominał bliznę. Carla podniosła list do nosa. Miał zgniły zapach śmieci.

Bała się go otworzyć. Miała wrażenie, że przeszłość nie chce jej wypuścić ze swoich objęć, nieustannie krążąc dookoła jak duch minionych świąt. Czy już nigdy się od niej nie uwolni?

W końcu jednak wydobyła ostry nóż z szuflady i rozcięła list, a jej oczom ukazały się schludne litery spisane ołówkiem.

Pani Reid,

piszę do Pani w sprawie naszego wspólnego znajomego, Bena Toroi. Został przeniesiony do Ngawha i myślę, że powinna Pani o tym wiedzieć. Widziałem, jak się zmienił w czasie Pani wizyt. Mogę potwierdzić, że zasiała Pani coś dobrego tam, gdzie wcześniej była tylko twarda skała. Ben Toroa Pani potrzebuje, chociaż pewnie sam nie umie tego wyrazić. Mam nadzieję, że Pani go nie opuści. Jego złość bierze się ze wstydu. Wiem, że Ben bardzo żałuje tego, jak zniszczył Pani życie. Lubił te lekcje czytania i Pani doskonałe jedzenie.

Z wyrazami szacunku

Skunks (przyjaciół)

Carla dostała gęziej skórki. Wrzuciła list do dolnej szuflady biurka pod stertę innych papierów.

– Nie przestajesz mnie zaskakiwać – powiedziała na głos i złapała się za usta ze zdumieniem. Już od bardzo dawna z Nim nie rozmawiała. Odkąd przestała wierzyć.

Paul układał książki na wystawie przy drzwiach, kiedy Carla wpadła zdyszana do biblioteki. Z udawanym zgorszeniem spojrzął na zegarek.

– *Buongiorno, signora Reid*. Późno się przychodzi! Zabalowała Pani wczoraj czy co?

Carla się roześmiała.

– Jeszcze raz dzięki za przemiły wieczór – powiedział, deptając jej po piętach jak uszczęśliwiony szczeniak.

Carla przystanęła i odwróciła się. W oczach miał ciepłe iskierki. Spuściła

wzrok. Czowała się speszona, niezdarna i mocno skacowana. Pośpieszyła dalej.

– Chciałbym się odwdzińczyć – zawołał za nią. – Znam pewną uroczą trattorię w Birkenhead. Co powiesz na sobotę?

– Pogadamy później – wyszeptała Carla, bo Diana uniosła głowę zza lady.

Spotkali się w następną sobotę, a także tydzień później. Potem jednak Carla zaczęła odrzucać zaproszenia Paula. Musiała powstrzymać emocje. Po raz pierwszy od wielu lat odezwały się w niej pragnienie i chęć do życia, a nie przypuszczała, że po tamtym jesiennym wieczorze jeszcze coś takiego poczuje. Wraz z tym radosnym uniesieniem pojawiły się też jednak nieznośne i przytłaczające wyrzuty sumienia. Nie miała prawa do szczęścia. Nie mogła sobie pozwolić na zwykłe, życiowe przyjemności, to znieważyłyby pamięć jej męża i syna. Ona żyła dalej. Oni nie.

Paul zrozumiał aluzję i się wycofał. Mingyu nie potrzebowała wiele czasu, by zauważyć, że jego wizyty ustały. Któregoś popołudnia usadziła Carlę na kanapie.

– Carla, kochasz Jack. Kochasz Kevin.

– Oczywiście!

– Kochasz patrzeć na piękny zachód słońca?

Carla skinęła głową

– A moje pierożki z mięsem?

– Do czego zmierzasz, Ming?

– Możesz kochać wiele różne rzeczy. Kochanie jednego nie wyłącza kochanie innego. Twoje serce ma dużo miejsca, Carla.

– Filozofia życia Mingyu, rozdział pierwszy – rzekła Carla z lekko kpiącym uśmiechem. A jednak słowa sąsiadki dały jej do myślenia i po jakimś czasie jej wewnętrzne rozterki osłabły.

Znów zaczęła widywać się z Paulem po pracy i opowiadać mu o sobie coraz więcej, aczkolwiek w skróconej i okrojonej wersji. Nie chciała, żeby jej przeszłość przesłoniła to, co razem budowali.

Spotykali się od kilku miesięcy, gdy któregoś dnia przyłapał ją w dziale materiałów źródłowych, gdzieś między „N” a „P”, i zapytał, czy nie zechciałaby pojechać z nim na weekend do Wellington na targi książki.

Pomysł wspólnego wyjazdu wydawał się jednocześnie ekscytujący i groźny. Od wieków nie była nawet po drugiej stronie zatoki. Jej życiowa przestrzeń zamknęła się w ciasnym kokonie bezpieczeństwa. Przerazała ją myśl o jego opuszczeniu.

Wellington jakby specjalnie przygotowało się na ich przyjazd, ukrywając gdzieś swój zwykły, porywisty wiatr i prezentując olśniewający błękit skapanego w słońcu Pacyfiku. Wrzaski kołujących nad głową mew, nagrzane skały i przesycone solą powietrze były dla Carli orzeźwiająca odmianą. Natura otworzyła okno i pomogła jej wyjść na zewnątrz.

Mieli cały dzień do ceremonii rozpoczęcia festiwalu, więc zostawiwszy bagaże w hotelu, wezwali taksówkę i pojechali do Muzeum Narodowego.

Okazało się, że kilka godzin to zdecydowanie za mało na wizytę w Te Papa i gdy wreszcie wychynęli z marmurowo--szklanego gmachu, dochodziła trzecia i oboje byli już porządnie głodni. Zjedli spóźniony lunch w pubie na nabrzeżu i wrócili do hotelu przyszykować się na wieczorne wyjście.

Carla właśnie skończyła brać prysznic, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Otuliła się rozkosznie miękkim szlafrokiem hotelowym i otworzyła. W

korytarzu stał Paul, wytworny i elegancki.

– Ale z ciebie Speedy Gonzales – stwierdziła Carla ze śmiechem. – Kobieta potrzebuje chwili czasu, żeby się zrobić na bóstwo.

Paul wyglądał na stropionego.

– Po prostu... To był taki wspaniały dzień i chciałem... Muszę ci coś powiedzieć.

Carla szerzej otworzyła drzwi.

– *Ti amo*.

Na to nie była gotowa.

– Dobrze wymawiam? – zapytał niepewnie. – *Ti amo*? To znaczy „kocham cię”.

– Tak. Tak. Ja... Bardzo dob...

Nie pozwalając jej skończyć, nachylił się i pochłonał jej słowa ustami. Wtoczyli się razem do pokoju. Paul nogą zatrzaskał drzwi i opadli z łoskotem na królewskie łóżko.

Rozsupłał pasek jej szlafroka i odwinął miękką, białą tkaninę. Carli krew zahuczała w uszach, a całe ciało wibrowało z pragnienia i niecierpliwości w rytm każdego gorączkowego oddechu.

Paul przebiegł palcami wzdłuż jej tułowia, Carla jęknęła i zaczęła szarpać guziki jego koszuli płaczącymi się z pośpiechu palcami. Ujął ją za kark, zanurzył dłonie w jej włosach i pieścił płatki uszu. Rozluźniła się. Paul gładził ją po miękkim brzuchu, obrysowując każde zagłębienie. Carla objęła go za szyję i zsunęła dłonie po silnych mięśniach jego pleców. Delikatnie rozchylił jej nogi.

Nachylił się nad nią...

Ni stąd, ni zowąd znów ujrzała nad sobą tamte oczy – czarne, rozognione, złowrogie. Zbyt blisko. Niebezpiecznie. Gorący oddech na policzku...

– Nie! Zostaw mnie! Zostaw mnie! – wrzasnęła.

Paul odsunął się. Krew uciekła mu z twarzy, na której malował się popłoch.

Carla usiadła zdyszana.

– Przepraszam cię. Bardzo cię przepraszam.

Zaczęła płakać.

Paul opadł na kolana w nogach łóżka, podparty na drżących ramionach.

– Ja... Ja nie...

Do drzwi zapukano gwałtownie.

– Halo! Wszystko w porządku? Proszę otworzyć!

Paul poderwał się, zapiął szybko koszulę i chwiejnym krokiem poszedł do przedpokoju. W korytarzu stał pryszczaty młodzieniec z mosiężną plakietką „Obsługa” w klapie marynarki i kartą do drzwi w dłoni.

– Wszystko w porządku, proszę pana? Przechodziłem i usłyszałem kobiecy krzyk. – Wyciągnął szyję, usiłując zajrzeć do wnętrza nad ramieniem Paula.

Carla, skulona na łóżku, z narzutą podciągniętą pod brodę, z trudem wysiliła się na uśmiech.

– Wszystko okej, dziękuję.

Pracownik zawahał się.

– Pani... To znaczy moja przyjaciółka zobaczyła mysz – dorzucił Paul pośpiesznie.

– Mysz? – Młody człowiek aż wspiął się na palce, by lepiej widzieć Carlę. Paul poróżowił. – Czy życzą sobie państwo zmienić pokój?

– To nie będzie konieczne. Już ją zatłukłem.

Oczy chłopca zaokrągliły się.

– Zatłukł pan?

– Tak. Biblią, co leżała na szafce. Bardzo przydatne dzieło. I spuściłem ją w toalecie – zakończył, uprzedzając kolejne pytanie.

Nim zszokowany chłopak zdążył odzyskać mowę, Paul po raz kolejny grzecznie mu podziękował i zatrzasnął drzwi.

Kiedy wyjrzał przez wizjer, pracownik nadal tkwił w miejscu, nasłuchując po drugiej stronie. Paul odczekał, aż zniknie, po czym wrócił do łóżka i podał Carli szlafrok.

– Przepraszam – rzekł. – Nie wiem, co powiedzieć. Nie chciałem wszystkiego zepsuć. Pomyliłem się, miałem wrażenie, że ty...

Carla pokręciła bezradnie głową. Nie potrafiła znaleźć odpowiednich słów, ale nie mogła dłużej zatajać przed nim prawdy.

Nie dotarli na otwarcie targów. Opowiedziała mu wszystko. O Jacku, o Kevinie, o Toroi. Wszystko. Nawet to, że miała opryszczkę i że gdyby kiedykolwiek mieli uprawiać seks, to tylko z prezerwatywą.



BEN

A Ka mate! Ka mate! Ka ora! Ka ora!

Ka mate! Ka mate! Ka ora! Ka ora!

Tenei te tangata puhuru huru,

Nana nei i tiki mai

Whakawhiti te ra!

A upa... ne! ka upa... ne!

A upane kaupane whiti te ra!

Dwanaście ciał z obnażonymi torsami stojących w rozkroku na ugiętych nogach i wznoszących ramiona ku niebu w wołaniu do przodków. Okrzyki, klaskanie w ręce, języki wyciągnięte na brody, rozpłomienione oczy. Poruszając się rytmicznie w grupie braci, Ben czuł dziwną moc buzującą w żyłach. Na skórę występował mu pot, a w środku cały aż kipiał. Trudno było to opisać. Nie wiedział, czy duchy, do których ciągle odwoływał się Chalkie, naprawdę istniały. Może były przy nim teraz w tym pokoju.

August stał z dala od wszystkich. Chalkie podszedł do niego.

– Auguście Hontano – przemówił donośnym, uroczystym głosem. – Usłyszałeś słowa siły i woli zwycięstwa przed walką.

Mogę umrzeć! Mogę umrzeć! Mogę żyć! Mogę żyć!

Mogę umrzeć! Mogę umrzeć! Mogę żyć! Mogę żyć!

Tam stoi kudłaty człowiek,

który może spowodować wschód słońca.

Jeden krok do góry! Drugi krok do góry!

Jeden krok do góry! Drugi krok do góry!

*Słońce wzeszło!**

Cała sala słuchała zafascynowana.

– Wychodząc dzisiaj z więzienia, stajesz do prawdziwej walki. Czeka tam na ciebie cała armia wrogów. – Chalkie wykonał nieokreślony gest w dal. – Alkohol, narkotyki, rozmaite pokusy... Będą na ciebie czyhać na każdym kroku, dlatego musisz być silny i chodzić z wysoko uniesioną głową. To nie będzie łatwe, ale możesz zwyciężyć. – Urwał i potoczył wzrokiem po obecnych.

Pot spływał Benowi po czole, lecz nie tylko od wojennego tańca. Od ponad miesiąca nic nie wziął – sześć tygodni bez zioła, amfy ani nawet kleju – i wciąż był podminowany. Zdarzało mu się płakać bez powodu, a rozdrażnienie oblażyło go jak chmara mrówek ze zburzonego kopca.

– Pamiętaj, aby zachować wierność wobec swojego ludu i historii i przynieść dumę swoim przodkom. – Chalkie mówił do Augusta, jak gdyby byli sami. Umiał koncentrować uwagę jak światło latarni morskiej. Zawsze człowieka wypatrzył i przykuł tym magnetycznym spojrzeniem, pod którym każdy czuł się wyjątkowy i bezwolny zarazem.

– I nie waż się wracać! Nie chcemy cię tu więcej widzieć. Chyba że wrócisz jako nauczyciel. Albo strażnik – dodał Chalkie pogodnie. – A może

policjant.

August poruszył się nieswojo.

– Bóg czuwa nad tobą, bracie. – Chalkie przyciągnął go do siebie i obaj zastygli ze złączonymi nosami w solennym uścisku dwóch równych sobie mężczyzn. W oczach każdego z nich lśniły łzy.

– A teraz najlepsze – rzekł Chalkie, przełamując wzruszenie uśmiechem.

– *Kai!*

Wszyscy zaczęli bić brawo.

– *Whānau* Augusta przynieśli nam mały poczęstunek. – Chalkie skłonił się w stronę pary starszych ludzi. – Dziękujemy.

Poważna, pomarszczona twarz matki Augusta stopniała, a jej kontury rozmyły się we łzach i uśmiechu szczęścia jak papierowa kulka lizana płomieniem ognia.

Ben zamyślił się nad tym, jak wyglądałaby teraz jego mama. Nie miał żadnego jej zdjęcia.

Ostatnio często wracał do niej myślami bez konkretnego powodu. Nie dalej jak wczoraj przypomniał mu się dzień, gdy zabrała ze sobą do pracy jego i Lily. Ryan złopał w domu razem ze swoją paczką i mama nie chciała zostawić ich z nim samych. Potem, kiedy dzieciaków przybyło, przestała już tak uważać. A może była po prostu przemęczona. W każdym razie później często zostawali z Ryanem, nawet po tym, jak roztrzaskał na Codym krzesło, bo mały narobił w gacie.

Przez całą noc krążyli po budynku przy Wellesley Street w miarę jak mama sprzątała, odkurzała i opróżniała kosze w poszczególnych biurach. W którymś momencie przycupnęli na wykładzinie w kącie, Lily przytuliła się do

niego z kciukiem w buzi i zapadli w sen.

Kiedy wyszli we troje w bladą szarość świtu, mama zauważyła pięćdziesięciodolarowy banknot w szczelinie betonowych schodów. Nie mogła w to uwierzyć. Śmiała się i pokrzykiwała radośnie przez całą drogę po Queen Street. „Zapraszam was na wystrzałowe śniadanie – powiedziała i zaprowadziła ich do prawdziwej kawiarni ze stolikami. – To będzie nasza mała tajemnica, okej?”.

Benowi został w pamięci dymny, słodki smak syropu klonowego na naleśnikach i aromat pofalowanych, chrupiących kawałków grillowanego boczku. Mama zamówiła u kelnerki piwo, ale okazało się, że nie sprzedają alkoholu, co ucieszyło Bena, bo mama była znacznie fajniejsza bez picia. Po uregulowaniu rachunku zostało jeszcze dosyć pieniędzy na lody. Pięćdziesiąt dolarów wydawało się nieprzebraną fortuną. To był wspaniały dzień.

Dopóki Lily wszystkiego nie zepsuła. Zrobiła to niechcący, była jeszcze za mała, żeby umieć trzymać język za zębami. Wygadała się, a mama oberwała od Ryana za przepuszczenie pieniędzy i zwymiotowała całe śniadanie łącznie z lodami. Więc to była naprawdę strata kasy.

Ojciec Augusta podszedł ciężkim krokiem do Chalkiego i uściśnął mu dłoń. Miał przysadziłą budowę i lśniącą, brązową czaszkę, a gdy się uśmiechał, jego usta zaokrągląły się, jakby wymawiał „o”.

– Dziękuję – powtarzał. – Dziękuję, panu. Uratował pan naszego syna.

Ben był ciekaw, czy August rzeczywiście został uratowany. Większość jego kumpli z Pari zwykle ponownie lądowała w kiciu w ciągu pierwszego roku od wypuszczenia. Ben oglądał *One News* tylko po to, żeby dowiedzieć się, kto akurat wracał.

– Zanim siądziemy do jedzenia – zaczął Chalkie, a jego głos wybił się

ponad gwar. – Byłbym zapomniał. Ben, nasz nowy druh, skomponował piosenkę na pożegnanie Augusta. Przy słowach pomagał mu Danny.

Sala z niebieską wykładziną i wysokimi oknami ucichła. Benowi zmiękły kolana. Wyciągnął kartkę, udając, że czyta, chociaż wykuł praktycznie cały tekst na pamięć. Zaczął potrząsać głową i kołysać się w rytm wymyślonego bitu.

Hej, August, odchodzisz od nas dzisiaj, wielka szkoda,

staliśmy się rodziną,

będzie cię nam brakować.

Gdziekolwiek się nie znajdziesz,

pamiętaj w każdej chwili –

żadnych dragów, promili, choćby cię kusili.

*Wykorzystaj tę szansę, nie zrób nam zawodu masz talent, bracie,
więc teraz wal prosto do przodu.*

Tikanga.

Zerwały się oklaski, gwizdy i pokrzykiwania. „Tak jest!”. „Rządzisz, stary!”. „Brawo!”. To było dobre uczucie.

Ben umoczył pasztecik z kiełbasą w sosie pomidorowym i wepchnął go sobie do ust. Żałował, że August odchodził – przez ostatnich sześć tygodni bardzo się skumplowali. Dzięki temu mógł jednak zająć teraz jego celę i przenieść się tu na stałe.

W GŁĘBI

Czuję podniecenie jak w oczekiwaniu na nadejście czegoś nowego. Jak na widok drobnych zielonych pączków na szkieletach pozimowych drzew. Odnalazłeś waka i odkryłeś piękno kaupapa Māori. Lecz nie wolno mi popadać w euforię. Nie wszedłeś jeszcze na pokład, a i dalej wciąż długa droga, zanim uda się sprowadzić cię do domu. Tyle może się zdarzyć w międzyczasie.

Dom, Benjaminie, to nie będzie tamten dawny świat, o którym ci opowiadałam. On już nie istnieje. Taka jest kolej rzeczy, nic nigdy nie trwa wiecznie. Kolonizacja wprowadziła zmiany tak dobre, jak i złe, żadnych z nich nie da się odwrócić. Czas płynie w jednym kierunku. Możesz jednak iść dalej, czerpiąc z bogactw swojej przeszłości. Weź ze sobą najcenniejsze wartości twojego ludu i przestrzegaj ich w zetknięciu z innymi kulturami, które później spotkasz.

Spoglądam właśnie na Te Noho Kotahitanga Marae. Podziwiam główny maszt wykuty w mosiądzu, zdobiony motywem roślinnym. Wybitny rzeźbiarz doktor Lyonel Grant, stworzył kompozycję dwóch pnączy o oddzielnych korzeniach, które wiją się i przeplatają wokół słupa, aż w końcu nie sposób określić, do której rośliny należą poszczególne liście i łodyżki. A jednak każde z nich musi być pielęgnowane osobno, inaczej jedno mogłoby umrzeć, a drugie zbyt się rozkrzewić. Wspólnota rodzi się z połączenia różnorodności.

* Tekst oryginalny i przekład ang. – www.kawhia.maori.nz/haka.html (przyp. aut.);

przekład pl. – pl.wikipedia.org/wiki/Haka (przyp. tłum.).



BEN

Chalkie zapukał w otwarte drzwi celi. Ben leżał na łóżku.

– Co tam, Chalkie?

– Masz gościa.

Ben usiadł, spuszczać nogi na ziemię.

– Nikogo nie zgłosiłem.

– Przekonałem strażników, żeby darowali sobie formalności – odparł Chalkie. – Zgodzili się przymknąć oko na papiery i całą resztę. Mam nadzieję, że mnie nie zawiedziesz.

Ben wstał, zaintrygowany.

– Powiesz mi, kto to jest?

Chalkie zawahał się.

– Carla Reid. – Słowa wpadły do pokoju jak martwe ciało. – Przyjechała do ciebie aż z Auckland.

Ben skamieniał, wpatrując się w dwa kikuty palców Chalkiego.

W progu stanął Neil, dozorca bloku, z parą kajdanek w garści.

– Przykro mi, Ben, takie są przepisy.

Ben wyciągnął ręce.

– W porządku, Neil. Żaden problem.

Stała w sali widzeń przodem do okna, zalana słonecznym blaskiem. Ktoś zostawił na parapecie plastikową butelkę wody i przenikające przez nią promienie złapały kobietę w świetlną tęczę.

Odwróciła się.

Ben przystanął.

Ruszyła ku niemu z wyciągniętymi rękami. Ben podniósł skute nadgarstki i oboje uśmiechnęli się na widok tej niedogodności. Musnęła jego dłonie. Jej dotyk przeszył go jak ładunek prądu.

Pachniała ładnie. Światem na zewnątrz.

I nagle znowu był małym chłopcem.

Spadł z drzewa i maże się jak dzieciak. Mama bierze go w ramiona – ciepło jej skóry, zapach szamponu, czułe, kojące słowa.

– Miło cię widzieć, Ben – odezwała się Reid, a jej cichy głos poruszył cały pokój.

Nie wiedział, co odpowiedzieć.

– Pomyślałam, że już czas wrócić do naszych lekcji – oznajmiła rzeczowym tonem, jak gdyby widzieli się nie dalej niż tydzień temu. – Wiem od Chalkiego, że próbujesz trochę czytać sam.

Ben obejrzał się na swojego mistrza, po czym przeniósł wzrok znowu na nią.

– Tak jakby.

– Więc przyniosłam ci kilka dawnych książek Jacka. – Gestem wskazała

dwa krzesła.

Ben usiadł powoli. Dziwnie było znów znaleźć się obok niej.

– I mam też coś jeszcze.

Ben odwrócił głowę. Nie był w stanie znieść dalszych gierk i ciągłego wypominania tego, co kiedyś zrobił. Wiedział już, jakim był wtedy bydlakiem.

– Neil i Chalkie stanęli na głowie, żeby mi pomóc – powiedziała, wyjmując coś z lnianej torby leżącej na ziemi.

Ben zmarszczył brwi. Zrozumiał ukryte ostrzeżenie: „Nie spieprz tego”. Ale o co może jej chodzić?

Wyciągnęła kartonowe pudło z robotem kuchennym na obrazku. Robot kuchenny? Co niby ma z nim zrobić? Znowu jakaś historia z gotowaniem! Pudełko było pokryte dziurkami, jakby ktoś ostrzelał je z wiatrówki.

– Co to...?

– Zajrzyj – powiedziała, kładąc mu je na kolanach.

Było lżejsze, niż się spodziewał. Odchylił skrzydełka.

– Jezu!

Z wnętrza spojrzała na niego para okrągłych oczu należąca do futrzanej kulki ze spiczastymi uszami.

Proszę, mamó, tak bym chciał mieć kotka. U Paniai urodziło się sześć małych. Weźmy jednego, proszę.

Pania była dziewczyną Bena, kiedy miał sześć lat. Mieszkała po sąsiedzku.

Zapytaj Ryana.

Ben rozłożył skrepowane kajdankami ręce i ujął małe stworzonko. Było takie miękkie. Jak nic w więzieniu.

Kota? Chyba upadłeś na głowę. Każdy kot, który pojawi się w tym domu, skończy jako żarcie dla Diesla.

Pod dotykiem puszystego ciała poczuł mrowienie w palcach i w jednej chwili obrazki z przeszłości, które zepchnął w najciemniejsze zakamarki głowy, stanęły mu przed oczami.

Czarne włosy Paniai opadające ciężkimi falami na ramiona...

Podróże rozklekotanym wrakiem samochodu na podwórku – Pania obok niego, Lily na tylnym siedzeniu. Tak się śmiali, aż Lily zwymiotowała...

On i Pania trzymający się za ręce na boisku...

Pania czytająca mu na głos za mleczarnią, oplatająca go długimi, jedwabistymi słowami...

Wyprowadzka rodziny Paniai.

– Będę ją przynosić ze sobą za każdym razem – powiedziała Reid. – Jest twoja.

Jest twoja. Ben nigdy nie posiadał nic wartościowego.

– Jeszcze nie ma imienia.

– Pania – powiedział Ben. – Nazywa się Pania.

CARLA

– Jak poszło? – zapytał Paul, odkładając gazetę i prostując oparcie siedzenia. Dach kabrioletu był opuszczony i wewnątrz samochodu tonęło w słońcu.

Carla go pocałowała.

– Kociak zrobił furorę – powiedziała. Ostrożnie wyjęła Panię z pudełka i wpuściła ją do klatki dla kotów na tylnym siedzeniu. – Nie mógł się z nią rozstać. – Otworzyła drzwi i opadła na fotel pasażera z ciężkim westchnieniem.

– Dziękuję, Paul. Za wszystko.

– Ja tylko robię za kierowcę – odparł, uruchamiając silnik. – Cała reszta to twoja zasługa, nie zapominaj o tym.

W drodze powrotnej do Auckland Carla zrelacjonowała mu przebieg spotkania. W końcu jednak zamilkła i wyłączyła się, ukojona podmuchami wiatru we włosach. Czuła zmęczenie, ale w dobrym tego słowa znaczeniu. Stresowała się przed wizytą u Bena cały tydzień.

Obudził ją dotyk palców Paula na głowie.

– Już? – wymruczała sennie, rozglądając się dookoła. Stali pod ogromnym drzewem *pōhutukawa*, którego powyginane gałęzie nachylały się nad szerokim, zielonym zboczem opadającym ku rzece. W trawie, niczym wielkie jaskry, sterczały żółte parasole.

– Jeszcze nie, ale pomyślałem, że czas coś przekąsić. Nie wiem jak ty, ale ja zjadłbym konia z kopytami.

Zamówili w barze obiad i usiedli przy stoliku koło samochodu, żeby mieć oko na Panię. W restauracji panował spory ruch jak na dzień roboczy. Jedząc, obserwowali ludzi wokół siebie.

Mała blondynka o pucułowatych policzkach pełzała po trawie pod czujnym okiem nieco starszego chłopca, który co jakiś czas upominał ją przesadnie dorosłym tonem: – Nie, nie, nie. Nie tam, młoda damo!

Kobieta, którą Carla wzięła za matkę, siedziała trochę dalej w szerokim słomkowym kapeluszu ocieniającym jej twarz.

– Kalmary mogłyby być mniej ostre – rzekł Paul, pociągając łyk piwa. – Ale i tak całkiem, całkiem. Chcesz spróbować?

Gdy Carla nachyliła się nad wyciągniętym ku sobie widelcem, zauważyła, że dziewczynka drepcze prosto w stronę wody, zaś jej mały opiekun wspina się w tym czasie na drzewo.

– Uwaga! – krzyknęła Carla i skoczyła na równe nogi, przewracając butelkę piwa Paula.

Rzuciła się w dół zbocza i dopadła małej w chwili, kiedy ta zawisła już na krawędzi. Złapała ją w ramiona, a dziecko zanosło się przeraźliwym wyciem, które w te pędy przygnało na miejsce matkę.

– Dziękuję – wysapała zdyszana, przejmując zawodzące dziecko z ramion Carli. – Bardzo panią przepraszam!

Chłopiec spuścił się z drzewa i dyndał na najniższej gałęzi.

– Miałeś pilnować siostry! – krzyknęła na niego matka. – Mało się nie utopiła.

– Wystarczy chwila nieuwagi – powiedziała Carla, próbując załagodzić sytuację. Jej wzrok napotkał oczy kobiety. Ich kolor był nie do pomylenia. Znała te oczy. Tę twarz. Te długie, kasztanowe włosy.

– Czy my się nie znamy? Ja...

Kobieta spłonęła rumieńcem.

– Pani przysłała na pogrzeb Jacka – rzekła Carla powoli.

Kobieta skinęła głową.

Paul, z wielką, ciemną plamą na koszuli, zbliżył się do nich.

– Wszystko w porządku?

Zapadła niezręczna cisza przerywana jedynie chlipaniem małej wędrowniczki.

– Pani Reid? – upewniła się młoda kobieta.

Carla przytaknęła.

– Panie się znają? – spytał Paul ze zdziwieniem.

Jego obecność nagle podziałała Carli na nerwy.

Kobieta wyciągnęła piegowatą dłoń.

– Jestem Myra.

– Nie miałyśmy okazji wtedy porozmawiać – zaczęła Carla. – Ja... Chciałam zapytać... Zawsze się zastanawiałam. Była pani jego dziewczyną, prawda?

Oczy kobiety wypełniły się łzami.

– Może usiądzie pani z nami na chwilę? – zaproponował Paul.

– Powinnam uśpić Olivie i...

– Olivia? – powtórzyła Carla z uśmiechem. – Śliczna dziewczynka. Ile ma?

Kobieta pogładziła córeczkę po włosach.

– Dwadzieścia trzy miesiące i nieznośny charakter.

Carla zerknęła na chłopca, który wciąż czał się za drzewem.

– A synek?

– Siedem – odparła krótko.

– Proszę się na niego nie gniewać – rzekła Carla, dotykając jej ramienia.

– Chłopcy czasem nie widzą, co się wokół nich dzieje.

Kobieta spróbowała ukryć napięcie pod nieporadnym uśmiechem.

– Proszę z nami usiąść – powiedziała Carla, wskazując na stolik.

– Naprawdę musimy już jechać – odmówiła Myra. – Olivia powinna iść spać i...

– Tylko na jedną szklaneczkę – nalegał Paul. – Należy mi się drugie piwo.

Kobieta zawahała się.

– Mamo, patrz, co znalazłem! – zawołał jej syn, biegnąc ku niej z wyciągniętymi rękami.

Na jego widok Carla poczuła, że krew ucieka jej z twarzy, a w dziąsłach zaiskrzyło mrowienie.

– W porządku, Carl? – spytał Paul, gdy się o niego wsparła.

Lekko rozmyte oczy. Długie rzęsy. Grzywa atramentowych włosów. Szeroki uśmiech. Tamten uśmiech.

– To modliszka, mamó! Chyba coś jej jest – powiedział malec, ostrożnie rozwierając dłonie.

– Tak? – rzekła jego mama z roztargnieniem.

– Możemy wziąć ją do domu i się nią zaopiekować?

– Josh, ekhm...

Carla chłonęła całą scenę jak zahipnotyzowana.

– Maaamooo, słyszysz?

– Musimy porozmawiać – rzekła Myra pośpiesznie. – Ale nie teraz. Spotkajmy się kiedyś same.

– Mogę zabrać dzieci na lody, jeżeli tak będzie prościej – zaoferował Paul.

Kobieta rzuciła wokół siebie spłoszone spojrzenie.

– Będzie nas pani stąd widzieć – dodał dla uspokojenia.

Koniec końców dzieci pobiegły do kawiarni z Paulem, a obie panie usiadły razem, by porozmawiać.

– Czy on...? – odezwała się wreszcie Carla drżącym głosem.

Myra skinęła głową i nos jej poróżowiał.

– Nie rozumiem. Jak? To znaczy kiedy to się stało?

– Pani Reid... – zaczęła Myra i ujęła dłonie Carli nad stołem.

– Proszę, mów mi Carla.

– Carla. Dowiedziałam się, że jestem w ciąży na tydzień przed śmiercią Jacka. Wszystko się posypało. To było jak zły sen. Najpierw spadła na mnie wiadomość, że spodziewam się dziecka, a zaraz potem utraciłam Jacka. – Słowa płynęły jej z ust chaotycznie. – Nie mogłam ci powiedzieć. Nie znałyśmy się nawet. A moi rodzice... są katolikami. Przed Jackiem nigdy wcześniej z nikim nie chodziłam. Więc poprosiłam o pomoc jego kolegę, Russella.

– Russella? Russella Catchpole'a?

– Tak. Powinnam się domyślić, że go znasz. Najlepszy przyjaciel Jacka. W tamtym czasie byliśmy trochę jak trzej muszkieterowie. On, Jack i ja.

Wszystko robiliśmy razem. I Russell pomógł mi bardziej, niż mogłabym sobie wymarzyć. Zgodził się ze mną ożenić.

– Ożenić? – powtórzyła Carla, nie wierząc własnym uszom.

– Siedem miesięcy później urodził się Josh.

Russell, który przez całą szkołę praktycznie u nich mieszkał. Po tym, jak jego rodzice przeprowadzili się do Kerikeri, Reidowie zabierali go z internatu niemal w każdy weekend. Russell, z którym potem Jack wynajął mieszkanie.

Carla gubiła się w natłoku chaotycznych myśli.

– Czyli on... Joshua... jest moim wnukiem?

Myra zamknęła oczy, a po policzkach spłynęły jej łzy.

Miała wnuka! Nikt jej nie powiedział. Synek Jacka! Jak Russell śmiał trzymać to przed nią w tajemnicy? Jak ta kobieta...

– Pani Reid... Carlo. Josh nie wie o Jacku. Jeszcze nie. Russ wspomniał sobie z nim radzi. Tak jest po prostu łatwiej. Po co to komplikować? Chcemy mu powiedzieć, kiedy trochę podrośnie. On ma dopiero siedem lat, zrozum. – Modre oczy patrzyły na nią błagalnie.

– Czy on wiedział? – zapytała Carla. Umysł wypełniły jej urywki wspomnień z okresu przed śmiercią Jacka. Próbowwała teraz doszukać się w nich sygnałów, których wówczas nie zauważyła.

Myra skinęła głową.

– I jego lekarka. Nikt więcej. Przepraszam. Jack zamierzał porozmawiać na ten temat z tatą, ale nie chciał was niepokoić, dopóki nie obmyśliłby całego planu. A potem wszystko się zmieniło. Jack zginął.

Carla przesunęła palcami po stole, śledząc wzrokiem ciemne rowki

pomiędzy deskami.

– To straszne, co cię spotkało – rzekła w końcu. – Nie wyobrażam sobie, jakie to musiało być trudne... ukrywać coś takiego i to jeszcze w takich okolicznościach. Bardzo ci współczuję.

Twarz Myry na moment się rozluźniła. Kobieta wydmuchała nos i rzuciła niespokojne spojrzenie w kierunku kawiarni.

– Wygląda jak skóra zdjęta z Jacka – powiedziała Carla, potrząsając głową. – Wypisz, wymaluj.

Myra skinęła głową.

Syn Jacka. Syn Jacka. Syn Jacka.

– Mamo, pats! Potlójna czekolada! – Olivia przytoczyła się do nich przez trawnik.

Chłopiec został z tyłu, zajęty rozmową z Paulem. Poruszał się ze zwolnionym podrygiwaniem Jacka.

– Mamo, wiesz, że Paul ma ferrari testarossa? Właśnie je odnawia – powiedział, zachłyśnięty z przejęcia. Stał tuż obok Carli, na wyciągnięcie ręki.

– Co ty nie powiesz? – Myra uśmiechnęła się z trudem.

– Możemy go kiedyś zobaczyć? Możemy? Proszę.

– Josh ma bzika na punkcie samochodów – wyjaśniła Myra przepraszająco i wzięła syna za rękę. – Porozmawiamy z tatą. Byłoby mu przykro, gdybyśmy go ze sobą nie zabrali, prawda?

Carla oblała się rumieńcem. Tata. Słowo ugodziło ją w serce.

– Naprawdę musimy już iść – powiedziała Myra stanowczo, tłumiąc

emocje w głosie. – Odezwę się. – Dotknęła ramienia Carli. – Ciągle mieszkasz na farmie?

– Och, nie! – zaprzeczyła Carla. Wygrzebała z torebki długopis i zanotowała swój numer na odwrocie sklepowego paragonu. – Jak mogę się z tobą skontaktować? Mieszkasz tu w okolicy?

– Ja zadzwonię – odparła Myra łagodnie. – Miło było cię poznać, Kevinie.

– Paul – poprawił z zażenowanym uśmiechem.



CARLA

Piłka tenisowa potoczyła się po podłodze. Pania podskoczyła i wbiła pazury w jaskrawozielony meszek. Ben parsknął śmiechem.

– Kiciuś, chodź tu do mnie.

Kociaka jednak interesowało wyłącznie to, co działo się z piłką.

– Ależ ona urosła.

– To prawda – odparła Carla z uśmiechem. – Co wydaje się raczej dziwne, zważywszy na to, jak grymasi przy jedzeniu. Panienka Pania nie tknie byle czego.

– Jack miał kota?

Ostatnio Ben zaskakiwał ją pytaniami ni z gruszki, ni z pietruszki. Nigdy nie było wiadomo, z czym zaraz wystrzeli. Zdarzały się wśród nich dość obcesowe, nazbyt osobiste i Carla odruchowo się przed nimi broniła, nadal wylękniona, że Ben zdoła narobić więcej zamieszania, choćby tylko w jej własnych wspomnieniach. Sama chciała decydować o tym, czym się z nim podzieli. Jednak mimo oporów, w głębi duszy miała przeświadczenie, że ta nagła ciekawość nie wynikała z podstępnej chęci zbierania informacji, tylko ze szczerego zainteresowania jej życiem, co stopniowo pogłębiało zażyłość między nimi.

Zażyłość? Między tym młodym mężczyzną a nią coś się wytworzyło – coś niespodziewanego, przerażającego i pozytywnego zarazem.

Carla otrząsnęła się z rozważań.

– Tak, Ben. Prawdę mówiąc, miał całą arkę Noego! Od pagony po rodzinę dwudziestu sześciu myszy. Była papuga Sindbad, syjamska kocica Kleopatra i świnka morska Tutti. Łapał nawet żaby w sadzawce koło farmy i przynosił je chyłkiem do domu schowane pod czapką.

Ben roześmiał się na myśl o Jacku przemycającym żaby za plecami matki.

– Chojrak!

Carla parsknęła śmiechem.

– To prawda, był z niego niezły urwis. A ty Ben? Miałeś zwierzęta?

Ben spojrzał na swoje buty.

– Nie. To znaczy... tak. Mieliśmy kundla, który nazywał się Diesel, tylko że to nie był taki domowy pies. I sukę, Tequilę. Urodziła szczeniaki, ale nie pamiętam, co się z nimi stało. – Urwał, a po twarzy przemknął mu cień. Zaraz jednak znów się rozpogodził. – Kiedyś moja koleżanka Pania dała mi słoik jedwabników. Chodziłem do niej do ogrodu, żeby zbierać liście takiej specjalnej rośliny, która nazywa się trojeść, bo one tylko to jedzą.

– To brzmi raczej jak larwy monarchy.

– Tak czy siak my z Panią...

– Pania i ja – poprawiła Carla.

– Pania i ja mieliśmy taki plan, że otworzymy fabrykę jedwabiu i będziemy bogaci. – Ben roześmiał się z zakłopotaniem. – Ale Ryan cisnął

słoikiem w Cody'ego za to, że się posrał, w sensie narobił w majtki, i na tym się skończyło. Cody uderzył w ryk, a moje jedwabniki trzeba było zbierać ze ściany.

– A czy któryś z nich zdążył się przepoczwaczyć? – zapytała Carla, aby uciec od przykrych tematów.

– Nie.

Pania podbiegła ku nim, a Ben rozpromienił się i chwycił kotka.

– Spróbuję je dla ciebie zdobyć – powiedziała Carla. – To niesamowita sprawa obserwować ich fazy rozwoju od czarnego jajeczka na liściu, przez gąsienicę, poczwarkę aż do motyla.

Kiwnął głową. Widziała, że jej nie wierzył. Najwyraźniej wolał nie robić sobie nadziei, żeby potem się nie rozczarować. A może zwyczajnie mu nie zależało. W końcu był dorosłym mężczyzną, a ona wciąż traktowała go jak nastolatka. Chociaż czasem wydawał się taki słaby i nieopierzony, że instynktownie wyzwał w niej opiekuńczość.

– Wiesz co? – powiedziała Carla, myśląc na głos. – Jest taka piękna opowieść pewnej nowozelandzkiej pisarki. W tej chwili uciekło mi nazwisko. Uch, dziurawa pamięć. W każdym razie... A, już wiem, Patricia Grace. Opowiadanie nosi tytuł *Motyle**. Postaram się wyszukać je w bibliotece.

Ben wzruszył ramionami.

– Powiedz, jak ci idzie pisanie?

Otworzył ćwiczeniówkę, a twarz przesłoniła mu płachta długich włosów.

– Kieprawo.

Carla przebiegła wzrokiem rzędy liter pokrywających stronę.

– Nie, całkiem nieźle, Ben.

Podniósł powoli głowę.

– Naprawdę. Jest okej. Pamiętaj tylko, że przy pisaniu „r”, musisz zacząć od góry z lewej strony i nie odrywać ołówka od papieru. – Nakreśliła ruch palcem w powietrzu.

– Dobra.

Ktoś zakaszał. Carla podniosła wzrok i ze zdumieniem ujrzała trzech wyrostków przyczajonych za drzwiami. Widząc, że ich obecność wyszła na jaw, dwóch z nich dało nogę, ale trzeci, szczupły chłopak z czołem upstrzonym brunatnymi śladami po trądziku, nie ruszył się z miejsca.

– Możemy dołączyć, proszę pani?

– Dołączyć? Do lekcji?

– Mhm.

Dwaj pozostali znów zmaterializowali się w tle.

– Gdzie powinniście teraz być? – zapytała Carla.

– Nigdzie, proszę pani – padło zgodnym chórem.

– Przykro mi, chłopcy, ale...

– Dlaczego tylko Ben może uczyć się pisać i tak dalej?

– Bo wy przecież umiecie, prawda?

Cisza.

– W porządku. Bierzcie krzesła. Sprawdźmy, czy mam więcej ołówków.

Kilka dni później po powrocie do domu Carla zastała wiadomość od dyrektora więzienia z zapytaniem, czy nie zechciałaby wziąć udziału w

programie edukacyjnym placówki. Okazało się, że jej lekcje z Benem wzbudziły szerokie zainteresowanie. Przyjęła propozycję.

Towarzyszące jej od lat wrażenie, że obija się z boku na bok w wagoniku rozpędzonej kolejki górskiej wreszcie złagodniało. Spadki nie wydawały się już tak gwałtowne, a podejścia tak straszliwie strome. Poradziła sobie, kiedy Paul wyjechał na sześć tygodni odwiedzić córkę w Niemczech. I nie załamała się w rocznicę śmierci Jacka i Kevina.

Jedna tylko rzecz nadal ją gnębiła, zaburzając nowo odzyskaną równowagę. Minęło kilka miesięcy, a Myra nie dawała znaku życia. Paul uważał, że nie powinna jej szukać na własną rękę i tylko największym wysiłkiem zgodziła się go posłuchać. Miała wnuka. Gdzieś w Auckland mieszkał syn Jacka. Łatwiej było odpuścić.

* P. Grace, *Butterflies*, w: *Electric City and Other Stories*, Penguin, Auckland 1987 (przyp. aut.) – tłum. A. S.



BEN

– Ben! Hej, Ben! – Głos Isaaca zadudnił w korytarzu.

– Ktoś tu ma kłopoty – dociął Rusty, nowy mieszkaniec bloku, parszcząc przed siebie mieszanką płatków i śliny.

Ben podniósł się od stołu, przy którym jedli śniadanie, i czekał przyczajony jak do walki. W mamrze był zawsze gotowy na najgorsze.

Isaac wpadł do jadalni.

– Ja pierdołę, stary – wysapał – sz-szukam cię wszędzie.

Zwabiony hałasem Chalkie podszedł bliżej i położył Isaacowi rękę na ramieniu.

– Chodzi o... t-te małe... – Isaac nie mógł się wysławić. Ostatecznie machnął tylko ręką w stronę drzwi.

Stółówka opustoszała szybciej niż w czasie ćwiczeń awaryjnych. Każde zamieszanie przynosiło dreszczyk wytęsknionej odmiany. Tupot na korytarzu pociągnął za sobą kolejnych, aż wszystkich dwunastu plus Chalkie pobiegło w stronę świetlicy, przechylając się na zakrętach jak ciężki, hałaśliwy pociąg towarowy.

Neil, dozorca bloku pilnujący wyjścia, zobaczył jak dzikie stado wypadło

zza narożnika i skoczył zamykać bramę, w ostatniej chwili odcinając im drogę, po czym chwycił za krótkofalówkę i krzyknął:

- Alarm na czternastym! Alarm na czternastym!
- O co chodzi, Neil? – wysapał Ben, czepiając się prętów kraty.
- Padnij! – wrzasnął Neil. – Na podłogę!
- Dlaczego? – wyjąkał Wiki.
- Właśnie, co zrobiliśmy?

Chalkie przepchnął się przez tłum zgiętych ciał. Na jego widok Neil nieco złagodniał.

- Ty też, Chalkie.

Chalkie skinął głową i wyciągnął się posłusznie na ziemi. Wiedział, jaka jest procedura.

Ben podpełzł na brzuchu do Isaaca tak blisko, że poczuł na twarzy jego gorący, przyspieszony oddech.

- Powiesz mi, co się stało, Isaac? Powoooooli.

Jąkanie Isaaca mogło doprowadzić człowieka do szału. Jedynymi słowami, przy których nigdy się nie zacinał, były przekleństwa. Płynęły mu z ust wartko jak mocz o poranku.

Isaac nabrał powietrza.

- T-te... p-po... poczwarki. Wszędzie są mo-mo... tyle.

Ben zrazu tylko parsknął, lecz po chwili zarżał na cały głos.

- Co cię tak bawi, kujonie? – syknął Rusty cierpko.

Zapłakany od śmiechu Ben puścił przycinek mimo uszu. Umiał już nie

reagować na większość zaczepek. Z jego dawnej złości zostały zaledwie resztki tlącego się żaru.

Wezwany do pomocy oddział posiłkowy znalazł trzynastu skazanych tarzających się na podłodze pośród wybuchów wesołości. Trochę czasu zajęło wyjaśnienie całego zajścia, ale w końcu krata została otwarta i skoordynowana grupa więźniów podążyła grzecznie do świetlicy.

Isaac wysforował się, szczerząc zęby w uśmiechu.

– W-widzicie? – Kręcił się w kółko niczym ciężka, kudłata baletnica, wskazując palcem na sufit.

Nad ich głowami, jak jesienne liście podrzucane podmuchami wiatru, furkotały motyle o pomarańczowych skrzydłach roziskrzonych w słońcu.

W pokoju zapadła cisza. Słyszać było tylko ich oddechy. Wszyscy patrzyli w górę, gdzie odbywał się niecodzienny spektakl.

Czyli te małe, śmieszne robale, które przyniosła Reid, w końcu się rozwinęły, pomyślał Ben.

Isaac zaczął liczyć.

– Pięć koook-konów. Cz-tery m-motyle.

Koledzy rzucili się sprawdzić dwie donice z krzaczkami trojeści ustawione w kącie. Odkryli cztery pęknięte, puste powłoczki jedwabiu i jeden nienaruszony kokon. Nie był już jednak seledynowy z żółtymi wypustkami, lecz niemal przezroczysty, z pomarańczowo-czarnym stworzonkiem skulonym w środku.

– Pokaż!

– Hej, odsuń się!

– Nie włącz na mnie, zasrańcu!

– Spierdalaj!

Pchali się i potracali, żeby zobaczyć z bliska. Ben zachowywał spokój. Kiedyś zmiotłby każdego, kto ważyłby się go szturchnąć.

Cały pokój wibrował z podniecenia niczym wielka maszyna do popcornu. Do końca dnia żaden się nie poruszył w oczekiwaniu, aż pęknie ostatni kokon. Zrezygnowali nawet z obiadu, bo Neil nie pozwolił im jeść na świetlicy. *Klawisz to jednak klawisz, choćby nie wiem co*, pomyślał Ben. Przy czym nie omieszkał zauważyć, że Neil też przez cały dzień kręcił się pod drzwiami, wynajdując jeden pretekst za drugim, żeby wsadzić głowę do środka i rzucić okiem na więźniów (i na kokon).

Dobrze, że nikt z dawnych znajomych, jeszcze z czasów wolności, teraz Bena nie widział, jak sterczy przy roślinie w doniczce, czekając, aż wykluje się motyl! Szajba... ale pozytywna.

Późnym popołudniem byli już mocno znudzeni, a Ben zaczął podejrzewać, że ostatni owad nie przeżył. Aż nagle dziesięć po czwartej, kiedy słońce kładło się wielkimi, żółtymi plamami na podłodze, kokon zaczął się trząść... Delikatne drżenie poczwarki skupiło na sobie wszystkie przejęte oczy. Po kilku wygibasach z osłonki coś wypełzło. Długi, pokraczny owad – nic, czego Ben się spodziewał.

Żyjątko zawisło na rozdartym woreczku i trwało tak przez całą wieczność, zanim ściśnięte skrzydła z wolna się rozpostarły – jak te magiczne kapsułki kupowane przez niego i Lily w sklepie na rogu, które po wrzuceniu do wody przybierały superfajne kształty – ośmiornicy, ryby lub rozgwiazdy.

Stwór wyprostował się. Wysubtelniał. Zatrzepotał skrzydłami z gracją. A potem zerwał się i odleciał!

Ben nigdy w życiu nie widział nic równie oszałamiającego.

W GŁĘBI

Kobieta stoi boso, a długie siwiejące włosy upięte ma w gruby kok, z którego sterczy pęk kolorowych piór. Jej twarz nosi spokojne ślady czasu.

Kobieta wyciąga nad sobą ręce pulsujące życiem. Jej wysoki głos wzbija się w dźwięcznym powitaniu jak trel tui. To jedna z tangata whenua – gospodyń. Za nią stoją dumnie drewniane ściany świątyni – spadzisty dach otwiera gościnnie ramiona, zdobienia upamiętniają dawne wydarzenia i legendy, a w niebieskich oczach, wielkich jak uchowce, kryje się mądrość dziejów.

Kaikaranga wychodzi jej naprzeciw. To również kobieta. Jej głos jest mocny i słodki niczym miód manuka, gdy śpiewa w odpowiedzi. Jej ręce tak samo drżą i również nie ma butów. Jest wysłanniczką manuhiri – przybyszy.

Następuje melodyjna rozmowa między nimi, negocjacje i wymiana pozdrowień, aż wreszcie rozbrzmiewa ton zachęcający do wejścia.

Ruszają wolno ku symetrycznej konstrukcji, której kręgosłup i żebra wspierają się na słupach spojonych solidnymi ścianami wyplatany z tęgoshu.

Nasłuchuj karanga, Benjaminie Toroa. Czekał na zaproszenie, aby zdjąć buty i wstąpić do whareniui twoich przodków. Świątynia wciąż istnieje mimo tego, co się wydarzyło. Wśród twojego ludu znaleźli się tacy, którzy ją ocalili.

Kiedy jednak nadejdzie ten moment, zostawię cię na progu. To nie moja rola, by wepchnąć cię do środka. Sam musisz podjąć wyzwanie.



CARLA

– Babcia zaplotła włosy wnuczki w dwa warkoczyki i powiedziała: „Weź drugie śniadanie. Włóż do torby. Bierz jabłko. Po szkole wracaj prosto do domu. Słuchaj pani nauczycielki. Rób wszystko, co powie”.

Carla przerwała czytanie i podniosła wzrok. Cała sala trwała w bezruchu. Łącznie z motylami. Trzydzieści brązowych, okaleczonych i pokrytych bliznami twarzy słuchało w absolutnym napięciu.

Poprzedniego dnia dostała pilną wiadomość od Neila. Powiedział, że motyle się wykluły, i nalegał, by koniecznie przyjechała. Nie był to wprawdzie czwartek, kiedy zwykle udzielała lekcji, ale jej potrzebowali. Wzięła więc dzień urlopu w bibliotece i ruszyła na północ z książką Patricii Grace w torbie.

Podjęła lekturę:

– Dziadek stał na schodach przed domem. Odprowadził dziecko do furtki i dalej, na ulicę. Powiedział do sąsiadki: „Nasza wnuczka idzie do szkoły. Mieszka teraz z nami”. „Fajna dziewczuszka – powiedziała sąsiadka. – Świetnie wygląda z tymi warkoczykami”. „I mądra – dodał dziadek. – Codziennie pisze w zeszycie”. „Rzeczywiście fajna dziewczuszka” – przytaknęła sąsiadka. Dziadek poczekał z wnuczką na przejściu i powiedział: „Idź do szkoły. Słuchaj pani nauczycielki. Rób wszystko, co powie”. Kiedy

wnuczka wróciła do domu, dziadek wykopywał kapustę. Babcia zbierała fasolę. Oboje przerwali pracę. „Przyniosłaś zeszyt do domu?” – zapytała babcia. „Tak”. „Napisałaś opowiadanie?”. „Tak”. „O czym?”. „O motylach”.

Isaac sapnął z przejęcia.

– O mo-mo...

– Zamknij dziób! – krzyknął Rusty.

– Sam zamknij! – warknął Wiki.

– Ćśśś – syknęło pozostałych dziesięciu.

Carla zniżyła głos, żeby znów przykuć uwagę słuchaczy: – „Weź zeszyt. Przeczytaj, co napisałaś”. Wnuczka wyjęła zeszyt ze szkolnej torby i otworzyła. „Zabiłam wszystkie motyle – przeczytała. – To ja, a to wszystkie motyle”.

Po sali przeleciał szmer. Ben drapał Panię za uchem.

– „Pani w szkole się podobało?”. „Nie wiem”. „Co powiedziała?”. „Powiedziała, że motyle to piękne owady. Wylęgają się i fruują w słońcu. Powiedziała, że siadają na wszystkich ładnych kwiatkach. Składają jajeczka, a potem umierają. Powiedziała, że nie wolno zabijać motyli”. Dziadek i babcia bardzo długo nic nie mówili, a ich wnuczka, z zeszytem w rękach, stała w słonecznym ogrodzie. „Bo widzisz – powiedział dziadek – pani nauczycielka kupuje kapustę w sklepie, więc to pewnie dlatego”.

Nikt się nie poruszył. Carla opuściła książkę i z uśmiechem powiodła wzrokiem po nasrożonych twarzach.

– Co myślicie?

– Do dupy – stwierdził Wiki. – Ta mała zabiła motyle.

– No! – dołączył inny oburzony głos.

– To prawda – rzekła Carla, uważnie dobierając słowa. – I gdyby ktoś zabił te motyle – wskazała na pomarańczowe punkciki rozsiane po całej sali – byłoby wam przykro.

Chłopcy od sześciu tygodni skakali wokół swoich pupili, dbali o ich wygodę i jedzenie, czekali, obserwowali, a nawet robili im zdjęcia.

Sala odpowiedziała zgodnym kiwaniem głów.

– To boli, kiedy człowiek traci coś, co kocha i na czym mu zależy.

Ben spuścił oczy.

– Ale mnie się wydaje, że Patricia Grace miała na myśli coś jeszcze. W życiu wiele zależy od punktu widzenia – mówiła Carla. – Żeby pojąć, co drugi człowiek myśli, czuje i dlaczego zachowuje się tak, a nie inaczej, trzeba zrozumieć, kim jest. Postawić się w jego położeniu.

Pociągnęła łyk wody z butelki. Żaden z więźniów nie drgnął. W głębi pod ścianą stał mężczyzna, którego nigdy wcześniej nie widziała.

– Dla dziewczynki i jej dziadków motyle były szkodnikami, które wygryzały dziury w liściach uprawianej przez nich kapusty i niszczyły im zbiory. Nauczycielka nie rozumiała tego, kiedy przeczytała wypracowanie dziewczynki.

Kilka głów przytaknęło, a na niektórych twarzach pojawił się uśmiech.

– Wasze motyle to monarchy – ciągnęła Carla.

– Po maorysku „kahuku” – wtrącił Chalkie.

– Aztekowie, czyli lud dawnej cywilizacji, uważali je za powracające dusze poległych wojowników, bo ich kolorowe skrzydła odpowiadały

barwom wojennym. Ale w tej historii chodzi zapewne o bielinka kapustnika – wyjaśniła Carla. – To inny gatunek motyli. Też są bardzo piękne. Mają białe skrzydła zakończone czarnymi plamami. Ale składają jaja w kapuście, a larwy po wykluciu żerują na jej liściach. Potrafią poważnie uszkodzić całe plony.

– Nie cierpię jebanej kapusty – bluzgnął Rusty.

Nikt mu nie odszczeknął. Carla była pod wrażeniem. Pozostali zdążyli przywyknąć do jego ciągłych prób wszczęcia awantury i, chociaż doprowadzał ich czasem do szału, zdawali się rozumieć, że był jeszcze nowy. Każdy z nich też kiedyś znalazł się w tym ciemnym zaułku – tej bezcelowej pustce, gdzie pozostało już miejsce tylko na złość.

– To co? Jesteście gotowi, żeby je wypuścić? – zapytała Carla po chwili.

– Wypuścić? – rozległy się zdumione okrzyki.

– Tutaj nie mają co jeść – tłumaczyła ponad wrzawą protestów. – Nie wystarczą im dwie usychające rośliny i miseczka wody. Nie możecie zrobić z nich więźniów.

Ostatnie słowo ugodziło celnie, w jednej chwili tłumiąc wszelki sprzeciw.

– Motyle muszą jeść, parzyć się i przenosić pyłek z kwiatka na kwiatek – ciągnęła. – Taka jest ich rola.

Rusty zacharczał oblesnie, wyrzucając biodra do przodu.

– Wiecie, że motyle dotykają nogami tego, co akurat chcą zjeść?

– Ja pierdolę!

– Rusty! Pamiętaj, jakie są zasady na tym bloku – upomniał mężczyznę Chalkie.

– Robią tak, bo ich receptory smakowe, czyli nibyjęzyki, znajdują się na odnóżach.

To wywołało falę wesołości. Ben oświadczył, że stanie na swojej owsiance następnego ranka, a Wiki obiecał, że wylizze mu stopy. Twarz nieznanego mężczyzny w kącie sali także rozjaśnił uśmiech.

– Czyli wypuszczamy skubańców – mruknął Ben.

– Przyniosłam ze sobą siatki – rzekła Carla, wstając. – Musicie się podzielić na grupy po dwie, trzy osoby, bo jest tylko pięć motyli. Możecie łapać je rękami, ale ostrożnie, ich skrzydełka są bardzo delikatne. Łatwo zetrzeć z nich łuski palcami.

Wysypali się na podwórze w karminowym świetle zachodzącego słońca. Carla objęła wzrokiem gromadę młodych mężczyzn skupioną na niewielkim kwadracie trawnika – silnych, roślących byczków o masywnych dłoniach z namaszczeniem tulących kruche życie. Kto pierwszy odważy się wypuścić swój skarb na wolność?

– Proszę pani. – Ben podszedł do niej. Miał puste ręce. Oddał swojego motyla Roachowi.

– Słucham, Ben?

– Pani mieszka w Albany, tak?

– Tak – odparła ostrożnie, bo z miejsca włączył się jej instynkt samozachowawczy. – Czemu pytasz?

Pokręcił głową.

– Co?

– Dowiedziałem się czegoś wczoraj. Wie pani, jaką Albany miało dawniej nazwę?

Pozostali zaczynali się wiercić. Każdy czekał, aby to ktoś inny uwolnił motyla jako pierwszy.

– Lucas Creek. Chyba tak się kiedyś mówiło – odpowiedziała Carla.

Ben potrząsnął głową.

– Mam na myśli maoryską nazwę całego regionu.

Carla zaczynała się niecierpliwić. To była ważna chwila. Nie chciała zburzyć nastroju.

– Ben, możemy wrócić do tego póź...

– *Okahukura* – rzekł z czułością, jakiej nigdy wcześniej nie słyszała w jego głosie. – *Okahukura*. To znaczy „miejsce motyli” albo „miejsce tęczy”. Prawda, że fajne?

– Prawda – przytaknęła Carla.

Zawiał wiatr i dłonie otworzyły się same, a motyle trysnęły w górę jak pomarańczowe confetti. Zawisły na chwilę w powietrzu niczym dekoracja nad dziecięcą kołyską, a następnie wzbiły się ku wieczornemu niebu.

– Carlo, chciałbym ci kogoś przedstawić.

Obejrzała się. Obok Neila stał tajemniczy mężczyzna.

– Mike Adams – powiedział stanowczym głosem, wyciągając rękę, a rząd miedzianych bransoletek zadźwięczał mu na przegubie.

Carla nie potrafiła go nigdzie umiejscowić. Dżinsy i kurtka ze sztruksu wydawały się zbyt swobodne jak na pracownika więzienia, a zebrane w kucyk długie włosy były z pewnością wbrew przepisom.

– Pan Adams jest niezależnym dziennikarzem – wyjaśnił Neil. – Usłyszałem o tym, co dla nas robisz w ramach programu edukacji.

– No proszę – rzekła Carla z cierpkim uśmiechem. – Myślałam, że tylko złe wieści szybko się rozchodzą.

– Pan Adams chciałby porozmawiać z tobą i z Benem. Lepiej poznać historię was obojga. Może napisać artykuł.

– Nie!

Obaj mężczyźni wyglądali na zaskoczonych.

– Nie życzę sobie żadnych artykułów na temat Bena i mnie – oświadczyła Carla i ruszyła w stronę budynku.

– Usmaży się! Usmaży! – wrzasnął Rusty. Jeden z motyli przycupnął na elektrycznym ogrodzeniu.

– Chodźmy do naszej kuchni – powiedział szybko Neil. – Tam będzie można spokojnie porozmawiać.

Carla sięgnęła po pierniczek i umoczyła go w kawie.

– Proszę zrozumieć, panie Adams... – zaczęła.

Nachylił się życzliwie, opierając łokcie na kolanach.

– Proszę mi mówić Mike.

– Panie Adams – podjęła znowu. Miał ciepłe oczy i przyjazną twarz, to musiała mu oddać. – Będę z panem szczerą. Nie mam czasu dla takich ludzi jak pan. W sensie dziennikarzy. Kiedyś wierzyłam w rzetelne dziennikarstwo, ale przekonałam się z czasem, że prawda zazwyczaj psuje dobry temat.

Mike Adams otworzył usta, więc dorzuciła szybko, zanim zdążył jej przerwać: – Nie mam nic przeciwko panu osobiście. Wygląda pan na porządnego człowieka. Po prostu dzisiejsi dziennikarze zdają się zapominać,

że mają do czynienia z prawdziwymi ludźmi. Przedstawiają prawdziwych ludzi, prawdziwe losy i prawdziwe cierpienie, coraz więcej z nich odsuwa od siebie jednak świadomość, że wraz z tym wiąże się moralna odpowiedzialność za tych, których opisują. Powinni brać pod uwagę siłę oddziaływania swoich słów w świecie.

Czubek jej biskopka odłamał się i utonął w kubku. Wyłowiła go za pomocą łyżeczki.

– Z doświadczenia wiem, że rzucane nierozważnie słowa mogą całkowicie wypaczyć rzeczywistość, a niekiedy spowodować tyle samo szkody i bólu co nóż, pistolet czy kij bejsbolowy.

Adams wyjrzał przez niewielkie okno. Carla podążyła za jego wzrokiem. Na dworze skazańcy wciąż obserwowali ostatniego motyla siedzącego na drucie.

– Wolność słowa nie oznacza, że można mówić wszystko. Nie należy na tej podstawie grzebać w ludzkim życiu i pisać co się chce, nie bacząc na konsekwencje.

Adams zagryzł usta. Powinna na tym poprzestać. Po prostu odmówić i kropka. Ale nie mogła. To, do czego posunęli się niektórzy reporterzy, byle tylko zdobyć jej historię, zadało zbyt wiele dodatkowych ran. Kłamstwa. Brak szacunku. Ciągłe nagabywanie. A kiedy wyprali jej życie z wszelkich uczuć i nie zostało już nic do nakręcania emocji, zapomnieli o niej jak o bezużytecznym śmieciu.

Neil chrząknął.

– Carlo, bardzo przepraszam, że postawiłem cię w takiej sytuacji. Pan Adams może porozmawiać tylko z Benem. Nie będzie cię więcej niepokoił.

Skoczyła jak oparzona.

– Wykluczone! Nie będzie pan z nim rozmawiał! – Oparła dłonie na stole. – On... On... Po prostu nie i już! – Nie pozwoli, by postępy Bena zostały wywleczone, ocenione i zamknięte w słowach. Nie zaryzykuje tego, co osiągnęli.

– O tym powinien zdecydować Ben... – zauważył Neil.

Mike Adams wystawił dłoń pojednawczym gestem.

– Proszę pozwolić mi wyjaśnić.

Carla zacięła usta i potrząsnęła głową. Nie da się przekonać. Ci wszyscy paparazzi czatujący w krzakach na farmie z wścibskimi obiektywami wykształcili w niej trwałą nieufność wobec mediów. Newsy oznaczały pieniądze. I przez to nie było miejsca na dziennikarską uczciwość.

Adams wstał.

– Przepraszam za najście – powiedział. – Nie ruszę tego tematu. Uważam, że robi pani coś wspaniałego.

Przebiegł palcami po włosach, a wówczas spod rękawa koszuli wyłonił się fragment tradycyjnego maoryskiego tatuażu zrobionego zielonym tuszem. Carla była zdumiona. Nie wyglądał na Maorysa.

– Przyznam, że kiedyś próbowałem napisać o pani i o Benie – powiedział, ściskając jej dłoń. – Ale, z rozmaitych powodów, nie mogłem. Ta historia nie chciała dać się streścić na jednej stronie. Być może już wtedy wyczułem, że kryje się w niej coś głębszego, i zrozumiałem ciężar, jaki spoczywał na tym, kto próbowałby ją opowiedzieć.

Carla przełknęła ślinę.

– Pomyślałem, że może uda mi się teraz, osiem lat później.

Carla spojrzała na jego dłoń o ogryzionych paznokciach.

– Pan też jest nerwusem?

Zaczerwienił się i skulił palce w pięść.

– W każdym razie – rzekł – chyba jest tak, jak mówią: rzeczywistość przerasta każdą fikcję. Kto by pomyślał, że banda takich łotrów może się zachwycić motylami? – Zaśmiał się serdecznie i ruszył w stronę drzwi.

– Mam dla pana pewną propozycję – powiedziała Carla.

Odwrócił się, zaskoczony.

– Nie chciałby pan wpadać tu w wolnych chwilach poprowadzić zajęcia razem ze mną? Przydałoby mi się wsparcie. A taki spec od języka jak pan byłby na wagę złota.

Adamsowi rozszerzyły się oczy.

– Może po jakimś czasie znalazłby pan sposób, by opisać naszą historię tak, jak na to z Benem zasługujemy.



CARLA

Słońce wdarło się przez szczelinę między zasłonami, wstrzykując promień światła w sny Carli. Drgnęła i przekręciła się w stronę Paula, oplatając go ciasno nogami, aż całkowicie przywarła do jego silnego, rozgrzanego ciała.

– Co mam zrobić, żebyś dała mi pospać? – wymruczał sennie, zakleszczając ją między udami. – Jest niedziela, prawda?

Przebiegła dłonią w dół po jego torsie, aż do wybrzuszenia w bokserkach.

– Pan już chyba nie śpi.

– Skaranie boskie – powiedział z udawanym zgorszeniem. – Grzeszni nie zaznają spoczynku, co? – Legł na plecach i poddał się jej pieszczotom.

Carla uwielbiała go rano, wciąż lekko zamroczonego i przepojonego cierpkim zapachem snu, z zeszywniałą twarzą i rozczochranymi włosami.

Ich zabawę przerwał dzwonek telefonu.

– Czy wszyscy zapomnieli, jaki dzisiaj dzień? – zrzędził Paul, dźwigając się z łóżka i przecierając oczy.

Sięgnął po słuchawkę i podał ją Carli. Ujmowało ją to, że nawet po tak długim czasie ciągle szanował jej prywatność i nie przekraczał granic ich

poufałości.

– Halo? – wychrypiała do telefonu.

– Czy rozmawiam z panią Reid?

– Tak.

– Przepraszam, nie poznałam. Mówi Myra. Myra Catchpole. Mam nadzieję, że cię nie obudziłam?

– Myra! – Carla z przejęcia odzyskała głos. – Nie, w ogóle. Wstałam dawno temu.

Paul naciągnął sobie kołdrę na głowę.

– Chciałam zapytać... – Myra urwała. – Ja i Russell chcieliśmy zapytać, czy będziesz za dwa tygodnie w domu. Wybieramy się do Auckland na weekend i...

– Tak. Tak, jesteśmy wolni.

– To wypada w niedzielę, czternastego. Może się spotkamy?

Umysł Carli zelektryzował się i zaczął wirować.

– Naturalnie!

– Gdzie twoim zdaniem byłoby najlepiej? – Myra wydawała się spięta.

– Tutaj, ma się rozumieć! Przyjedźcie na obiad. Odpowiada wam?

– Nie chcielibyśmy przeszkadzać. Wystarczy sama herbata.

– Nie wygłupiaj się – odparła Carla. Wyskoczyła z łóżka i zaczęła krążyć po pokoju. – Musicie zostać na obiad. Nalegam. Naprawdę, to żaden kłopot. Mieszkamy na wybrzeżu, pięć kilometrów od...

Paul wystawił głowę spod kołdry i powiedział bezgłośnie:

– Zwolnij.

Po zakończeniu rozmowy Carla zastygła nieruchomo ze wzrokiem utkwionym w przestrzeń.

– Co nowego? – spytał Paul, wyjmując słuchawkę z jej rąk.

– Dzwoniła Myra. Pamiętasz, dziewczyna Jacka. Ona, to znaczy oni, przyjdą do nas na obiad. Nie wiem, czy Joshua też będzie. Mam nadzieję, że tak! Powinnam była zapytać. – Weszła na łóżko i zaczęła skakać z podniecenia mimo zduszonych jęków sprężyn.

– Nie szalej, pani Reid, bo wybuchniesz – rzekł Paul, po czym podciął jej nogi i powalił ją na materac.

Następny tydzień włókł się w nieskończoność. W bibliotece zapominała przeskanować kody wypożyczonych książek i rozłożyła cały wózek zwróconych bajek w sekcji dla dorosłych. W domu wsypywała sól do herbaty, rozpylała lakier do włosów pod pachami i odnalazła w lodówce zapodziałą tubkę pasty do zębów.

Paul robił, co mógł, żeby ostudzić jej entuzjazm w obawie przed rezultatem planowanego spotkania. W końcu jednak się poddał. Nastrój Carli był zbyt zaraźliwy.

Co wieczór po kolacji kobieta wertowała książki kucharskie, szukając pomysłu na obiad. Początkowo miała to być wolno opiekana gicz jagnięca po grecku zamarynowana w soku z cytryny, nadziewana fetą i *anchois*. Potem zaczęła się skłaniać ku pieczeni z kurczaka nacieranej czosnkiem, rozmarynem i oliwą z oliwek. Ostatecznie jednak wybrała makaron carbonara z prostym, kremowym sosem z żółtek, boczku i parmezanu.

– Tak chyba będzie lepiej dla dzieci – zgodził się Paul z rezygnacją. – O ile je przyprowadzą. Bo tego nie wiemy na pewno.

Wreszcie nadszedł tydzień oczekiwanej wizyty. We wtorek Carle zaczęło brać przeziębienie. Nie chcąc ryzykować, by jakakolwiek choroba pokrzyżowała jej niedzielne plany, nafaszerowała się witaminą C, cynkiem, panadolem i echinaceą. Mimo tego w czwartek nadal czuła się osłabiona. Paul wyjechał na targi książki, więc darowała sobie przyrządzenie kolacji tylko dla samej siebie i poszła spać zaraz po szóstej.

Gdy następnego ranka rozległ się dźwięk budzika, z trudem znalazła energię, aby go wyłączyć. Zwykle ze snu wyrywał ją Paul, serwując do łóżka kubek świeżo parzonej kawy z południowoafrykańskim sucharkiem do maczania. W tej chwili jednak Carla nie byłaby w stanie nic przełknąć. Głowę rozsadała jej przeraźliwa migrena.

Wstała i powlokła się do kuchni zrobić gorącej wody z cytryną, której ostatecznie nie tknęła, bo usta wypełniał jej lepki posmak mdłości.

Z wysiłkiem przebrnęła przez poranną toaletę. Jej ociężałe członki poruszały się wolno i ślamazarnie, a przyćmiony umysł reagował na światło ostrym bólem. Przy ścieleniu łóżka była już pół godziny spóźniona do pracy w bibliotece. Gdy pochyliła się, aby wsunąć końce prześcieradła pod materac, przytłoczyła ją nagle silna fala gorąca, a pokój zawirował jej przed oczami. Osunęła się na podłogę i na czworakach dopełzła do telefonu.



PAUL

Paul czekał niecierpliwie przy ladzie. Recepcjonistka używała bardzo słodkich perfum. Jej długie paznokcie pomalowane na soczysty fiolet wprawdzie stukały w klawiaturę.

– Jakie nazwisko? – zapytała jeszcze raz.

– Carla Reid – odparł powoli.

Przebiegła kursorem w dół ekranu.

– Nie u nas. Chyba że ma pan złe dane.

– Dziś po południu zadzwonił do mnie lekarz rezydent i powiedział, że została przyjęta. Przyjechałem specjalnie aż z Taupo.

– Na pewno chodziło o ten szpital?

Paul wpadł w popłoch.

– Lekarz powiedział Waitemata Health. To znaczy...

– Miejsce zamieszkania pacjentki?

Paul automatycznie wyrecytował adres.

– Hmm. – Kobieta ściągnęła usta, wokół których zebrały się w rowkach smugi szkarłatnej pomadki. – Jedyne, co w takiej sytuacji przychodzi mi do

głowy, to... Może... O rety. Sekundkę, już sprawdzam.

Paul zamarł, a świat dookoła jakby stanął w miejscu. Domyślił się, czego szukała.

– Jeszcze raz, jak się to pisze? Dwa „e” czy „ei”?

Paul wolno i z namysłem przeliterował nazwisko, zbyt przerażony, by się irytować.

Kobieta potrząsnęła burzą sprężystych loczków.

– Ależ ze mnie gapa! Zrobili teraz tyle różnych systemów. Mam. Jest na intensywnej terapii, piąte piętro. Biedactwo. To widać coś poważnego.

BEN

Na czternastym bloku, tak samo jak na zewnątrz, panował pochmurny nastrój. Stołówka przypominała kostnicę, a świetlica pustą klasę szkolną. Ben nie poszedł na śniadanie ani na obiad. Zaszył się w swojej celi i przez cały dzień leżał beczynn timer.

Wieczorem miał już wrażenie, że ściany zaczynają go przygniatać, a sufit opada coraz niżej. Zrobiło mu się duszno. Skoczył na równe nogi, próbując strząsnąć z siebie nieznośne uczucie ciężkości i zaklął tak donośnie, że cały korytarz usłyszał.

W drzwiach stanął Neil. Ben wbił w niego natężony wzrok w oczekiwaniu na wieści. Neil pokręcił głową.

Pozostali także snuli się bez celu, powarkując na siebie nawzajem. Co rusz wybuchały awantury, doszło do dwóch bójek, a Rusty wylądował w izolacie, bo kopnął Isaaca w krocze. Odkąd go zabrali, zrobiło się trochę spokojniej.

Wreszcie Chalkie zwołał zebranie.

Na dworze było już ciemno. Gwałtowne porywy wiatru miały strugami deszczu o szyby. W sali panował chłód. Usiedli w jedenastu na twardej podłodze wyścielonej przetartą, niebieską wykładziną, czekając na to, co ich wytatuowany, skazany na dożywocie przywódca ma im do powiedzenia.

– Zawiodłem się na was – zaczął. – I nie tylko ja. Pani Carla też. – Poruszenie w grupie. – Czyli jej wizyty nic nie dały, tak? – Chalkie popatrzył na Isaaca, który w odpowiedzi wzruszył ramionami. – Potraficie się normalnie zachowywać, tylko kiedy jest obok. – Jego wzrok padł na Bena. Ben nasrożył się. – Nie rozumiecie, że ona próbowała dać wam wolność? Tak jak tym motylom. Uczyła was czytać i pisać, żebyście później mogli zrobić coś z własnym życiem. Jak by się waszym zdaniem poczuła, gdyby usłyszała, że kiedy przez chwilę jej nie ma, to wy wpadacie znowu w swoje dawne nawyki, w tę pustą spiralę gówna?

Ben spuścił głowę.

– Rozumiem, że jesteście niespokojni. I źli, że musiało paść akurat na nią. Ja czuję to samo. Ale życie bywa niesprawiedliwe. I najlepsze, co możecie zrobić, to nie odpuszczać. Pani Carla w was uwierzyła. Ja też. Pokażcie jej, że się nie pomyliła. Ćwiczcie dalej pisanie. Czytajcie. W ten sposób okażecie jej szacunek.

Ben łypnął spod długiej grzywki. Chalkie wystawił szczupły palec w jego stronę.

– Ty poprowadzisz zajęcia pod jej nieobecność.

Ben rozłożył ręce.

– Ale...

– Żadnych „ale”.

**W GŁĘBI MUSZĘ CIĘ ZOSTAWIĆ,
BENJAMINIE TOROA, CHOCIAŻ TWOJA
HISTORIA JESZCZE SIĘ NIE SKOŃCZYŁA.
WIATR PRZYNIÓSŁ MI WIADOMOŚĆ O
KOLEJNYM SYNU, KTÓRY WYPADŁ Z GNIAZDA
NASZEGO LUDU. MUSZĘ PODĄŻYĆ ZA NIM. ALE
NIGDY CIĘ DO KOŃCA NIE OPUSZCZĘ,
CHŁOPCZE, BO JA TO GÓRY I DOLINY, MORZE I
NIEBO. JESTEM WSZĘDZIE I WSZYSTKIM.
TRZEBA CZASU, ŻEBY MNIE ODNALEŹĆ. ALE
TY ZACZYNASZ JUŻ ROZUMIEĆ. MAM DOBRE
PRZECZUCIA. ZOBACZYŁAM W TOBIE ZALAŹKI
PRZEMIANY.**

Zostawiam cię z jedną myślą. Czas buduje każde pokolenie na bazie poprzedniego, niczym warstwy skalne. To, co powstaje dzisiaj, opiera się na trwałości wzniesionych wczoraj fundamentów. Twoje życie, Benjaminie, stanie się podwaliną dla tych, którzy przyjdą po tobie. Od twoich wyborów zależy, czy ta konstrukcja się utrzyma, czy zawali pod ciężarem następnych pokoleń. Żyj dobrze, bo to nie jest tylko twoja historia. To zawsze była historia twojego ludu.

Haere mae.



PAUL

Paul pchnął ciężkie drzwi wahadłowe, zostawiając za sobą zimne, metaliczne powietrze oddziału intensywnej terapii. Odrapany korytarz rozświetlał jedynie automat z napojami. Paul przebiegł wzrokiem spis, wcisnął w szparę monetę i wybrał czarną kawę bez cukru. Pieniądz zagrzechotał i z brzękiem potoczył się w czeluść maszyny. Nic. Na ekranie zamrugał kilkakrotnie napis „2,00 \$”.

Paul zaklął i przetrząsnął kieszenie w poszukiwaniu drobnych. Wreszcie z podajnika wyskoczył plastikowy kubek, a z kranu poleciała stróżka brązowej cieczy.

Od jedenastu godzin nic nie jadł. Miał zaschnięte gardło, a język zrobił się jakby włochaty. Przyłożył rękę do ust. Miał paskudny oddech. Pociągnął łyk gorącego napoju. Rozkosz i ból jednocześnie.

– Rany, Carlo, nie możesz mi tego zrobić – wyrzekł w przestrzeń, a jego głos odbił się echem od ścian. – Ze wszystkiego musiałaś złapać akurat zapalenie opon mózgowych?

Przyszło mu do głowy, żeby zadzwonić do córki, ale zrezygnował. W Niemczech był środek nocy. Poza tym ona nawet nie poznała Carli.

Miał wielką ochotę zapalić. Od lat nie wziął do ręki papierosa. Teraz

sprzedalby własną duszę za jednego.

Ruszył długim, zielonym korytarzem, lecz zatrzymał się przy oknie sali, gdzie obok łóżka czuwała para udręczonych ludzi. W szarym świetle świtu ich postacie wydawały się jeszcze bardziej zbolale. Zaledwie w kilka dni Paul poznał ich z bardzo bliska. W obliczu tragedii opadały maski, rozpacz usuwała w cień konwenanse i dobre maniery. Dziś mieli odłączyć aparaturę podtrzymującą ich syna przy życiu. Chłopak najpierw ujawnił, że jest gejem, a następnego dnia rzucił się z mostu, łamiąc sobie kark, a rodzicom serca. Gumowe rurki wciąż były podłączone, urządzenia mruczały i pikały, a pierś chłopca wznosiła się i opadała równo piętnaście razy na minutę. Podpisy zostały jednak złożone. Młody człowiek już odszedł, tylko jego ciało stwarzało jeszcze pozory.

Ludzie..., pomyślał Paul. Każdy jest inny, a jednak wszystkich łączy jedna wspólna cecha – potrzeba miłości i przynależności. Życie jednak wypełnia nam tyle białego szumu, że często o tym zapominamy.

JOSHUA

– Dobry Boże, moja nowa babcia jest bardzo chora. Miałem dzisiaj iść do niej na obiad. Nie pozwól, żeby umarła, bo... eee... bo ona jest mamą mojego... mojego drugiego taty.

– Amen. Dobra, kolego, do łóżka – powiedziała Myra, mierzwiąc synowi włosy.

– Mamo?

– Tak, Josh? – Myra przysiadła na łóżku.

– Czy mój drugi tata też lubił samochody?

– Jeszcze jak! – odparła, otulając chłopca pod brodą. – Jego pierwszym

był turkusowy volkswagen garbus. Stary model z kremowymi siedzeniami i kierunkowskazami na błotnikach z przodu. Pomogłam uszyć pokrowce na fotele. Nazywaliśmy go kochanym chrabąszczem, tak jak w jednym filmie.

– Śmiesznie. Kochany chrabąszcz. Kochany chrabąszcz. Kochany chrabąszcz.

Myra uśmiechnęła się ciepło.

– Mamo?

– Słucham, synu.

– Czy tatę bolało, kiedy umarł?

Przełknęła ślinę.

– Myślę, że Bóg zabrał go do siebie tak szybko, że nie zdążył poczuć bólu.

– Nie gaś światła, mamo. Boję się. Co będzie, jeżeli Bóg zabierze do siebie mnie albo moją babcię?

CARLA

Gęsta ciemność – nieprzenikniona pustka.

Na obrzeża podpełzło światło.

Chłodna, lekka tkanina. Sztywna. Plastik. Suchy gulgot. Swędzenie. Przykry zapach.

Pik. Pik. Pik.

Drzewo sandałowe i chlor.

Szarość przekształciła się w biel, a potem zażółciła. Światło.

– Carla. Carla. Carlo, słyszysz mnie?

Słyszę!

Ale głos ciągle ją wołał. I dopytywał bez końca: „Carlo, słyszysz mnie?”.

Światło rozlało się teraz, pełne i intensywne. Jasność. Ciepło. Olśnienie.

Jej ojciec siedzi zgarbiony przy biurku. Podnosi głowę i kręci globusem, śledząc jego ruch roztańczonymi oczami. Mama stoi przy kuchennej ladzie w morelowych kapciach. Wyciera umączzone ręce o podomkę i uśmiecha się uśmiechem z dzieciństwa. Dana merda ogonem i węszy pod stołem, szukając resztek jedzenia. Jack wybiega ze szkolnego autobusu i podryguje w jej stronę z soczyście czerwonym lodem na patyku. Kevin mruga do niej po swojemu „nie martw się, Carl”, a obok leży Gabby, jak okruszek w inkubatorze.

Agatis wznosi się na tle błękitnego nieba. Słysząc wołanie tui. Chmury się rozpraszają. Rzeźbiarz klęczy nad długą kłodą drewna i żłobi jakąś historię. Paprocie prostują liście. Po zaroślach kluczy ptak moa, stając na drodze nerwowego jeża. Młody człowiek trzyma książkę w dłoniach i czyta, wyprostowany i dumny. Inny tuli niemowlę do piersi, mamrocząc przyrzeczenia. Motyle rzucają czary. Starsza kobieta z rysunkiem na brodzie wypłata z włókien lnu niezwykle piękną tkaninę. Przestrzeń rozdziela na pół gospodarska zagroda.

Carla zanurza się w tych obrazach płynnie zespolonych w jedną, wielką narzutę. Dobrze się czuje w jej barwach i ukrytych w niej opowieściach.

Nagle światło, metal, szkło, niebieska zasłona, białe prześcieradła, rurki, wykres, bukiet frezji w wazonie, twarz...

– Carla!

Znajoma twarz.

– Obudziła się. Sostro, obudziła się! Boże drogi, Carlo.

Za dużo. Za szybko. Zamknęła oczy.

Dotyk drżących ust na policzku. Zimna wilgoć na skórze.

Uniosła powieki, tym razem powoli.

To Paul.

Paul.

Uśmiechnęła się. Wciąż była po tej stronie ogrodzenia.

UŻYCZENIA

S. Hunt, *Winter Solstice Song*, w: *JAAM 21 Greatest Hits: An Anthology of Writing 1984–2004*, red. M. Pirie, M. O’Leary, JAAM we współpracy z HeadworX Publishers i ESAW, Wellington 2004.

Z wyrazami wdzięczności dla Sama Hunta za to, że zgodził się na zamieszczenie swojego wiersza w mojej książce.

P. Grace, *Butterflies*, w: *In Electric City and Other Stories*, Penguin, Nowa Zelandia 1987.

Z wyrazami wdzięczności dla Patricii Grace za to, że pozwoliła mi wykorzystać fragment swojego opowiadania w mojej książce.

MATERIAŁY ŹRÓDŁOWE

Serdeczne podziękowania dla poniższych osób, których twórczość przybliżyła mi świat moich bohaterów.

A. Anderson, J. Binney, A. Harris, *Tangata Whenua. An Illustrated History*, Bridget Williams Books, Nowa Zelandia 2015.

T. Capote, *In Cold Blood*, Penguin Classics, Wielka Brytania 2000.

G. Compain, *Streetwise Parenting*, HarperCollins, Nowa Zelandia 2008.

A. Duff, *Once Were Warriors*, Vintage, Random House, Nowa Zelandia 2004.

W. Ihimaera, *Māori Boy*, Random House, Nowa Zelandia 2014.

M. King, *The Penguin History of New Zealand*, Penguin Books, Nowa Zelandia 2003.

C. Lashlie, *He'll Be OK: Growing Gorgeous Boys into Good Men*, HarperCollins, Nowa Zelandia 2005.

C. Lashlie, *The Journey to Prison: Who Goes and Why*, wyd. 2 zm., HarperCollins, Nowa Zelandia 2003.

N. Latta, *Into The Darklands and Beyond: Unveiling The Predators*

Among Us, HarperCollins, Nowa Zelandia 2007.

J. Picoult, *Change of Heart*, Allen & Unwin, Australia 2008.

O. Scott, *Deep Beyond The Reef: A True Story of Madness and Murder in the South Pacific*, Penguin Books, Nowa Zelandia 2004.

T. Isaac, B. Haami, *True Red: The life of an ex-Mongrel Mob Gang Leader*, True Red, Nowa Zelandia 2007.

I. Wishart, *Breaking Silence: The Kahui Case*, Howling At The Moon, Nowa Zelandia 2011.

K. Hill, *Male Violence* [audycja radiowa z udziałem J. J. Josepha i C. Lashlie], RNZ [wyemitowano: 16.08.2008].

L. Freeman [audycja radiowa z udziałem I. Marsha], RNZ [wyemitowano: 18.05.2008].

The Outsiders [reportaż], reż. Reuben Pillsbury, prod. Cass Avery, Greenstone Pictures.com, TVNZ 2009.

Inside New Zealand: The Gangs, cz. 1 [reportaż], reż. i prod. L. Clarke, Top Shelf Productions Ltd, TV 3 [wyemitowano: 19.06.2008].

Inside New Zealand: First Time in Prison [reportaż], reż. Te Arepa Kahi, prod. John Keir, Ponsonby Productions Ltd, TV 3 [wyemitowano: 14.08.2008].

PODZIĘKOWANIA

Pisanie *Ostatni raz, gdy rozmawialiśmy* było dla mnie długą i fascynującą podróżą. Pomysł zrodził się w trakcie studiów podyplomowych na kierunku kreatywnego pisania w Auckland University of Technology w 2009 roku i dojrzał przez następnych osiem lat. A ja razem z nim.

Na postępy tej pracy wpływ miało wielu ludzi. Wszystkim gorąco dziękuję.

Na szczególne podziękowania zasługują:

John Cranna, Tina Shaw i koledzy z rocznika 2008 na kierunku kreatywnego pisania – za doping od samego początku i wartościowe sugestie;

Renae Maihi – za nieocenioną szczerą doradztwo i wsparcie;

Amali Fonseka, John Quirk, Rob Tuwhare, Steph Van Meulen i Murray Darroch – za poświęcony czas, entuzjazm i zaangażowanie;

Inspektor Gary Davey, konstabl Glen Compain oraz Catherine Lawla z Victim Support North Shore – za pomoc w prowadzeniu badań nad przestępczością nieletnich w Nowej Zelandii i wyjaśnienie procedur postępowania policyjnego;

Pracownicy nowozelandzkiej służby więziennej, którzy umożliwili mi obserwacje w zakładach karnych: Warren Cummings, Kelly Pouhotau, Annie

Tausi, Chris Burns, Tom Sherlock, Peter Phelan, Ranga Hohai, osadzeni w The Northern Correctional Facility Ngawha. Dr Julian Fuller – za pośrednictwo w nawiązaniu tych kontaktów;

Lesley Marshall – za solidną obróbkę redakorską pierwszej wersji tekstu i opowieści o swoich bogatych doświadczeniach życiowych;

NZ Society of Authors i Kobo – za wyróżnienie Kobo/NZ Author Publishing Prize 2014;

Nadia, Andrew i Luigi – za świętą cierpliwość, bezwarunkową miłość i, że się tak wyrażę, wybitny wkład redaktorski. Jesteście mi wszyscy niezbędni!

TYTUŁ ORYGINAŁU:

The Last Time We Spoke

Redaktor prowadząca: Ewelina Sokalska Opracowanie językowe tekstu:

Studio Editio Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Zdjęcie na okładce: © ehrlif (Shutterstock.com) The Last Time We Spoke ©

Fiona Sussman 2015

Copyright © 2018 for Polish edition by Wydawnictwo KobiECE Łukasz Kierus Copyright © for Polish translation by Anna Sauvignon Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiegokolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie elektroniczne

Białystok 2018

ISBN 978-83-65740-48-9



Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:

www.facebook.com/kobiece



www.wydawnictwokobiece.pl

Wydawnictwo KobiECE

E-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl

Pełna oferta wydawnictwa jest dostępna na stronie

www.wydawnictwokobiece.pl

Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek